

NIEZAPOMINAJKI.

ROK PIĄTY.

WYDAWCA

ZA POZWOLENIEM CENZURY.

WYDAWCA

Wydawnictwo

NIEZAPOMINAJKI

NA ROK


1843.



Wydawnictwo Banku P.

<http://rcin.org.pl>





**NIEZAPOMINAJKI
NOWOROCZNIK**

NA ROK

1843.



WYDANY

PRZEZ

KAROLA KORWELLA.

OZDOBIONY PIĘCIĄ RYCIAMI.



WARSZAWA

**W Drukarni
Banku Polskiego.**



PI. 659

~~A. 26~~

SPIS RZECZY

PODŁUG IMION AUTORÓW,

ANONIM. —Guzów r. 1607. Duma historyczna, ze sta- rego rękopismu	Str. 14
—Kozak Ukrainiec	92
—Kukułki, z Pieśni ludu	103
—Zamek Jazłowiecki	163
BALINSKI MICHAŁ. —Pieskowa Skała	218
B. AMURAT. — z Bajrona.	271
DZIEKONSKI I. B. —Spomnienie z wędrowki po kra- ju. Dąbrowa	113
GAWARECKI WIN: HIPOLIT —Wiadomość o Mieście Tykocinie	131
GOR. . . . AN. . . . —Sonnet Poety Angielskiego Ross- coc do swoich książek	161

JACHOWICZ STANISŁAW.	—Goście	159
	—Chłopek.	170
	—Ułomek z Alfonsa Lamar- tin	238
KRASZEWSKI J. J.	—O przyjaźni i przyjaciółach. . .	165
KORWELL KAROL.	—Bransoletka. Powieść	95
	—Legenda o kościele katedralnym w Kolonii	175
PASZKOWSKI JOZEF.	—Zegary. Sonet	91
	—Palma Abderama	110
	—Broń do nogi	130
PAPROCKI LUDWIK.	—Bernard Pretwic Starosta Barski. Powieść historyczna z czasów Zygmunta I.	19
S. . . A.	—Dumanie	172
WOJCICKI KAZ : WJAD.	—Pomnik Jana III w Łazien- kach. Obraz historyczny.	1
	—Samuel Zborowski.	239
ZIELINSKI WIKTORYN.	—Biedny Gęslarz	212



SPIS RYCIN.

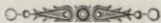
I. **POMNIK KROLA JANA III.** w Łazienkach Królewskich w Warszawie.

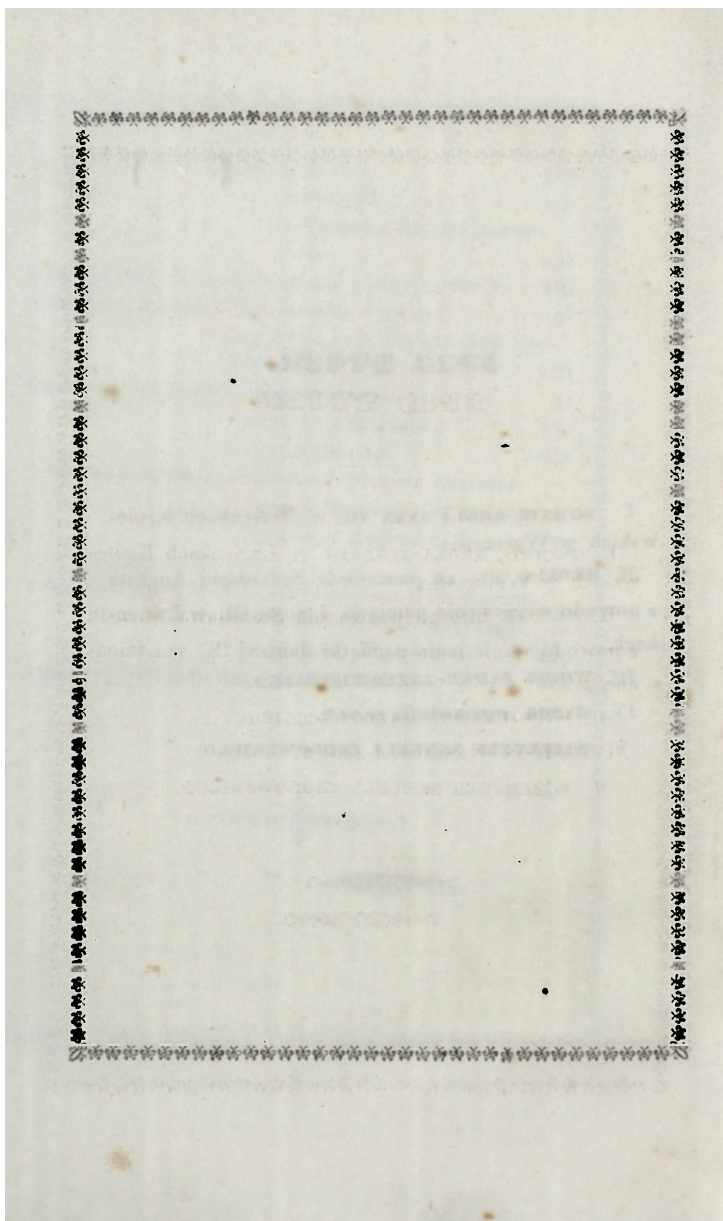
II. **MEDALE** bite za panowania Stanisława Augusta z powodu wzniesienia pamiątki Janowi III. w Łazienkach.

III. **WIDOK ZAMKU JAZŁOWIECKIEGO.**

IV. **WIDOK PIESKOWEJ SKAŁY.**

V. **WIZERUNEK SAMUELA ZBOROWSKIEGO.**





NIEZAPOMINAJKI.

POMNIK JANA III^{GO} W ŁAZIENKACH.

OBRAZ HISTORYCZNY.

Piękny był dzień 18 Września 1788 r: po ranku rosistym słońce wzbiło się bez chmury, i ciepłem rozgrzewało chłód gaików Łazienkowskich. W dniu tym cała Warszawa wybiegła w tę ustronń letnią króla Stanisława Augusta, bo ogłoszono że pomnik Janowi III wykuty z kamienia, odsłonięnym zostanie i poświęconym. Zapowiedziano turnieje i teatr. Cały *Nowy Świat* zabudowany w ówczas lichemi dworkami pod gontem i słomą, pełen pustek zawalonych szychkami

drzewa i nieczystości, gdzie się ukrywali groźni złodzieje i rabusie, od świtu niemal zapchany był tłumami ciekawych, co biegli do Łazienek. Zamarłe imie bohatera, po sto przeszło leciech, zabrzmiało znowu w murach starego Mazowszanów grodu. — Dziwna różnaitość ubiorów jadących i pieszych cechowała te tłumy. Kontusze i rogatywki przy bogatym i litym pasie i podgolonej czuprynie, to kapelusze z harbajtlami, fraki szerokie. Kamizelki wyszywane po kolana, tam buty podkówkami i ostrogą brzęczące, tu trzewiki z błyszczącymi sprzążkami i wstążkami. Jednego magnata dzięki angielscy wiozą, drugi w poszostnej karecie po dawnemu z hajdukami i pajukami, a przed końmi leci *Lauser* w kapeluszu z piórami, wystrojony jak za dni naszych szybkobiegacze. Starej daty Polonusy przystroiwszy stępaki w rzędy sute dziadowskie, konno cwałowali, dzwoniąc ostrogą i szablą. (*)

Miały się odbyć Turnieje! Myśl piękna i godna pomniku bohatera, który w dniach swjej młodości łamał w turniejach kopie, dla zyskania nagrody od *pięknej* wybranej. Jak walczył dzielnie, umiał i kochać stale, a ta miłość w jego sercu szlachetnym z późniejszymi laty zmieniwszy się w uległość dla pięknej Maryi Kazimiry, zatruwała mu nie jedną dobę

(*) Taka mieszaninę w której już z kontuszem sąły dawne obyczaje w powieści, wybornie wystawił sławny malarz Orłowski w ślicznym obrazie odpustu w kościele Belwederskim. Obraz ten wywiózł do Francji Xze Tajlerand, piękną kopię zrobioną na prędce przez artystę P. Korwin: posiada Referendarz Stanu Lelowski.

życia, i pocziwie zdobytą sławę na szwank wystawiała.

Mysł piękna — ale nie w tych czasach, kiedy u znakomitszych rodzin młodzieży, już ręka i głowa zniewieściła, a właśnie tę młodzież niedołązną wezwano do turniejów.

Aby urok i świetność rycerskiej gonitwy utrzymać, zamierzono przybrać się w stare zbroje: lecz kiedy olbrzymie pancerze i przyłbice okurżono z pyłu wiekowego, nowi nasi gońce byli niektórzy co nietylko podźwignąć, ale cali schować się mogli, w samym pancerzu i przyłbicy tylko. Zaniechano więc zuchwałego pomysłu, kazano nowe zbroje lekkie i cienkie nie ukuć, ale zlepić, i w nich coby cięcia pocziwego karabeli żadna nie wytrzymała, w świetnych barwach, z piórami strusiem, okazałe po teatralnemu ale nie po rycersku wystąpiono.

Zapełniły się gaje Łazienek mrowiem ludności, która ciekawie wyglądała chwili aby zaczęto obrzęd świetny. Długi czas skracano sobie to przegryzką przyniesioną z miasta, to z bufetów, a wszędzie lśniły butelki to z węgryzmem, to sławnym Częstochowskim piwem, jakby na przekor pochlebnej pochwale Krasickiego, że już kufle zniknęły. Sączył się jak i dzisiaj źródło czystej wody z pod góry, z którego gasiła pragnienie świętych cnót Anna Jagiellonka, ale nikt przy nim nie szukał ochłody! Zdaniem nawet w ówczas było lekarzy, że woda dla gęsi, wino i piwo dla człowieka.

Król z orszakiem i dworem okazał się narodowi:

z okrzykiem radości powitano Monarchę, który w lokach, hiszpańskim ubiorze bogatym, patrząc na zegarek jaki miał w guziku od fraka, dziękował uprzejmie za powitanie i dawał znak, że czas rozpocząć obrzęd. Dwadzieścia cztery lat kończyło się właśnie jak panował Stanisław; słynny z pięknej postaci ciała, już wiele ze swym narodem burz przeżył, a chmury nowe, brzemienne smutną przyszłością, naciągały zwolna.

Otoczony orszakiem świetnym pań i magnatów dworu swego, niemalą drużyną, w której odznaczały się wyrazistsze rysy Naruszewicza, Hugona Kołątaja, Wyrwicza, Krasickiego, Trembeckiego wyniosłego postacią nad innych, postępował poważnym krokiem, zając właściwe sobie miejsce.

Pomnik Jana III^o już stał na moście, ale okryty namiotem. Dano znak i w szrankach okazał się jak dobrze wtedy nazywano »Karuzel” rycerzy zbrojnych, którzy nie umiając dobrze władać piękniemi rumakami, po skruszeniu wątlých kopii, gdy kilku wypadło z sodeł, opuścili miejsce nie męzkiego boju, to na poły przy oklaskach dworskich, to wśród śmiechu starych Polonusów.

Wieczór już był—zajaśniały tysiączne ognie, i wśród huku dział, opadł namiot; ukazała się bohaterska postawa Jana III^o na dzielnym koniu jak tratuje Turków zwyciężonych.

Zamilkł naród na ten widok, upadł na kolana, wyciągnął ręce jakby go wzywał na swego patrona, i potokiem łez zapłakał. Gdyby mógł ożyć ten król

waleczny i spójrzał w tę chwilę, miałby osłodzony cały ciężar korony, na który tak utyskiwał.

Zdziwił się Stanisław August, i panie i panowie, i dworzanie, że okrzyku nie słyszą: nie widzieli że naród w milczeniu niższy kolanem, łzami radości cześć bohaterowi składa.

Dopiero po długiej chwili, w okrzyku krzepkim zagrział radością: gdyby w tej dobie Jan III^{ci} podniósł buławę, wszyscyby biegli za nim ochoczo do boju: ale kiedy lud spójrzał na *dobrego* Stanisława Augusta, który z uśmiechem łagodnym mile z pod fryzury woniącej, rzucał wzrok na piękne damy: westchnieniem bolesnym dławiał wrzawę serca, i w postaci ciekawego tłumu patrzył co będzie dalej.

Owoż był teatr; dekoracya wyobrażała las, w nim ołtarz za którym statua Jana III^{go}. Spiewające osoby były: Korydon pasterz, Tymoklea, Amarylla, Erofila pasterki, pospólstwo to był chór powszechny. Pasterza grał Kaczkowski, pasterki pani Jasińska i panny Sitańska i Rudnicka, wszystko aktorzy ówczesnego teatru. Wystrojeni z całą sumiennością jak pasterze sielankowi, pod pomnikiem Sobieskiego tak odegrali, wśród hucznej muzyki. (*)

AMARYLLA.

W tej lubej gajów odległych przestrzeni,
Gdzie prac i starań jarmem uciążona,

(1) Sztuka ta wyszła z druku tegoż roku 1788 w Warszawie w Drukarni Dufour in 12 stronic 15 i z niej wypis rzetelny niniejszy.

W zaciszu spokojnych cieni
 Krótkich wytchnieniów zażywa korona.
 Cóż to za nowe los widoki zdarza,
 Już u tego ołtarza,
 Gdzie Flora kwiat różany, owoce Pomona,
 I snopki brała Ceres kłosem uwieńczona
 Poważne bóstwo jakies, zbrojny hold odbiera,
 Wszędy się rozposciera.

(muzyka huczna.)

Głos mężów
 Szczęk orężów,
 Tętent koni
 Blask od broni.

ARYA.

A na ten obraz wspaniały,
 Chciwa bohaterskiej chwały,
 Szlachetna młodzież się zjawia,
 I Marsa gony wyprawia.

DUO.

TYMOKLEA Z AMARYLLĄ. (muzyka żalosa)

Nowe nadchodzą widzę zwyczaję,
 Z czasem się mieniają narody.
 Przyjdzie was rzucić rozkoszne gaje
 I was przeczroczyte wody!

TYMOKLEA sama.

Wesołych trzódek zbiory niewinne,
 Jedyna wioska podporo,
 Pójdź trawkę zrywać winną krainę,
 Mieszkać tu dalej nie sporo.

TYMOKLEA Z AMARYLLĄ.

Gotujmy siostry z tą odwrót chyży,
 Płci naszej łękliwa dusza,
 Ze srogim brzękiem marsowój śpizy,
 Fletnia się nie zda pastusza.

Głos Damy z balkonu królewskiego.

L'éloquence entraînante!

Jeden z widzów.

Co ony tam brydzą, dobrze fora z dwora, tu trzeba takich co to bywali na koniu i pod koniem. Vivat nasz kochany Sobieski!

Głosy z balkonu.

Entendez-vous.— Helas!...

TYMOKLEA sama.

Tobie o Panie coś nas w te cienie,
 Przygarnął i naszą trzodę,
 Niech wdzięczności żywe westchnienie,
 Wietrzyk roznosi w nagrodę.

Jeden z widzów.

No to więcej do rzeczy: dziękuje panu, to dobrze,
bo im płaci za to!

Głosy.

Cicho! Cicho!

KORYDON.

Zaspokój błędna myśli niepotrzebna trwogi,
Prawdziwy rycerz dla nas nie srogi:
Szacowne męstwo, zawsze przy rozumie
Dobroczynność łączyć umie.

Głos z parteru.

Baj bardzo! nieznasz wasze widać naszego pospolitego ruszenia.

ARYA.

Choć mieczem grozi, choć połyska zbroją,
Kmiotek go lubi, miasta się nie boją.
Na to się do wojennej zabiera on sprawy,
By ochraniał współziomków majątku i sławy.
I ten, co się go lękaśz, był ojciec kochany,
Do niego wolny przystęp miał każdy poddany,
Rolnik swe zbierał bezpiecznie plony,
Pasterz woliki pędził na zagony,
A pastereczka hoża i śmiała,
Kwiatki z uśmiechem mu podawała;
Tego to tylko wzrok jego razil,

Kto zdradzał, zdzierał i prawa kaził,
Bezpieczny naród był na jego łonie.

EROFILA.

Jakiż to jest Bohater, powiedz Korydonie?

KORYDON.

Alboż to nie znać tej wspaniałej miny
Potomka sławnej w ojczyźnie *Janiny*, (1)
Ten rumak co się pod nim żartkim kołem toczy,
Ta stal glansowna, co mu pierś waleczną tłoczy,
Ten szyszak, co mu czoło poważne pokrywa,
I z lekkimi wiatrami pierzem poigrywa,
Postawę Sarmackiego Alcyda wydaje,
Ten on ubior, takowe kochał obyczaje.
By zwykając do trudów i wojennej pracy,
Imie swe i ojczyzny wslawiali Polacy.

Liczne głosy Szlachty.

Brawo Kaczkosiu, brawo, w to nam graj!

Głos z balkonu Damy.

Quel blasphème!

ARYA.

Tego ci Króla z głązów wywodzi
Na przykład sławy szlachetna młodzi

1 Herb. Jana III.

Ten, co cię równie kocha, i czuje
 Jak cię zawisny wyrok kępuje,
 A na potomne twardej gruntu plony,
 Potem zlanemi żyzni zagony.

Głosy z parteru.

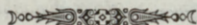
To dobrze, ale kiedy widzi że źle, to niechże zaradzi.

ARYA.

Ustąpcie wieki pieskliwe,
 Hańbiąca Narody skazo,
 Tam tylko czasy szczęśliwe,
 Gdzie rozum daje żelazo!

Głosy wszystkich.

Brawo! brawo; co prawda to nie grzech!



Teraz pasterki przystąpiły ofiarując Bohatérovi kwiaty i wonie: w milczeniu publiczność dosłuchała śpiewów czuło mglistych. Dopiero marsz żołnierski, niesmak zamienił w radość powszechną i uniesienia serdeczne, szczególnie gdy zabrzmiały słowa.

Drży ziemia pod orężem gromadzą się zbrojne
 Roty, uffy, chorągwie, trąby głoszą wojnę,
 Wszędy mężna ochota i głos jeden leci,
 Wygraliśmy kiedy nam przodkuje Jan trzeci.

Już na placu ochotne ustanawia szyki,
 Dały hasło do bitwy tysięczne okrzyki,
 Siecze, strzela, naciera, zgodnie pomieszany,
 Mężny Lech z walecznemi wespół Allemany.

Huczne oklaski przygłuszały chór obsadny, gdy muzyka zmieniając marsz żołnierski w żałosną uderzyła nutę, a pasterka Tymoklea zaczęła śpiew smętny.

W poczcie niebieskich kół zawieszony,
 Twój Janie puklerz mężny i dzielny,
 Nie świeci więcej na nasze strony,
 Okrył go chmurą pomrok śmiertelny.

Już była niemal północ, dwaj jezdcy nie czekając końca widowisk, kłusowali aleami, i taką wiedli rozmowę.

Pierwszy.

Co ta pasterka śpiewała o kołach niebieskich.

Drugi.

A to widzisz panie bracie, Astronom jakiś z Gdańska, wynalazł nowe dotąd niewidane gwiazdy, i nazwał tarczą Sobieskiego.

Pierwszy.

Diablić potym, Sobieski nie żyje, a tarcza za wysoko.

W tym usłyszeli tętent, i nadjechał jeden z dworskich królewskich.

Pierwszy.

A co, czy tam skończyli już śpiewać.

Dworzanin.

Szkoda że panowie na końcu nie byli, ślicznie śpiewano, zachęcano do zgody wszystkich, że Król jego ojcowskię wyciąga ramiona, do uprzejmego zaprasza was łona.

Obaj jezdcy parsknęli śmiechem, a razem odrzekłszy: »alosz to my białołowy.« ubodli ostrogami i szybko znikli, zostawując zdumionego Dworzanina.

* * *

Posąg Jana III^{go} z jednego kamienia wykuty, wyobraża Bohatera w stroju rzymskim, na dzielnym rumaku który tratuje zwyciężonych Turków. W prawej ręce wzniesionej trzyma buławę, lewą wstrzymuje zapęd konia. Po obu stronach znajdują się tarcze ozdobione zawojami tureckimi, na których są polskie i łacińskie następujące napisy:



W tym odzyskali wstręt, i usdjęchał jeden s' dwor-
nika s' bęszeków.

Dworzany.

A co, czyż nie skoczyli już spiewać.

Skoda że panowie na końcu nie są, słownie śpie-
wano, i odzyskali na koniec bęszeków, że Król jego-
woli opiewać wyznacza bęszeków, do uprzejmego za-
wieszania was lena.

Obaj jedni parsknęli śmiechem, a razem odrzekł-
szy: „albo to my biologiczowi,” ubodli ostrogami i
szybko unikł, zostawiając zdumionego Dworzaniina.

Posąg Jm: 1177 z jednemu armienia wykuty, wyo-
brza Bohatera w stroju rzymskim, na dzielnym ru-
maku który trzyma zwyciężonych Turków. W prawej
ręce wzniesionej trzyma buławę, lewą wstrzymuje
zapęd konia. Po obu stronach znajdują się tarcze o-
zdobione zawieszami tureckimi, na których są polskie
kłacki następujące wzięty:





<p>JOANNI III R. P. M. D. L. PATRIA SOCIORUMQUE DEFENSORI NOBIS EREPTO A. MDCCXXXVI. S. A. R. A. MDCCXXXVIII.</p>	<p>JANOWI III. R. P. W. X. L. SOJUSZNIKÓW OBROŃCY KTÓREGOŚMY STRACILI R. 1696. S. A. R. R. 1738.</p>
---	--

Pod postawą samego posągu napis : *François Pinck* fecit.

Obwiniano zaraz Stanisława Augusta, że wystawieniem tego pomnika obraził sobie Turcyę, i przez to niezawarł pomyslnego traktatu.

Z powodu wzniesienia pamiątki Janowi III^{mu} król bić kazał medale, którego wierny przerys dołączamy

Наз: Влад: Войцичи.

czów.

R. 1607.

DUMA HISTORYCZNA.

(ze starego rękopismu.)

I.

Koniku mój wrony, czemuś głowę schylił,
Czyś ty wilki poczuł czy drogę pomylił?
— Anim wilki poczuł, ni drogę omylił,
Ino z serdecznegom żalu głowę schylił.
Bo może cię razem, i zemną zabiją,
Czarne oczy czerwonym proporcem nakryją,
A ja w szczerym polu, ni to pogrzebiony,
Rozdziobią mnie czarne kruki i gawrony!

- Skądże o mój koniu takie myśli teraz
 Szliśmy do potrzeby (*) już z sobą nieraz,
 A niosłeś mnie żwawo, a niosłeś mnie żywie,
 Do białego dworu wracaliśmy szczęśliwie!
- O mój towarzyszu jak się niezasmucić,
 Do białego dworu możemy jeszcze wrócić:
 Niewrócimy wesoło, jak dawniej do chaty,
 Bo idziemy wojować nasze rodne braty.
 A Towarzysz westchnął—głowę smutno schylił
 Koń go poniosł w oboz drogi niepomylił.

II.

Po obudwu stronach już Hussarze lecą,
 I skrzydły machają i zbrojami świecą;
 Oj! zapłaczcie matki, i żony, i siostry,
 Na własną krew swoją, poniosą kord ostry!

Kawki lecą stadem, wrony zakrakąły,
 Cieszą się że stawę świeżą będą miały!
 A towarzysz młody stoi zadumany
 Rychło ci do rzezi dadzą rozkaz pany;
 I trąby i kotły zarazem zagrzmiały
 Sztandary Króla rozwite powiały.

III.

Królewskich wojaków jak kawek na słotę,
 Jaśnieją pancerze, naramniki złote,

(1). Potrzeba, bitwa, walka.

Zataczają oboźni dostatnie *majdany*,
 Idą artyleryczne *smoki* i *kartany* (1)
 I król sam się przejeżdża, a przy boku króla
 Szlachta chciwa do starostw jak niedzwiedz do ula:
 A na co płakać trzeba, a czem serce krwawią
 Stare wodze, w krwi bratniej, kordy stare pławią (2)

Zdrugiej strony Wojewoda i z Litwy podczaszy (3)
 Zagrzewają garść swoich: «Nuże bracia naszy
 Idźmy do nich z Bogiem śmieje,
 Chociaj naszych nie tak wiele,
 Już inaczej być nie może,
 Ty nas wspieraj mocny Boże.»

Czerwone Elijery ozdoba rycerzy, (4)
 Już zniża proporce próbuje koncerzy
 Jak będą królewskich zwalonych na ziemi
 Przebijać tratować kopyty końskimi.

Wzniesione z obustron chorągwie powiały,
 I trąby i kotły kartany, zagrzmiały:
 Wzniesioną kurzawa jakby *pogwizd* srogi,
 Co pluje piaskiem w oczy zamietając drogi,
 Na *pogwizda* potrzebne nowe ostre noże (5)
 Topią je w bratnich sercach, polituj nas Boże!

(1) Nazwiska różnych rodzajów armat.

(2) Przy boku Zygmunta 3 byli I. K. Chodkiewicz, St. Zołkiewski, Potoccy i Koniecpolski.

(3) Wojewoda M. Zebrzydowski, Podczaszy Radziwiłł.

(4) Wybór Hussarzy, walczący na ochotnika, czerwone szarfy przewiązane mieli przez ramię dla odznaki.

(5) Stosuje się do przesądu ludu, że gdy wiatr kręci po drodze, noż nowy poświęcony rzucić w środek wiru, to przybity za nogę diabeł okaze się w kornej postaci, i wszystko dopełni co mu rozkaże ten co noż taki rzuca.

Każdy rotmistrz przed swą rotą
 Towarzystwo wiódł z ochotą
 Tam się chlubro potykali
 Krew gorącą przelewali
 A przecież co krew nie woda,
 Przelewać jej było szkoda!
 Długie kopije pokruszywszy,
 Szable w sobie potopiwszy,
 Niedbał nic ojciec na syna,
 Bił siekł jako tatarzyna.
 O żalobliwy pogrzebie!
 Któż wždy będzie wesół z ciebie?
 Naszy bili, naszy leżą!
 Jednej mowy, jęk i krzyki
 Bo to bracia wojownicy!

IV.

Czerwone Eljery [poskoczyli z góry
 Rozbiją kopiją jako rogiem Tury.
 Uciekli królewscy by kuropatw stado
 Eljery na karkach do obozu wjadą,
 Wszystko rozpierzchło nikt oporu nieda
 W Króla namiocie, pytają o Szweda. (1)

Rozbici królewscy z przestrachem wybladli
 Nabrawszy ducha, odważnie napadli
 A trwoga nieznaną, i sam wojewoda
 Z rycerstwem swoim haniebnie tył poda.

(1). Towarzysz Ussarski wpadł do namiotu Zygmunta III i zapytał, »a gdzie ów Szwed!« za co rozsiekany został. Był to Hołownia Elijer Radziwiłła.

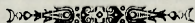
Dymiącą krwią pole Guzowskie spłynęło
 Tysiąc i dwieście rokoszan zginęło,
 Wiele królewskich a nad brzegiem wody:
 Leży zabity nasz Towarzysz młody.
 Głowa skrwawiona na siwym kamieniu
 A prawa noga w drewnianym strzemienu,
 Przy nim koń jego co pochylił głowy,
 Nozdrzami stęka i narzeka słowy,
 Kopie kopytem, wgrzebał po kolana,
 Potrząsa grzywą i żałuje pana.

- O póki pan na grzbiet mój blachowany wsiadał
 Jadłem siano pachnące, sytnym owies jadał,
 A teraz towarzysza, druba mi zabili
 Ni proporcem czerwonym oczy mu nakryli.
 I ja na szczerym polu, ni to pogrzebiony,
 Zdziobie mię sęp żarłoczny, zjedzą kruki, wrony.

V.

A z miasta *Krakowa* wybiegl lud ciekawy,
 Powitać rycerstwo co szło z pola sławy:
 A chrabre rycerstwo ze smutkiem wracało:
 Że własnych braci wojować musiało.
 Ino jeden drugiemu cicho w ucho poda
 « O czemu tak nie wraca do nas wojewoda. »

Niezagrzmiały trąby, ni pochwalne mowy,
 Powracał do miasta orszak pogrzebowy.



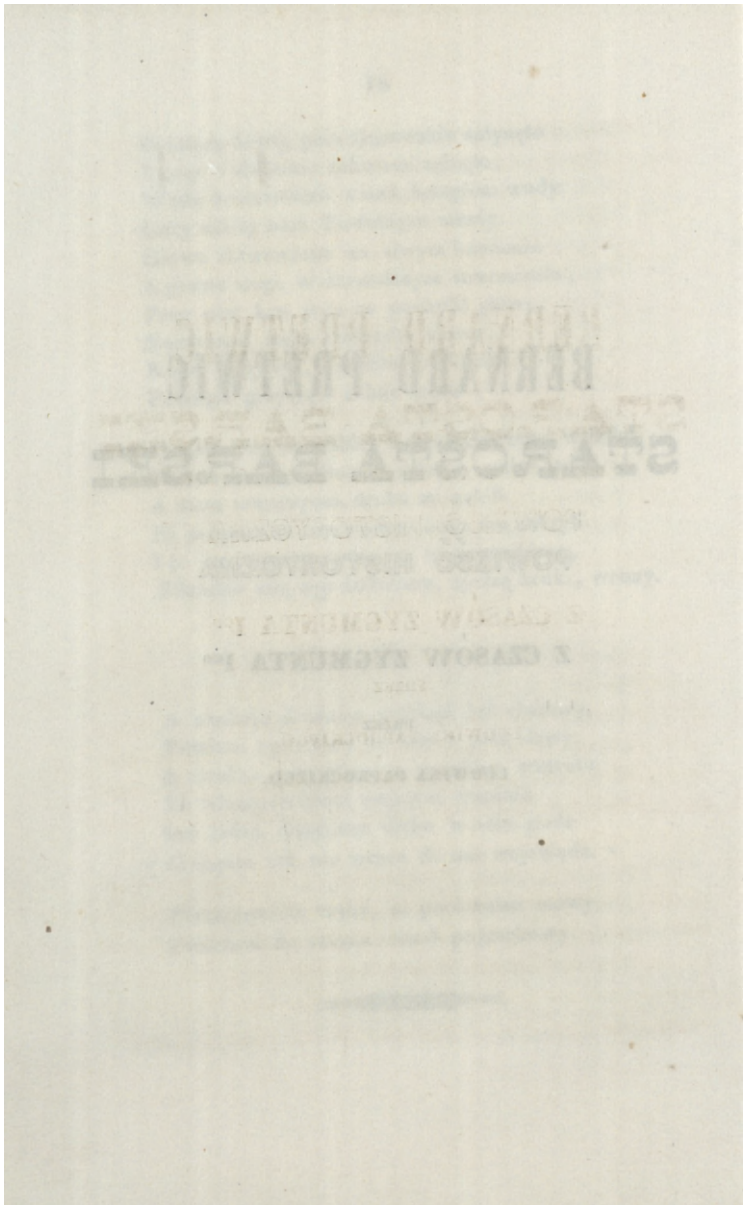
BERNARD PRETWIC
STAROSTA BARSKI

POWIEŚC HISTORYCZNA

Z CZASÓW ZYGMUNTA I^{GO}

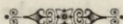
PRZEZ

LUDWIKA PAPROCKIEGO.



BERNARD PRETWIC

STAROSTA BARSKI



I.

GONITWA. - WIĘZY.

Bijące prostopadle promienie sierpniowego słońca w r. 1531 na błonia Pokucia, oświecały okropną scenę spustoszenia jakie na tę tak niedawno głośną życiem plenności i błogiego bytu krainę ręka mściwego wroga wywarła.

Gdzie tylko wzrok przechodnia dosięgał, zewsząd przedstawiały się ślady nieprzyjaznej stopy. Łanów potem pracy skropionych niezłociły ziarniste kłosa, ani świadczące o ziszczeniu nadziei rolnika nieokrywały rżyska, bo wszelkie plony w deptały w ziemię kopyta wołoskich rumaków i bachmatów dzikiego Tatara.

Tu i owdzie jasność widokregu w południowej letniego dnia dobie, ćmiły dymiące jeszcze zabudowań pogorzelska. Słowem, co tylko miało życie, co było dziełem jego, co znamienowało pobyt towarzyskiego człowieka, wszystko to brzemienne kłęskami chmura wschodniej dzicy strawiła.

W straszniejszej nad jałowe piaski Sahary, bo wydłużonej barbarzyńską prawicą pustyni, grobowe panowało milczenie, gdy nagle rozległ się w dali tentent końskiego kopyta i chrzęst rycerskiej zbroi. Było to jakby przygrywanie do hymnu śmierci wśród głuchej samotności zniszczenia; lecz ukazanie się dwóch rycerzy wydających te dźwięki mniej ponure wywierało wrażenie.

Pierwszemu ich oblicza znamieniem był żal głęboki na widok spustoszenia tak pięknej krainy, i żądza zemsty nad dziką tłuszcą która gruzem i popiołem rodzinną ziemię okryła. Starszy wiekiem, dosiadający hartownego na trudy i wojenne znoje tureckiego dzianeta, opuściwszy wodze na szyję rumaka, smutnym przebiegał wzrokiem otaczającą go scenę; a gdy dosiędł spójrzeniem dymiących pogorzelsk, lub unoszących się stad kruczych nad zalegającymi ojczyzną trupami, z wyrazem rycerskiego zapału porywał konwulsyjnie za rękękojęc wiszącego u boku oręża.

Cała jego postawa i uzbrojenie znamienowały wytrawionego nie w szermierskich zawodach lecz w harcu tatarskim i pasowaniu się z wrogiem rycerza. Na twarzy, dojrzałszej znojem i doświadczeniem niż wiekiem, rozlaną wszędzie była ta męska odwaga, ta uf-

ność w ducha obywatelskiej piersi, która taką stanowi sprzeczność z wypieszczonem światową rozkoszą obliczem; słowem, był to wyraz przed którym truchłał wróg w boju, a który jednak słodczyą i pogodą w pojoju ośmielał i rozpraszał bojaźliwość dziecięcia.

Uzbrojenie jego nosiło cechę rycerskiej duszy. Pomimo ustalone ówczesnym zwyczajem okrywanie ciała ciężką stałą, pierś jego krył więcej modą jak bezpieczeństwem wskazany lekki pancerz w karpią tuszczkę, który jednak żadną niemógł być tamą przeciw pociskom nieprzyjaciela; — wojownik nasz za najpewniejszą tarczę uważał swą prawicę i serce. Toż samo zaniedbanie i prostota malowały się w reszcie ubioru. Sięgający do kolan żupan, ściśnięty w stanie pasem bawolim, u którego z lewego boku wisiała godna żylastej ręki szablica, z przodu zaś krótki turecki jatagan; obszernie marszczone żółte buty z ostrogami srebrnymi; czapka szkarłatna z czaplém piórem, i przewieszona niedbale na lewe ramie burka cały ubiór jego składały.

Wiarą wędrownika naszego zdawało się to przekouanie, że dzielność żołnierza nie w złocistych bisiorach, lecz spoczywała w harcie ramienia i stałości sarmackiej duszy; właściwy jednak przepych polskiemu owej epoki rycerstwu, miał niejaki na końskim rzędzie odbicie; bo chrzest zdobiących munsztuk i czaprak z lamparciéj skóry srebrnych filigranów, metalicznym rozlegał się dźwiękiem za każdém poruszeniem rumaka.

I przepychem uzbrojenia, i powierzchownością jeszcze niewytrawionego na trudach rycerskich wojo-

wnika, uderzającą z pierwszym wędrowcem towarzyszy jego stanowił różnicę. Czoło jego i piersi zbroiła rążająca odbiciem blasku słonecznych promieni stal złotem i srebrem przekładana obficie, rękojeść wiszącej u boku domieszki lskniła się bogactwem kosztownych klejnotów; rząd okrywający ognistego rumaka, wszędzie objawiał ślady i zamożności jezdca, i pochopnej do ubiegania się za uprawnionemi modą błyskotkami młodości; ale delikatność oblicza szykownego zaokrągleniem młodocianych zarysów, aczkolwiek już wyraźnie napiętnowanego znamionami obozowych niewczasów i trudów, wymownie świadczyła że młody Sarmata poraz pierwszy miękkość komnat makatnych na ciernisty zawód wojownika zamienił.

Mimo to jednak, z oczu młodzieńca, niekiedy zamglonych smutkiem, niekiedy znowu rycerskim ożywionych zapałem, wyczytać można było i współczucie nad bratnią niedolą, i gotowość całego poświęcenia się na pomstę krzywdy współziomków.

Obaj w ponurém zadumaniu przestrzeń niemałą przebyli, gdy nakoniec, starszy wiekiem, załamując ręce z mocnym wzruszeniem, silnym zawołał głosem: - Wielki Boże! azaliż wszechmocna twa sprawiedliwość niewyrzecze zagłady dzikiego pohańca, który twym wiernym ludem osiadłą pustoszy ziemię? Gdzież nakoniec ujrzemy jeszcze niespłoszonych przez wiarołomnego Wołocha poddanych miłościwego Króla? cała przestrzeń od Kołomyi, przez Sniatyń, Tyśmienicę, aż po wały Halickiego zamku, i te tu znowu zagony pustszą nad step rodzinnęj Ukrainy, straszniejszą nad

afrykańską pustynię wyobraza krainę. Niestety! kiedyż zaświta czas błogi w którym rycerz jeno z rycerzem szlachetne stanie toczyć boje, nietępiąc bułata na obcych wszem zatargom spokojnych obywatelach? Lecz próżno wymagasz tej cnoty po przewrotnym Hospodarze; wróg z hołdownika świętą przysięgą wierności dla Króla i Rzeczypospolitej skrepowanego; z wroga i wiarotomcy zawzięty barbarzyńiec, jakby nie zawierzał srogości lutego serca, dla spłądrowania ziem swego władcy i pana, sprzymierzył się ze wszą dziczą pogańską, i na lud niewinny wszystkie barbarzyńce rozpuścił. Już jednak niedaleka pomsta i kara; nieliczne i młodociane są polskie zastępy, ale sarmacki zapał i doświadczona mądrość przywodzącego nam Hetmana, niemylnie orężowi naszemu rokuje zwycięstwo. Gdyby wszakże niefortunne losy dziesięćkroć jak wieść niesie silniejszemu Petryle dały wziąć górę nad nami, w ówczas ja, Bernard Pretwic, Starosta Barski, własną na usługi miłościwemu Królowi przeciw wiarotomstwu lennika przystawię chorągiew; tak mi Chryste Boże i Najświętsza twa Rodzicielko dopomóż!

— Z tą przysięgą i chorągwią Starosty Barskiego, pozwól połączyć równie święte zobowiązanie się, i husiec Kniazia Konstantego Ostrońskiego, Wojewody Trockiego, a mego szlachetnego rodzica, zawołał z zapalem towarzyszący Pretwicowi młodzieniec.

— Wierzę ci, dostojny Wojewodzicu, odpowie Pretwic; rodzic wasz w długim a cnotliwym żywocie, ofiarą wszelkiego mienia, i krwią tylokrotnie na usługach krajowych przelaną, dowiódł że jest i zacnym



obywatelem i godnym buławy W. Xięstwa Litewskiego piastunem. Gdyby podobne mu dzieci polską składały rodzinę, podnoszący się z zamku krakowskiego głos nam wielce miłościwego Króla i Pana, aby polskie rycerstwo przeciw lennikowi zbuntowanemu pochód czyniło, nie byłby głosem wołającego na puszczy. Szpetna to będzie karta dziejów ojczystych, która ten srom potomnym wiekom przekaże. Jako! gdy zuchwały wazał stargał świętość przysięgi, a rozpuściwszy krwawe po Pokuciu zagony, kraj cały nad Prutem i Dniestrem ogniem i mieczem spustoszył, zaledwie sześć tysięcy żołnierza za grosz ze szkatuły królewskiej w pole wyruszyć zdołało. Lecz dosyć tego; postaramy się aby dzielnością naszą luki wszeregach zapełnione zostały; już się wróg zaznajomił pod Grudźcem i Gwoździem z ostrzem naszego bułata i nie wiele z tej próby mógł nabrać dla siebie otuchy. O tej dobie, pomyślmy raczej jakby wypełnić zlecenie miłościwego Hetmana. Od porannej rosy do południowego skwaru plądrujemy po tej istnej pustyni, aby zasłyszec języka i o obrotach nieprzyjaciela jaką taką przynieść wiadomość; a tu nietylko człeka, ale nawet domowego bydłęcia dotąd niewidzieliśmy na oczy.

— Niedaleko ztąd rozłożone barbarzyńców tabory, rzecz młody towarzysz Pretwica; ufnij w ręczność naszych rumaków, uderzmy na pierwszy oddział który nam w oczy zajrzeć ośmieli się, a zwlokłszy z konia Wołocha lub Tatarzyna, dalej z kopyta ku naszym,

którzy bliżej jak cztery strzały armatnie za nami posuwać się muszą.

— Ta rada godna krwi jaka w żyłach twych płynie, odpowie Starosta, i wykonałby ją Pretwic, gdyby towarzyszem jego wyprawy niebył jedyny odrostek tyle zacnej i zasłużonej w kraju rodziny. A wreszcie, dodał głosem znizonym, jakżebym miał śmiałość stanąć przed oczy Wojewodzianki, będąc posłannikiem okropnej wieści o stracie jej lubego brata.

— Teresa jest przedewszystkiemi godną córą Polski; pomnij Starosto, iż mógłbyś szwank odnieść w jej sercu, gdyby za twoją przyczyną potomek Ostrogskich bez wawrzynów z pierwszej powrócił wyprawy. Lecz co mówię! serce panny siostry jest twierdzą zdawna opanowaną, a bezpieczny jej władca, bez obawy szwanku na wymierzone ku niej spogląda pociski.

— Zamilcz, sercem miły przyjacielu; prawdażem ujęty wdziękami i cnotą waszej dostojnej siostry, stanął na czele ubiegających się o najpiękniejszy kwiat jaki kiedykolwiek ród sarmacki ozdabiał; lecz jakąż dotąd przewagi nad jej sercem chełpić się mogę otuchą? ani rodem, ani mieniem, ani zasługami dla kraju, z czcigodnym szczepem waszym mierzyć się nie mam śmiałości i prawa; a lubo do pierwszych zalet szlacheckiego klejnotu śmiałość rycerską licząca Wojewodzianka, uczcić mię względniem raczyła spojzeniem, gdy m plądrujące Ukrainę wygnał z kraju Tatarzy, i brance rodzinne z pogańskiego wyzwolił jassyru, tej słodkiej jednak mojemu sercu nagrody,

nie śmiałem za nadane mi prawo do jej miłości poczytać.

— Zbyttnia skromność was z drogi jasnej prawdy zbłąkała, rzecz młody wojownik. Rodzic mój dbałym jest o to, aby dostojność znamienitego rodu bez skazy przekazał potomkom; lecz któremuż herbowi krew szlacheckiego Pretwica, tarczy granic Rzeczypospolitej, postrachu i pogromcy Tatarów, skazę przynieść jest zdolną? Zresztą, czyż mniemacie że bez wszelakiej myśli Wojewoda Trocki swęj córce dank pocałunkiem wam złożyć rozkazał, gdyście u nóg jej ofiarowali buńczuk na Tatarach zdobyty? Czy sądzicie, że nie was miał mój rodzic na myśli, gdy żegnając w waszej obecności na Krakowskim zamku udającego się na wyprawę przeciw Petryle pana Jana Tarnowskiego, rzekł doń:—Pomnijcie miłośniwy Hetmanie, donieść mi kto się najlepiej w bójce przeciw zdradzieckim Wołochom krajowi przysłuży, temu bowiem mą gładką dziewczkę w nagrodę przeznaczam.”

— Prawda, rzecz Pretwic, te wyrazy zacnego Wojewody są w każdej chwili sercu mojemu obecne; niezwykły on stroić żartów jałowych, gdy o ratunek kraju rzecz idzie. O jak luba mą duszę odtąd władza nadzieja! Nie jednego lecz tysiąca zbyłbym się chętnie żywotów dla tak świętej sprawy i tyle słodkiej nagrody. Tak jest, tu na tych polach krwią niewinnego obywatelstwa i popiołami jego mienia okrytych, zalegną martwe zwłoki Pretwica, albo klęska powetowaną i krzywdy pomszczone zostaną.

Z rozpozgodzoném obliczem nadzieją błogiej przyszłości wojownik nasz w srodkiem pogrzył się marzenia; rychło jednak zmiana położenia miejsc które przebywali inny myślom jego nadała kierunek. Aż dotąd otwarta w okrag okolica, którą wędrowcy nasi jednem spójrzaniem mogli zawsze ogarnąć, dozwalała im wszelką w myślach i postawie zachować swobodę; lecz w tej chwili, to kręte wąwozy, to gęste po obu stronach zarośla, to znowu pokryte wysokiem na konnego jezdca sitowiem brzegi pobliskiego jeziora, co krok osłaniać mogły zdradliwe i niebezpieczne zasadzki. Pretwic, świadomy właściwego wojownikom wschodu czajenia się na pojedyncze rycerstwo, i szukania wszędzie do łatwych zwycięstw pochopu, przykrócił wodze, umocnił się na strzemiionach, a obejrawszy w olstrach pistolety i przekonawszy się że luzno w pochwach spoczywała szabla, skinął na towarzysza który wnet za jego poszedł przykładem.

Z czujną na lada szelest podnoszący się z zarośli uwagą, powstańcy nasi półgodzinną jeszcze przestrzeń przebyli bez żadnej przeszkody; lecz wjeżdżając na wierzchołek wzgórza, zkąd się daleki widok rozciągał na poziomą płaszczyznę, wzrok ich uderzył pomykający się ku ich stronie tuman gęstej kurzawy, naksztalt obłoku silnym wiatrem partego. Towarzyszyl mu szmer daleki i głuchy, jakby od pędu szybko postępującej jazdy. Obłok ten, to się rozdzielał na części, które obiegając znaczne koła po chwili w jedną zlewały się masę, to znowu znikal stopnia-

mi, jak gdyby wzruszająca go siła rozprasała się w powietrzu, i jednocząc się na powrót, znowu z ziemi ku obłokom tuman mgły gęstej wznosiła. Pretwic, zatrzymawszy konia, rzekł do towarzysza.

— Poznaj nienawistnego gościa ojczystych progów, którego odwiedziły tyle rodzinnych łez wycisnęły, iżby w nich całą tę hordę utopić można. O czemuż pan hetman koronny, niezwierył mi na tę wyprawę tak biegłej w tańcu tatarskim chorągwi Ussarżów Mikołaja Sieniawskiego! Z jakąż rozkoszą stanąłbym z psem tatarskim do harcu, i ostrze mojej szabli krwią pogańską napoił! Lecz hejże do ostrogi kochany Konstancy! Już ledwie ręce naszych rumaków kopyta czas znajdują unieść nas przed tych lutych wilków pogonią.

— Niechcę aby powiedziano że Konstancy Xiąże Ostrogski zemknął przed zajrzeniem w ślipia pierwszemu Tatarzynowi, który go w otwartym polu do tańca poprosił, rzecze z twarzą zaognioną młodzieńca; pozwólcie mi doświadczyć na karku pogańskim mojej dziewiczej jeszcze szablicy. Zsadiwszy z koni kilku niewiernych, zaszczytniej będzie tył podać hordzie; a czyliż może mierzyć się podobny tym nikczemnym bachmatom których tyle na zamku pana ojca widziałem, z moim niezrównanym biegunem. Dosiadając podobnego rumaka, stokroć pewniejszą mi się widzi nadzieja zwyciężkiej gonitwy z lichą tatarską koniną, jak sposobność doświadczenia sił swoich w tańcu z pierzchliwym i milczkiem jeno nacierającym nieprzyjacielem.

— Co mówisz, niebaczny młodzieńcze, rzeczę zdziwiony Pretwic; wiedz że tylko roztropnością miarkowana odwaga chwałę wojownikowi przynosi, a gdzie sił nierówność zachodzi, tam ucieczka sromu nieczyni. Wreście, odstąpisz sam zdania któreś objawił, gdy więcej nabędziesz doświadczenia w rycerskim zawodzie. Nieprzeczę że na metę dla sił waszego rumaka stosowną, zwycięstwo w gonitwie żadnej nie może podlegać wątpliwości; ale w dalekich na Tatarzyna wyprawach, a może i w tej oto pogoni, jeżeli już tylko ta horda nas ma na oku, na tatarskim jeno bachmacie prześcignącbyś Tatarzyna potrafił. Dzie sięćkroć z sił upadnie wasz rumak, nim ślad najmniejszy znużenia dostrzeżesz na koniu ścigającego was lub uciekającego przed wami Tatarą. Dalej! zmykajmy wsteczną drogą; tu mamy tylko do wygrania sromotną w jarzmie niewiernych niewolę, albo gniew srogi pana Hetmana, który niezwykły żartować z nieposłusznymi swoim rozkazom. Gdyby on za mniej ważną rzecz poczytywał wyprawę której chcieliście być uczestnikiem, zleciłby ją był prostemu drabowi. Ile plan jego działań przenikam, tyle pojmuję, że wysyłaniem mocnych w strony oddziałów, tajemniczy miejsca pobytu głównych sił swoich wydawać niechce. Więcej wprawdzie owoców obiecał sobie pan Hetman z naszej wyprawy; lecz i tak dosyć mieć będzie dla bystrzej a przenikliwej swęj myśli, gdy się dowie w jakiej odległości pierwszego wdzialiśmy nieprzyjaciela,

W połowie jeszcze tej mowy, sparty ostrogą rumak

Starosty, zdawał się wiatry wyzywać w zawody; rozciągnięty z całą siłą sprężystości swych mięśni, drażnił zaledwie wysmukłą jak rączkę sarny nogą powierzchni ziemi, z której ani się wznosiła kurzawa, ani nawet ślad kopyta szybkiego nieoznaczył przelotu. Cała chyżość z którąby zaledwie ruch lotnej jaskółki wytrzymać mógł porównanie, żadnych szlachetnego zwierza niekosztowała wysileniu; owszem, w zaognionem oku, szeroko rozwartych nozdrzach, w całej wdziękiem i zaniedbaniem oznaczonej postawie, zdawała się malować radość obojętą, że nakoniec zapadu i żądzy swobody rumaka uprzykrzone niehamuje wędzidło.

Z powabną postawą konia harmonizował niewymuszony wdzięk doświadczonego jeźdźcy. Zdawał się on zupełną pokładać ufność w żelaznych nogach biega. Pochylony na bok, z prawą ręką przy czole dla zasłonięcia się od blasku promieni słońca, całą zwracał uwagę na kierunek biegu widzialnej w oddaleniu hordy; spokojny acz szyderski uśmiech odznaczył się na ustach Starosty, gdy się przekonał że był właśnie z towarzyszem przedmiotem pogoni Tatarów. Zaciemniająca widok błękitu nieba chmura kurzawy, już teraz dwoma pędziła szlakami, stosując widocznie kierunek biegu do zmiany położenia ściganych nieprzyjaciół; lecz z każdą chwilą wyraźniej osłaniała się niebieskawą mgłą oddalenia. Pretwic wzrok malujący zadowolenie, obrócił na towarzysza, gdy nagle czoło jego zasepiło się wyrazem najwyższej niespokojności. Młody jeździec nieustępował

w szybkości biegu Staroście, ale w każdym poruszeniu konia, odznaczała się ta bliska chwila upadku sił, która więcej bodźca niż hamulca zdaje się wskazywać potrzebę.

Widząc że odtąd nadzieja ucieczki spoczywała jedynie w najoszczędniejszym użyciu tak niewytrzymałych sił drugiego rumaka, Pretwic przykrócił wodze mówiąc:

—Boję się abyście zaufania w ręczność waszego bieguna, ofiarą wolności lub życia nieprzyplęcili. Dajcie mu długie wytchnienie, gdyż inaczej ani ucieczki przed pohańcem, ani nawet śmierci z pomstą za krzywdę naszą karmić się niemożemy nadzieją. Dałby Bóg aby bliżej niż mi się zdaje znajdowały się hufce hetmańskie; bez tej bowiem pomocy, tylko od losów opatrznych ocalenia wyglądać możemy!

Ze zwolnionym biegiem dwóch jeźdźców, rozjaśniał się stopniami widok ścigającej za nimi kolumny; jednoznaczność jej postępu, żadną niezachwiana przygodą, w nadprzyrodzonej sile zdawała się czerpać nastanie. Jak żywioł nadludzkim prawom uległy, horda dziczy, pewna celu pogoni, z okrytej mgłą odległości, natrzęsać się zdawała z tak skutecznych na pozór usiłowań dwóch wojowników uniknięcia ohydneho jassuru. Zwycięztwo w zapasach gonitwy, widocznie już na stronę ścigających odnosiło przewagę; bo aczkolwiek za każdym puszczeniem się w zawód naszych jeźdźców, wmgnieniu oka dwoiła się przestrzeń oddalenia, w każdej atoli przerwie dla nabrania tchu przez ściganych udzielonej rumakom, nie-

tylko pędząca horda pierwsze odzyskiwała położenie, ale nawet widoczne skrócenia mety objawiała oznaki. Już teraz tuman kurzawy, ciemnym u dołu oznaczony szlakiem, dla najmniej doświadczonych oczu, widoczną swego nastania okazywał przyczynę; a huk zrazu niewyraźny i głuchy, odznaczał się w tej chwili owym przeciągłym brzmieniem, które bieg przyspieszony po twardym gruncie mnogiej jazdy cechuje.

Z dojrzałym doświadczeniem na tyłu zapasach, u-tarczach, gonitwach w tatarskim harcu odbytych, Starosta pojął ważność niebezpieczeństwa, które jeszcze dla pierwotnych pojęć w rycerskiej sztuce młodego wojownika nie nieobjawiało groźnego. Z całą więc rezygnacją gotowej na wszelkie pociski losu wielkiej swęj duszy, poddał się nieuchronnej kolei przeznaczenia, a wzniosłszy myśl pobożną ostatniej doby istnienia ku Bogu, przemyślał przez jakie jeszcze środki ocalićby można tak piękne pierwszej zorzy życia dni drogiego mu z tyłu względów młodzieńca.

Melancholiczny wyraz oblicza Starosty i czoło głębokim zachmurzone namysłem, wymowniej odmalowały wielkość niebezpieczeństwa młodemu wojownikowi, jak to co własnym pojęciem rzeczy był zdolny ocenić. Z rozważniejszym zastanowieniem zrozumiał że nietyle brak środków ocalenia niecofnioną groził dolą Staroście, ile raczej szlachetne postanowienie dzielenia z nim samym wszelkiej kolei losu.

— Rumak wasz całą zachował rzeźwość, rzeczce doń młody wojownik, a szybkość jego biegu niewątpli-

wie zapowiada wam ocalenie. Niehamujcie go dłużej, ja zaś uczynię na co pozwolą zwątlone siły mojego bieguna, a w ostatniej przygodzie dzielność ramienia i mojej hartownej demeszki.

— Ta mowa dotkliwą we mnie wzbudziłaby urazę, odpowie Starosta, gdyby w mém sercu znaleźć się mogło miejsce dla nieprzychylnych uczuć ku młodzieńcowi którego całą duszą miłuję. Niesądźcie abym był zdolny prostego nawet draba, pachółka ze krwi współziomków, w ostatniej przygodzie pozbawić obrony mojego ramienia.— Zaniechajcie więc nalegań które jątrzą i zasmucają me serce; błagam was tylko o to abyście oporem i męztwem przeciw tak mocnej liczbie niewczesném, złej waszej doli na gorszą nie pomieniali. Dobrowolnie oddajcie się w jassy; a jeśli Bóg w téj wojnie orężowi naszego rycerstwa pobłogosławi, niewątpię że Pan Hetman dołoży starań usilnych aby zbawił rospaczy ze straty jedynego potomka wiek sędziwy waszego rodzica.

— Dzieląc niebezpieczeństwa Starosty Barskiego, mogę się zastanawiać nad tém jak w rycerskiej przygodzie rycerzowi postąpić wypada? odpowie Wojewodzie. Co tylko uczynicie, to będzie niewątpliwie godném szlachetnego wojownika, i to za godne naśladowania poczytam.

— Tego bynajmniej wam czynić nieradzę, rzecze z żywością Starosta, a nawet zaklinam was na czcigodną ojca waszego siwiznę, abyście za wzór dla siebie niebrali tego co mi niecofniona konieczność nakazuje uczynić. Dola nasza jest zupełnie odmienną. Wiedz-

cie że jak szeroka i długa Tatarstwem zaludniona Tauryka, tak szeroko i długo imię Pretwica brzmi w koczowiskach pogańskich. Wiedźcie, że ani jedna horda nieplądruje sarmackiej krainy, któraby nie liczyła kopami pohańców dobrze świadomych oręża Starosty Barskiego i rysów jego oblicza. Zwyciężający Tatar niechce mieć brańcem wojownika, który postrachem plemie jego napełniał. Za chwilę, każdy z barbarzyńców hordę tę składających, jak skarbem drogim, jak relikwią świętości cieszyć i chełpić się będzie kawałkiem ciała moiego, albo chustą we krwi moiej zmaczaną, niewątpiąc że tym sposobem męstwo i chwała pokonanego rycerza własnym stanie się jego udziałem. W spotkaniu z wrogiem obmierzłym krajowi do którego należę, gdy ma się rozwiązać kolój nieugiętych wyroków przeznaczenia, mogęz jak skępowana na pogańskich ołtarzach ofiara nachylić karku pod żelazo niewiernych? Nie! pamiętną w gniazdzie tatarskiem będzie cena za którą żywota Starosty Barskiego dostano! Co do was, wasza młodość, powierchowne pochodzenie dostojnego oznaki, dla walczącego jeno o łupy i brańce Tatara łakomą was czynią zdobyczą. Jeżeli więc drogie dla was wspomnienie czcigodnego rodzica, — tak czule kochającej was siostry; jeżeli znacie cenę dla ostatnich w życiu nalegań wiernego wam przyjaciela, złą dolę krótkiej w jarzmie niewiernych niewoli, niemieniajcie na gorszą zerwania nici pięknego żywota w samem jego nastaniu. Życie choćby dla tego, dodał z czułym uśmiechem, aby przez wasze usta dowiedziała się

Wojewodzianka, jak jej imię było ostatniem po Bogu wspomnieniem Pretwica, jak obraz jej wdzięków, dobroci, czułości, stał się dlań osłoda bolesnej do wiecznego żywota przeprawy.

W tych wyrazach, z niezwykłą hartownej duszy rycerza wyrzeczonych tkliwością, tak szlachetnie odbiło się godne bohatera poświęcenie własnego życia dla podzielenia doli przyjaciela, że też rześstych potoki wzrok Wojewodzica zaćmiły; ale postanowienie uprzedzenia losu któremu się dobrowolnie poddawał Starosta, powzięte w cichości aby nowych uniknąć nalegań, rychło tę oznakę słabości stłumiły, wywyższając młodzieńca do równiej w tych zapasach wspaniałomyślnego serca godności.

Już też niewiele obaj rycerze nad własnym położeniem mieli czasu czynić postrzeżeń i narad. Mimo kilkakrotne usiłowania w ciągu rozmowy którą przytoczyliśmy wzięcia przewagi w gonitwie nad ścigającą hordą, znacznie już zbliżona przestrzeń jej oddalenia, i wyraźne górowania w szybkości biegu oznaki, stały się w tej chwili dla ściganych dowodem zupełnej próżności dalszego kuszenia się o zwycięstwo. Jakoż, w zwolnionym odtąd ruchu ich koni, malowała się wola jeźdzców poddania się bez dalszych zabiegów grożącej im kolei przeznaczenia.

Ścigająca horda już się rozjaśniać zaczęła w niknącej stopniami mgłę jaka ją powlekała dotychczas; już dwaj rycerze wyraźnie ocenić mogli jej siłę, porządek szyku, a nawet barwę jeźdzców i pojedyncze znamiona. Znieprzenoszającej tysiąca ilości koni, wniósł

Pretwic iż był to tylko podjazd jaki najezdca horda, splądrowawszy szeroko opanowaną krainę, wysyłać zwykła na czaty nieprzyjaciela, albo śledzenie czyli gdzie jeszcze jaki zakątek nieuszędł drapieżnej łupieżców chciwości; ale górująca w środku gromady nad ukazującemi się tu i ówdzie buńczukami z włosienia końskiego wielka zielonej barwy chorągiew, świadczyła iż sam wódz barbarzyńców, sprzymierzony z Wojewodą Wołoskim, Aslan Han panujący Tatarom podjazdowi przywodził.

Z hukiem biegu jazdy, mieszało się rzenie koni, i przeraźliwe okrzyki: „*Atta! Atta!*” będące hasłem spodziewanego przez Tatarzyna tryumfu nad nieprzyjacielem. Jednostajność białej barwy skór owczych, okrywających jeźdźców zwyczajnych, urozmaicał tu i ówdzie blask zbroi którą celniejsi przywódcy byli okryci.

Pretwic, z najwyższą przyglądający się uwagą wszystkim tym szczegółom, dla odkrycia każdej jakaby się nastęczyć mogła sposobności sprzedania drogo barbarzyńcom żywota, lub zbawienia przyjaciela, postrzegł że w obrębie zieloną oznaczonym chorągwią, w znacznym od szeregu jeźdźców odstępie, pędził na małym bachmacie zaledwie wychodzący z dzieciństwa młodzieniec. Kosztowny ubiór jego i przodkowanie przed Hanem, nauczyły bacznego postrzegacza, iż to był syn władcy Tatarów. Ostatnią jednak tę miał czas uczynić uwagę, bo w tej chwili przeraźliwy wybuch dzikich okrzyków dobiegającej hordy, przypomniawszy mu nadeszłą kolej niccofnionego losu. Z szyb-

kością błyskawicy zwrócił ku wrogom rumaka i zbrojną obnażoną szablą wznosił do góry prawicę, gdy nagle postrzegł jak uprzedzający go Wojewo-
dzic, zwaliwszy z konia wystrzałem z pistoletu pier-
wszego który mu się nawinał Tatarą, w sam środek
dzikiej zgrai z zapamiętałą uderzył odwagą.

Sto krzywych lecz ostrych jak brzytwę miesiąców,
wzniosło się nad bezbronną głową młodzieńca....
chwila tylko od niecofnionej dzieliła go już wieczności;
ale ta chwila była dostateczną dla rozpaczny wiernego
mu przyjaciela;—jak grom przerywny chmurę dla
ugodzenia w przedmiot obrany, silną pierś rumaka
obalił Starosta bachmata na którym siedział syn Hana,
a ująwszy go muskularną dłonią za długi pęk włosów
spływających z wierzchołka zgolonej głowy na plecy,
wzniósł nad siodło przed siebie, i przykładając do
nagiej szyi ostrze jatagana, grzmiącym zawołał głosem:
» Śmierć jego za kroplę krwi towarzyszącego mi
rycerza! »

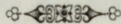
Na ten widok osłupiał wódz dzikich Tatarów.
Wzniesioną ręką dał znak ocalenia;—ale już w tej
chwili potoczył się z konia młody Ostrogski, zale-
wając obfitemi krwi potokami przestrzeń na której
ciało jego zaległo. Gdy zwrócił znowu Han oczy
na syna, wzrok jego zaćmił się tém sroższą boleścią,
iż ta z jedyne go w dzikiem sercu barbarzyńca płynęła
uczucia. Długa struga czerwona broczyła piersi ru-
maka Starosty, i zaraz pod nogi jego upadł bez-
władny Tatarzyn.

Z wrzaskiem barbarzyńskiej wściekłości cała tłu-

szcza rzuciła się na obcego trwodze rycerza, usiłując widocznie pochwycić go żywcem dla wymiaru sroźszej pomsty nad śmierć z orężem w ręku do której zawsze jest przygotowany wojownik; ale zamiar ten niełatwym był do spełnienia. Starosta władając zręcznie zwinnym rumakiem, uprzedzał wszelkie usiłowania rozbrojenia siebie rąk mnogich przemocą; co tylko zaś na pocisk jego oręża nadbiegło, to wszystko martwem padało w około.

Długo o pomstę tylko walczący nasz rycerz, uczuł nakoniec znużenie ręki, i mniej posłusznego cugłom i ostrodze rumaka; a gdy na próżno wielekroć razy rzuceniem się wsam środek zgrai wystawiał się na cios śmierci, którego mu zawsze odmawiała dzicz rozkazom Hana posłuszna, w ostatniem wysileniu broń rzucił na ziemię, i w téjże chwili z konia zwleczonym został.

Z przeraźliwemi okrzykami radości i tryumfu, dumna z podłego zwycięstwa horda silnemi go kępowała więzami, gdy niespodzianie postrzegł opanowany braniec niezwykle w skupionej tłuszczy poruszenie i trwogę. W téjże chwili ukazał się oddział ciężkiej jazdy wołoskiej, i traktując barbarzyńców bez względu na więzy przymierza jednoczącego jej władcę z Hanem Tatarskim, wydarł z rąk zwycięzców niewolnika, a wsadziwszy go na ujętego rumaka, szybkim pędem pognął wsteczną drogą ku swoim.



II.

WIEŚĆ NIESPODZIEWANA-BITWA.

Pierwszy blask zorzy porannej dnia następnego po wypadkach które przytoczyliśmy, nierozpędził jeszcze ciemnych tumanów, i zaledwie rozjaśniać się poczynały światłem szarawém malownicze nad Prutem okolice Pokucia, gdy samotność nocy i opustoszonej w około krainy ożywiać zaczął szmer z legowiska w pochód ruszającego rycerstwa. Świetna jak soliter czarną obwiedziony emalią poranna jutrzienka, z całą siłą zionęła jeszcze swe fosforyczne światło, a już potoczysty dźwięk trąby wzruszył zawarte powieki spoczywającego w obozie żołnierza, i echem powtórzoném odbił się o pasmo gór dalekich.

Czas niejaki głuchy gwar rozlegał się w dźwiękach słumionych, i jaśniały gdzie niegdzie w rozpiętych

namiotach między spoczywającym pod otwartem niebem żołnierstwem pojedyncze światełka. Lecz jak tylko wschód okrył się złocistą purpurą, zaraz w szykownych rozmiarach długą przestrzeń zbrojne zajęły szeregi.

Postawa żołnierza pod bronią, szyk i równość wprowadzonych linii, wszelki kruszec u zbroi zwierciadlaną powierzchnią odbijający poranne promienie czystego wschodu, cichość niezachwiana żadnym niewczesnym dźwiękiem, słowem wszystko za każdym spójrzaniem, doskonałej karności i wprawy w zawód marsowy młodego po większej części żołnierza objawiało oznaki.

Jakkolwiek nieodpowiedniém epoce naszej powieści być się widzi twierdzenie, aby jakiegokolwiek wojsko w wieku XVI, a tém mniej owe tłumy niesforne które nierządna Rzeczpospolita z taką trudnością i mozołem rzadko inaczej jak w najniebezpieczniejszych wypadkach stawić przed nieprzyjacielem zdołała, — mogły nosić na sobie te cechy mechanicznego do geometrycznych wymiarów w zbiorowych obrotach nawyknienia, tę część bałwochwalczą dla najdrobniejszych części ryszunka i uzbrojenia, tę bierną uległość dla wszystkiego co się zwierchnością w hierarchii wojskowej nazywa, te nakoniec w ogólnych wyrazach karność i wyćwiczenie które być się zdają zagadnieniem wieków upłynionych w obecnym zaledwie rozwiązaniem, nieobawiamy się jednak zarzutu prześcigania wieku w rysach fałszywą barwą oddanych, i nieodstępujemy raz w bieg puszczanego opisu.

Przywodzący wyprawie wołoskiej Wielki Hetman koronny Jan Tarnowski, wyższe nad światło wieku w rycerskim rzemiośle rozgarnienie, winien był gorącemu chwale pragnieniu, i swym niepospolitym zdolnościom które dzielnie wspierało doświadczenie niejednej wojny odbytej w latach młodzieńczych za sprawą nietylko swego lecz nawet obcych Monarchów. Jakoż, chwala młodego jeszcze wodza prześcignęła obręb ojczystej zagrody; a gdy islamizm wydał chrześcijaństwu walkę o śmierć lub życie, gdy niezliczone bandy Solimana groźbą dla całego zachodu się stały, trzy narody Niemców, Węgrów i Czechów ubiegały się oto aby ich zastępom wódz polski hetmanił. Nieprzyjął ofiarowanego sobie zaszczytu Tarnowski; nie-obojętny jednak sprawie Chrześcijaństwa, na czele sześciu tysięcy jazdy, na odsiecz Ludwikowi Królowi Węgierskiemu i Czeskiemu pośpieszył.

Łatwiejszém wszakże było powołaniem przywoździć obcym hufcom jak swoim, których ta wątpliwa wistnieniu uległość dla władzy hetmańskiej, a tak groźna w nastaniu i rozpasana na wszystko bezkarność, obok właściwego zbrojnym naszym zastępom mężstwa, niejednej chwale przed Tarnowskim i po nim stały się przepaścią i grobem.

Gdzie dla osiągnięcia skutku zamierzonego jedna wola samowładnie podbić musi moc wszelką indywidualności w massach skupionych, i kierować nimi jakby potężną machiną działaniu głównej sprężyny uległą, tam moralna bezwładność wcielonego w te

massy człowiek jest pierwszym i nieodzownym warunkiem.

Pojęciem wybiegłem za obręb wieku, w którym wojna uległa z przykładów bitnego wówczas wschodu, była tylko rozbojem, czuł Tarnowski że siła muskułów, w działaniach mass na massy, nieinaczej jak pod kierunkiem siły ducha brać może przewagę, a za najprostsze do tego celu drogi, uważał nawykłą do szybkich i szykownych działań karność powierzono swęj władzy żołnierza.

Ile razy stany Rzeczypospolitej uchwały wojnę, a Król zgromadzone hufce powierzał buławie Tarnowskiego, wódz ten otaczał się najdoświadczeńszą wojskową starszyzną, i obywatela potrzebą kraju uzbrojonego, pilnem a umiejętnem ćwiczeniem, na biegłego do marsowych dzieł zapaśnika przekształcał; a gdy władzę hetmańską rozwinął, mąż słodkiej i uległej w życiu domowem natury, nieubłaganą dla winowajców srogością, ujmował wszystko w karby żelaznej karności, i w samym zarodzie pochopną do nierządu ówczesnego żołnierza wytyczał niesforność.

Powinowały Tarnowskiego Wojewoda Podolski i Marszałek Koronny, Mielecki, taki nam rys charakteru tego wodza zostawił: »Gdym ja, powiada, na wuja swego patrzył, w wojsku na jakiej sprawie, albo na sędzie hetmańskim siedzącego, drzałem jako przed obcym i nieznanym groźnym władcą jakim, a gdym za się na pokój jego przyszedł, strach mię on omijał, i nic miłszego ani układniejszego nadeń

w oczach moich niebyło." Współczesny rys biograficzny Tarnowskiego, który nam te wyrazy siostrzeńca jego przekazał, w dobitniejszych jeszcze kolorach dziwną mieszaninę srogości w potrzebie z wrodzoną łagodnością temu znamienitemu wodzowi wyraził w słowach: »Gdy srogi był, widziałeś jawnie iskry w oczach jego: twarz pałała, kark się jako na lwie odymał, szyja się trzęsła, wstawały na nim włosy. A gdy za się łaskaw był, anioł z nieba a nie człowiek z Tarnowa by się widział.»

Tak tedy przezornem i mądrym postępowaniem uniknął Tarnowski ile razy szeregom krajowym przywodził, owego uzbrojonego nierządu gdy rozprężone żołdactwo łupieżstwem żołd sobie zaległy płaciło, a spokojnego i uległego swęj władzy żołnierza siedzibom domowym powracał.

Lecz wróćmy do biegu zdarzeń tym ustępem przerwanych.

Jeszcze się niezłamały szyki gotowych do opuszczenia chwilowego stanowiska szeregów, gdy oddział stukonny towarzystwa Hussarskiego odłączył się od zbrojnej gromady, i ruszył w marsz krokiem umiarkowanym. Ten szczupły hufiec widocznie stanowić miał straż przednią w pochodzie; ale poprzędzający go jeździec w świetnem uzbrojeniu buńczuczno hetmańskiego, nad którym unosił się bogaty buńczuk spływający na utwierdzoną u drzewca tarczę z wizerunkiem herbu Leliwy, dowodził iż sam Hetman oddziałowi przodkował. Jakoż, postępujący tuż za nim jeździec tchnącej godnością postawy, na

pierwszy rzut oka wzbudzał to żywe a jednak uszanowaniem oddalające wzruszenie ciekawości, z jakim zwykliśmy przybliżyć się do ludzi urokiem chwały i znaczeniem władzy obdarzonych.

Na twarzy jego której wąs gęsty i broda podnosiły powagę, wyrytą była ta cecha czucia wewnętrznej wartości i nałogu rozkazywania, jaką wyższość położenia towarzyskiego na owym zwierciadle duszy zwykła odbijać; a lubo wzrok zachmurzony widoczną był skazówką troski i niepokoju, w pełnych atoli ognia a razem pewnych i niezachwianych spójrzeniach wyczytać można było wszelką ufność w swe siły, która w ostatniej nawet toni jeszcze nad środkami zbawienia rospaczać niezwykła.

Z godnością oblicza wszystko w doskonałej było harmonii i zgodzie. Długa i szeroka opończy z pod której błyskała gdzie niegdzie stal świetna, całą wodza osłania postawę, a rażna Ussarska misiurka ze spadającą na ramiona siatką żelazną, przykładała się do marsowego wyrazu twarzy. Koń Hetmana zdawał się rozmyślnie pod wodza wojsk przez szczodłą utworzoną naturę. Wzrost, długość, szerokość piersi, kark wzniosły i okazały, głowa sucha i rażna, ożywiona okiemi wypukłóm świetnój i ogniem iskrzącej czarnosci, w każdym poruszeniu malująca się z wdziękiem, już nietai niecierpliwości hamowanej wędzidłem porywczój do bujania ochoty, ale raczej wyzywająca uwielbienie duma pełna okazałości, słowem wszystko objawiało w nim pochodzenie tak bliższego typu stad andaluzyjskich plemienia polskich

rumaków, dziś już w skutku niegospodarności wieków upłynionych zaginionego (1)

Z lewej strony wodza, strojny ozdobnym ubraniem pazia, lecz nie bez oręża i zbroi młodzieniec, trzymał w prawej ręce wspartą o przód siodła buławę Hetmana, za którym prowadził oddział przedniej straży tchnący w całej postawie mężstwem i wytrawnym na harcach polowych doświadczeniem, przywódzca chorągwi Ussarzów, Rotmistrz Mikołaj Sieniawski. Uzbrojenie jego nosiło na sobie wszelkie cechy tej sławnej kohorty, a od zwykłego towarzysza odróżniał go przekładany złotem kruszec u zbroi i delikatność futra kuny, które zamiast ciężkich wilczur, skór lamparcich, lwich i niedźwiedziach, okrywało barki powierzchwie zbroi Rotmistrza.

(1) Przed kilkunastu laty, w majątności Łyczkowiec, w powiecie Lidzkim Gubernii Grodzieńskiej, będącej własnością byłej Łowczynej Litewskiej Pani Alexandrowiczowej, utrzymywaną była bogata czystej rasy polskiej stadnina. Niestety próżność właściwa prowincyalnym posiadaczom osobliwości, czyniła niepodobnym upowszechnienie tego gasnącego rodzaju. Co tylko schodziło z pola, wszystko niemiłosiernie było zabijanem, i nic prócz walachów niemogło właściciela zamienić. Płodna atoli w sposoby usilność dokazała tego, iż do domu mojej familii, nabyto od Masztalerza na śmierć już skazanego ogiera, który liczne jeszcze zostawił po sobie potomstwo, i na długo chowane tam stado koni poprawił.

Wszystko to szanowało posępną zadumę Hetmana. Głębokie milczenie przerywał tylko rozlegający się w massach za przednią strażą postępujących chrzęst zbroi z głuchym turkotem armat i wozów; ale wiatr przynoszący te dźwięki, świadczył że żadne usta nie śmiały wznieść głosu nad miarę powszechnej cichości.

Silnie już dogrzewało słońce nad poziom wznie-
sione, i znikły unoszące się na nizinach mgliste tu-
many, gdy z prawej strony naszego rycerstwa, w miej-
scu gdzie widnokrąg niebieskawą przyobleka się bar-
wą, ukazał się punkt ciemny z mgły oddalenia stop-
niami rozjaśniający się. Wnet poskoczył naprzód
Sieniawski, lecz postrzegłszy że Hetman z przysło-
nionemi ręką oczyma pilnie się w to zjawienie wpa-
trywał, zwrócił konia i znowu pierwsze zajął swe
stanowisko.

Wszystkie spojrzenia w jeden punkt skierowały się
razem; wzajemny lubo ukośny postęp ku sobie patrzy-
cych z wypatrzonym przedmiotem, rychło położył
koniec wszelkim względem natury jego domysłom.
Był to oddział zbrojnej jazdy na przeciw hufcom na-
szym śpiesznie postępujący. Siła jego trzystu koni
zdawała się nieprzenosić; a gdy widocznie zmierzał
w kierunku tak groźnej przewagi rycerstwa, gubili
się wszyscy w domniemaniach jakie mógł mieć zamiary
i chęci.

Hetman wrzucił ramionami, i obróciwszy w tył
głowę, rzekł głosem podniesionym i dźwięcznym:

— Weźno Waszmość, Panie Rotmistrzu, parę dzie-
siątków Ussarzy, i szepniej nie językiem lecz kordem

do ucha tej niesfornej gawiedzi, czém to pachnie gdy wróg Króla i Pana naszego miłościwego, śmie zbliżka przyglądać się rodzinnej Jana z Tarnowa Le-liwie.

Krótką chwilę zabrało oddzielenie pół hufca z eskorty Hetmana; poczem warknęły u długich kopii proporce, zaszumiały skrzydła ussarskie i wzniosł się tuman kurzawy z pod kopyt rączych rumaków, a silny męztwem nie liczbą oddział, z ochoczym pognął zapałem w kierunku nadchodzącego nieprzyjaciela. Pierwsze tylko wzruszenie właściwego sarmackiemu rycerstwu ducha, zdawało się być podniętą do wyprawienia tak nielicznego oddziału; bo w tej chwili jeden z jezdców ruszył z kopyta ku głównym siłom, niosąc rozkaz Hetmana aby dwa stukonne oddziały szeregowych, z dwóch stron zająwszy nieprzyjaciół, żadnemu z nich uiść z pola nie dały, a jeńców ujętych wnet przed wodzem stawiały.

Tymczasem garstka doświadczonego męztwem Ussarzy, pod wodzą walecznego Rotmistrza, zdolną była zabawić nieproszonego gościa do czasu nadjścia sił stosowniejszych; ale z zadziwieniem Hetmana, zatrzymał się o kilka staj od Wołochów Sieniawski; i rozmówiwszy się z jezdceem który z ich szeregów wystąpił, z nim razem ruszył na powrót ku swoim dozwalając bez przeszkody tył sobie podać nieprzyjaciołom.

Zniespokojną ciekawością oczekiwał Hetman objaśnienia tak niepojętego postępu; lecz gdy z oddalenia poznał że przybyłcem przez Wołochów odpro-

wadzonym był Pretwic, który w tej chwili ożywioną z Sieniawskim toczył rozmowę, spał konia ostrogą, i sporym galopem, sam ku nadchodzącym pośpieszył.

Jak tylko dozwoliła przemówić zmniejszona odległość, zaraz silnie zawołał Tarnowski:

— Nie z obłoków lecz z groźnej spadasz nam chmury, panie Starosto. Waszmość jak widzę, za pan brat z Wołoszynem. Czy nie będzie wola nauczyć mię bez przewłoki, co znaczy to poufałe z łupieżcą ziem królewskich hobrowanie pod moim okiem?

— Obszerną zdać winienem sprawę Waszej Wielmożności, rzeczce Pretwic, z nader płodnej w wypadki acz krótkiej wyprawy mojej. Dzienny obieg słońca widział spotkanie moje z Tatarzynem, chwalebna śmierć potomka domu Ostrogskich, jassyr Starosty Barskiego, zamianę niewoli na pęta innego wroga, i nakoniec oswobodzenie z pobudek i przyczyn których ważność skłania mię do proszenia Was, miłościwy Hetmanie, abyście do konferencji ze mną, właściwsze obrać miejsce raczyli.

— Jakże boleśną sercu mojemu przynosisz waszmość nowinę! zawoła Hetman wzruszony. Życie młodego Ostrogskiego jak krew własna było mi drogie. Śród nieukojonych jeszcze niesnasek ze mną domu jego rodzica, jam wziął za świętą powinność oszczędzenie dni tak porywczego do szukania przygód marsowych młodzieńca. Lecz mógłłem przewidzieć ten nieszczęsny wypadek?... Wszakże zlecenie wam dane nakazywało unikać wszelkiego spotkania. Jam polegał na

znaną światu wprawę waszmości w rycerskie rzemiosło, i do zaufania ścisłości waszej w spełnieniu danych rozkazów miał najlepsze powody. Z resztą z bliższych sercu Starosty Barskiego pobudek, gorliwości jego dla dobra domu Ostrogskich mogłem całkowicie zawierzyć.

— Życie Wojewodzica droższem mi było nad własne, odpowie Starosta, a jednak żalność moją osładza to przekonanie że straszliwa przygoda wyższej nad ludzką mocy być tylko mogła zrzędzeniem. Jam wolny wyrzutów własnego nawet sumienia, któreby mi najmniejszego udziału w tym srogim dla serca tylu pocisku nieprzepuściło. Owszem, goniłem za śmiercią, przelałem najszacowniejszą krew wroga, aby po rycersku zgon ponieść i jedno z przyjaciół pole chwały zalegać. Lecz cóż czynić! dziki barbarzyńiec sroższą przeznaczył mi dolę, a los okrutniejszy nad niego gorzkie mi życie zachował.

— Prawda, cóż czynić! rzecze Hetman, jak poddać się bez szemrania niedościgłym wyrokom Bożym, i czekać kolei gdy nas samych głos chwały i obowiązków dla kraju tam gdzie teraz potomek Ostrogskich powoła. Lecz dosyć tego; ten sam głos nakazuje nam czułość serc naszych kamiennym obwarować pancerzem. Gdy sierżp chwały drogich nam zabiera współziomków, pomsta za kraj i za nich całym w tej chwili być winna serc naszych uczuciem. Żalobę odłożmy do czasu gdy zabezpieczone orężem domowe zacisze, kirem boleści naszej powlec spokojnie zdołamy. Teraz, do rzeczy, rzekł Hetman odjeżdżając na stronę,

z której głos rozmawiających przez nikogo usłyszanym być nie mógł; złóż waszmość w me ręce ciężar swych nowin, abyśmy go zważyć należycie zdołali.

Krótką, lecz w dobitnych oddana kolorach relacya Pretwica, najżywsze na Hetmanie uczyniła wrażenie. Sam niezwłocznie skierował się ku wojsku które wnet skupiać zaczęło wyciągnięone do marszu linie, przybierając postać gotowego do użycia sił swoich w potrzebie zbrojnego kwadratu. Wybiegli ku wzgórzom wkoło stanowiska konni jezdcy na czaty, a służba obozowa, w środku opasanej rycerstwem przestrzeni, rozpięła namiot obszerny. Okrążyli go ze wszech stron zbrojni w rusznice hajducy, broniąc przystępu do obwiedzionej lekkim płótnem przestrzeni; w której rada Hetmańska zasiadła.

Zasłonieni egidą trzech przeszło wieków od słuszeń za niedyskretną ciekawość zapalczywości naszych wojowników, podnieśmy krawędź płótna, i chciwym wzrokiem zajrzyjmy do tej świątyni narad wojennych.

Stały w półkole naprędce urządzone siedzenia. Po prawej ręce Hetmana siedział poważny wiekiem zgięty pod ciężko ukutą zbroją Regimentarz wojsk koronnych Jan Kmita. Lewą stronę wodza zajmował znany nam Starosta Barski, którego przygody i wieści były powodem narady! Dalej zasiadywali kolejną starzeństwa Rotmistrze: poważni wiekiem przywódcy rot pieszych, herbu Topor Balicki i Andrzej Trojanowski, herbu Seliga, obaj Sandomierzanie; przełożony nad działami i puszkarzami herbu Bogorya Stasz-

kowski; dzielny wódz sławnej chorągwi Hussarów Mikołaj Sieniawski Leliwczyk, wraz z dwoma braćmi Alexandrem i Prokopem, przywódcami pułków w teje kohorcie, i nakoniec Maciej Włodek Prawdzic, piastujący buławę lekkiej jazdy kozackiej.

Poważny marsową postacią trybunał głębokie chował milczenie, czekając aż Hetman posiedzenie zagai, i przedmiot zgromadzenia pod naradę przedstawi.

Po krótkiej chwili uroczystej cichości, zabrał głos poważny Tarnowski:

— Nie tajno waszmościom, rzekł, ile trudności mieliśmy do zwalczenia od początku zwierzonej nam przez Stany i Króla Jegomości ważnej sprawy odebrania z rąk łupieżców ziem pokuckich, i skarcenia zuchwałości zbuntowanego lennika. Męstwo i doświadczenie wasze dotąd za liczbę starczyło. Wydarty Wołoszynowi Gwoźdź, Grudziec, Halicz; podwakroć w otwartem polu rozbite nieprzyjaciół szeregi; wróg w swe siedziby zagnany, — wszystko to dozwoliło mi nakoniec myśleć o dokonaniu dzieła przez osadzenie zamków liczniejszą załogą, abym zostawiwszy ich o piece oswobodzone Pokucie, mógł udać się do Krakowa dla wyjednania sił tyle przeważnych, iżby wojna w gniazdo niekornych jeszcze Wołochów przeniesioną być mogła. Do uważania tak dokonanej wyprawy za dostateczną i chwale naszej i włożonym na nas przez kraj obowiązkom, wszelkie miałem powody, gdy głucha wieść i wam zapewne, mościwi panowie, nietajna, obijała się o me uszy, jakoby Wojewoda Petryło sam w swojej osobie na czele niezli-

czonych hufców marsz ku nam rozpoczął, i o dwa dni drogi od nas się jeno znajdował. Niepodobne stwierdzenie tej pogłoski w krainie zamienionej w pustynię, w której człek jest fenixem, wtrąciło mnie między dwie ostateczności: albo narażenia na zgubę szczupłej garstki rycerstwa, albo zaćmienia blasku drogo nabytej chwały pierzchaniem z pola przed bezzasadną plotką. W tej alternacie, dzielący trudy nasze tu nam obecny Starosta, podjął się dotarcia do źródła szerzącej się wieści. Skutek, aczkolwiek drogo nabyty, przewyższył oczekiwania moje. Ufny w swe niezliczone siły i słabość naszą Hośpodar, wydarłszy z rąk tatarskich pochwyconego przez Hana Starostę, za jego pośrednictwem chce nas trwożą przerazić, i do kuszenia się nawet o zbawienie odwrotem szczupłych hufców naszych, wszelkiej pozbawić otuchy. Sam obwiódł brańca wkoło swych niezliczonych szeregów; okazał mnogość dział ogromnego kalibru, a wymieniwszy położenie i liczbę szczupłych sił naszych, oświadczył z butą, iż jeżeli w ciągu jednej doby, ja, Wielki Hetman Koronny, niestanę przed nim boso, z korną i obnażoną głową, niosąc mu zapewnienia lenniczj uległości naszego Króla i Pana a jego władcy prawego, wtenczas obróciwszy mnie w proch jednym zamachem, śmierć i pożogę aż pod mury Krakowa poniesie, Niewątpię że w hufcach buławie mej powierzonych, niemasz najmniejszego pacholka, któryby wszelkich nieszczęść nieprzeniósł nad podobną sromotę, i daleką odemnie myśl wyrażenia wam zniewagi powątpiewaniem, jakbyście

chcieli postąpić, gdy między hańbą a śmiercią chwalebna wybierać należy; ale zastanówmy się dojrzałe, czy lepiej cofnąć się pod ogień nieprzyjaciela do osadzonego załogą naszą Halicza, czy też zasłoniwszy się szańcem polowym, w tém miejscu czekać roztrzygnięcia doli jaką nam los wojny przeznaczył; nadmienić tu jeszcze widzę potrzebę, że samych Wołochów siły, więcej jak w dziesięcioro hufce nasze przenoszą; ale liczniejszy jeszcze Tatarzyn, który w przymierzu z Wołoszynem tę krainę płądował, urażony odmówieniem wrócenia wydartego ze swych więzów Starostę Barskiego, na którym dawną nienawiść i świeżo w polu otrzymaną zniewagę, srogim pomścić chciał obyczajem, wypowiedział wiarę Gospodarowi, i z całą swą dziczą w domowe koczowiska wrócić zamierzył.

Gdy zamilkł Hetman, każdy z obecnych kolejną objawił swe zdanie. Sam tylko Regimentarz Kmita radził porzucić działa i wozy, a wsadziwszy za jeźdźców drabów pieszych na konie, śpiesznie wykonać odwrót ku zamożnemu w artylleryą i wszelkie wojenne przybory Haliczowi. Inni nietylko za tém zdaniem nie poszli, ale owszem domagali się z zapałem aby ruszyć niezwłocznie ku nieprzyjacielowi, i mężnie na jego obóz uderzyć.

Gdy rozdwojone zdania goręcej zaczęły się ścierać, powstał z miejsca Tarnowski, i rzekł:

— Zaniechajcie sporów. — Nie słowy lecz bułatem rychło walczyć będziemy. *Nie daj tego Boże!* rzekł do Regimentarza, *abym ja miał klejnota Pana*

mego odbić, a niewidząc nieprzyjaciela, tył jemu sromotnie podawać. Niechę również, dodał obracając się do Rotmistrzów za wstępny głosujących bojem, krwie szacownej sarmackiej bez nadziei skutku na istną zgubę przelewać. Dzielna rycerstwa mojego otucha, i rozsądek który dziełmi dbałego o sprawę Hetmana przewodniczyć powinien, jedną tylko wskazuje mi drogę, i tą jeno do chwały Jan z Tarnowa poprowadzi waszmościów. Teraz na koń co żywie, i naprzód za memi ślady.

To rzekłszy śpiesznie z całym zgromadzeniem miejsce narad opuścił.

Przenieśmy teraz czytelnika na bliskie scenie tej miejsce, chwałą naszego rycerstwa w potomne wieki pamiętne.

Kryjące się za łańcuch stromych Karpatów słońce dnia tego, ostatnim jaskrawych promieni orszakiem w malowniczej oświecało postaci rozciągającą się od wsi Obertyna ku wzgórzom pobliskim dolinę, wśród której w skupionych szeregach, za urządzonym z ładownych wozów i pasiek nagromadzonych rondel, okiem w pół zawartym, z ręką na kordzie, chwilowego używali spoczynku żołnierze. Na pierwszy rzut oka widać było, że obrońcy chwały narodu pole obertyńskie za teatr do rozwiązania krwawego dramatu obrali.

Garstka rycerstwa zaimprovizowaniem twierdzy polowej, wszelkie rozwinęła środki wzmocnienia szczupłych sił swoich. Śród wiązań ruchomej zagrody, za jej obręb tu i ówdzie wyglądały w przyzwoi-

tych odstępach wyloty dział i hakownic, za któremi spoczywali do ich usługi przeznaczeni puszkarze.

Dwie bramy w dwóch przeciwległych bokach obwarowanego obozu, otaczały silne rotys pieszego żołnierza, a w okrąg całego szanca tworzyli dwie linie celni drabowie i hajdacy, których rusznice wspierały się na wbitych w ziemię widełkach, do trafnego wymierzenia strzelby służących. Srodek przestrzeni zajmowała Hussarya i jazda Kozacka; te lubo za obrębem tylko warowni użyte być mogły, odznaczały się jednak wszelką gotowością do boju. Konie z całym swym rzędem, rozkiełznane na chwilę i uwiązane do wbitych w ziemię kołów, posilały się z torb zawieszonych na głowach obrokiem; każdy zaś jeździec z orężem i zbroją stał lub leżał na ziemi w bliskości swego ramaka.

Skupioną w szczupłym obrębie czterotysięczną ludność, cechowała ta uroczysta i pełna charakteru cisza, jaką tylko w rzadkich zdarzeniach prawdziwie męskiej determinacyi postrzegać można. Zdawało się że iskra ognia którym dusza wodza płonąła, ten pożar męstwa zatliła; na każdej bowiem twarzy odbijało się w żelaznych rysach godło znamionujące w tej dobie oblicze Hetmana: *Smierć lub zwycięstwo!*

Nic silniejszego nad sympatją odwagi. Jeden mąż wielkiego ducha, przykładem zimnej wzgardy dla śmierci, krocie serc truchlejących bohaterskiem natchnąć umie uczuciem, i do spełnienia czynów wyższych nad miarę podobieństwa nakłonić potrafi. Tym duchem i przekonaniem przejęty nasz Hetman, z bra-

terską poufałością obchodził zbrojne szeregi; wszędzie pogodnym i ufnym w moc duszy obliczem szerzył dzielną serca swego otuchę; młodzież niedoświadczoną elektryzował wyrazami do mężstwa zarzewającymi, które w ustach wodza chwałą znamienitego, dzieci na bohaterów przekształcać zwykły; jeżeli dostrzegł znaną twarz weterana z którym dawne dzielił niebezpieczeństwa, tego pochwałą mężstwa i zręczną wzmianką czynów spełnionych, natchnął wnet żądzą zasłużenia na zaszczytniejsze jeszcze wspomnienie wodza ulubionego. Słowem, ogniem własnego mężstwa i spokojem zimnej determinacji całe swe ożywił rycerstwo, poczem wszedł na konia z Pretwicem i wyjechał za obręb obwarowany dla obejrzenia stanowisk do czuwania nocną porą nad bezpieczeństwem obozu przeznaczonych.

Objechawszy w około ostatni łańcuch wart pojedynczych, rzekł do Pretwica :

— Niemogę czat moich rozciągać do tej odległości z którejbym chciał mieć języka o obrotach nieprzyjaciela. Radbym więc wyprawić oddział któryby nocną porą dalsze czynił objazdy, i był niejako ostatnią naszą nicią komunikacyjną. Tę wyprawę, jako doświadczonej wymagającą przezorności, wam znowu powierzam, Starosto. Staniecie na czele dwuchset kozactwa, i spoczynek nocy dzisiejszej *ad tempora pacis et quietatis* odłożycie raczyście.

Wnet wystąpił z warowni hufiec lekkiej jazdy pod przewodem Prokopa Sieniawskiego. Pretwic objął

jego dowództwo i zaraz mrok szary widok odjeżdżających pochłonał.

Po chwili całą przestrzeń ogarnęły ciemności, a głębokie milczenie przerywały tylko stłumione oddalaniem okrzyki czat nawołujących się, i ruch w długich przerwach w obozie, gdy dla zluźnienia stanowisk występowały w pole oddziały. Wśród ciszy ponurzej nocy, sen głęboki zamroczył oczy rycerstwa. Sam tylko Hetman, na twardym węgłowie odpowiedzialności wodza w chwili stanowczej spoczywający, powiek ani razu niesklonił. To rozmyślał i dumiał leżąc na rozesłanym kobiercu; to znowu zrywał się nagle jakby dotkliwą myślą zbudzony, i wstępując na jeden z wozów, u szanica, niespokojne spójrzenia w otchłań ciemności zatapiał; a gdy uczuł poprzedzające poranek tchnienie świeżości w powietrzu, już więcej stanowiska swych obserwacji nie opuścił na chwilę. W oczekiwaniu upragnionej zorzy, zdało mu się jakoby wiatr przynosił zdala szmer głuchy, harmonią powszechniej cichości przerywający. Jakżeby rad przedarł czarną noc zasłonę, dla stwierdzenia wzrokiem czyli go czucie słuchu nie ułudziło! Lecz już wschód ubarwiać się zaczął pasem purpurowym; a lubo jeszcze niezdarł okrywającej widnokrag czarnej szaty nocnej, już jednak w szarych kolorach ukazywał rysujące się na tle swoim obrazy. Cóż znaczy ów szlak ruchomy i ciemny na purpurze jasnego świtu odbijający się?... miałyżby to być gęste ziemi wyziewy.... ale nie.... nic się nad poziom nie wznosi. Tak; to nie obraz złudzenia bezsennej zrzenicy.... Wystrzał z ruszownicy na

łańcuchu warty zewnętrznej, przerwał myśl rozpoczętą; za nim potoczył się huk przerywany strzelby i nadbiegły parte oddziałem jazdy wołoskiej przednie stanowiska wojsk hetmańskich. Zaraz u dział stanęli puszkarze, i zmierzili wsparte na widełkach strzelby celni drabowie; ale hufiec nieprzyjaciela rozsypał się w okrąg obozu, i pojedyncze czyniąc ku rycerstwu polskiemu podjazdy, szyderstwy i złorzeczeniem usiłował wywieść je za obręb obwarowany. Ciszą wzgardliwą przekonany o próżności tych usiłowań, zebrał się znowu w hufiec i śpiesznym galopem wrócił ku swym szeregom, które już rozwinęły się w około obozu, skupiwszy w miejscu wznieścionem ogromną swą artylleryą.

Niepewność cechowała poruszeniami tak mnogiego w porównaniu ze szczupłą garstką hetmańską nieprzyjaciela. Postać cichej i spokojnej w obec niebezpieczeństwa determinacyi groźniejszą jest nad najsilniejsze otwartego boju wrażenia. Postępujące w zbitych massach niezliczone hufce Wołochów, zachwiały się przed uroczystą i niewzruszoną powagą naszego rycerstwa. Rozwinięte już szyki dalszy postęp wstrzymały, i znowu wybiegł ku obozowi oddział aby uszczypliwemi słowy za niedostępny szaniec wywabić rozdrażnionego żołnierza. Ale tym razem nie zdołał myśli powziętej dokonać. W środkującej między dwoma stanowiskami zarośli, ozwał się huk strzelby z rusznic zaczajonych hajduków, i wnet upadło z koni kilkadziesiąt Wołochów, a cały oddział, jak

spłoszona owiec pierzchliwych gromada, w nieporządku śpieszny odwrót wykonał.

Nagle zajęła ziemia pod salwą mnogich dział nieprzyjaciela. Obłoki dymu powlekły cały widnokrąg, a grad żelaza z rykiem przerażającym przeleciał nad głowami obwarowanego żołnierza. Odurzona na chwilę młodzież naszego rycerstwa, widząc bezskuteczność próżnej wrzawy dzielniczej nabrała otuchy, i zaraz pod rządym kierunkiem Staszковского jęła się do dzieła puszkarze. Huk przerywany pojedynczych wystrzałów artylerii hetmańskiej, ginał wśród wrzawy potężnej nieprzyjaciela; ale każdy pocisk niośł śmierć i zniszczenie Wołochom, których niezręczna służba umieszczonym na wzgórzach swym działom nieumiała przyzwoitego nadać znizienia. W tém runęła celnym w oś ugodzona pociskiem dwónastokonna Wołochów armata, i zaległy przy niej ciała kilku ubitych puszkarzy. Świadek naoczny rozprawy stojący w oddaleniu sam Wojewoda Petryło, widząc gasnącą swoich odwagę i zawsze niewzruszoną postawę nieprzyjaciela, rozkazał nakoniec połączonemi siłami szturm ogólny na szaniec hetmański przypuścić. Dźwignęły się nieruchome dotychczas massy, i zwaśnie ze wszech stron na oboz polski natarły; ale zimna i rządnie kierowana odwaga obwarowanych, po kilkakroć silne lecz niesfornym tłumem kierowane zapędy odpierała ze stratą, goniąc za każdym razem po za obręb obozu w zgiełku cofającą się tłuszcę.

Po bezskutecznych usiłowaniach złamania frontu warowni, całe siły Wołochów wymierzyły natarcie

na tylną jej bramę, mniej u tej strony spodziewając się rządneho do odporu przygotowania. Ale baczne oko Hetmana, cel każdego obrotu nieprzyjaciela odgadywało natychmiast, i rychło osada tej bramy, świeżemi posilona rotami, zwarła potyczkę pod osobistym przywodem sercem dzielnego acz pode-szłego wiekiem Rotmistrza Balickiego, ze stratą kilku towarzyszków odparła napad, a pognany daleko nieprzyjaciel, w całych szeregach rozszerzył popłoch i trwogę.

W pięciogodzinnej walce, oręż hufców hetmańskich stale niweczył usiłowania zdobycia warowni; a lubo zasłane ze wszech stron pole trupami, świadczyło o odniesionej w każdym natarciu przewadze, dotąd jednak górowały liczbą na pierwszych stanowiskach szeregi, i bitwa w jednostajnej z obu stron wiodła się losu kolei.

Lecz zwróćmy wstecz przywiedzionych wypadków uwagę czytelnika, i zobaczmy dla czego hufiec pod wodzą Pretwica, ani dopełnił Hetmańskiego zlecenia, ani nawet dotąd niebezpieczeństw bratnich szeregów niedzieli.

Długo rozlegające się w dali okrzyki czat hetmańskich, całą były skazówką położenia błędzącego w ciemnościach oddziału; lecz gdy przebył pasmo wzgórza nad poziom wzniesionego, i tę nakoniec postradał oznakę.

Pretwic wystąpił z szeregu, i złączywszy się z przednią strażą, sam czuwał nad bezpieczeństwem i kierunkiem dążenia oddziału. Już upłynęło kilka godzin

jak osłonięni ciemnością błędne stawiali kroki, gdy wśród poziomych zarośli wstrząsnął się pod Starostą znany już nam z wytrwałej chyżości rumak, i przeciągłym chrapnieniem dał znak niepłonnej trwogi. Rychno potem przyniosł wiatr z oddalenia dobrze znaną bohaterowi naszemu ostrą i odrażającą wonię nieschludnej dzicy tatarskiej.

—A tuś mi, odwieczny mój wrogu! rzekł w roz targnieniu do siebie Pretwic.—Toć widzę przeznaczeniem mojem abyś mi każdy krok zastępował rycerskiego zawodu. Lecz bierzmy udział chwały jaki nam niezycyliwa przeznacza fortuna. Jeżeliś takim na tym tu krańcu rodzinnej ziemi, jakim cię zawsze znałem na równinach Ukrainy i w twój jałowej Hańszczyźnie, nawet w ciemnościach mroku niezadrzy przed tobą serce Pretwica. Bieź bez przewłoki, dodał podnosząc głos do jednego z jeźdźców, i proś pana Sieniawskiego aby zatrzymał oddział, a wkoło na sto kroków jazdę pojedynczą rozesał. W gotowej postawie do odparcia napadu chyłkiem walczyć nawykłego Tataru świtu oczekiwać musimy, jeżeli nie chcemy kośćmi naszymi tego wzgórze ubielić; w dzień jasny niewynajdzie przebiegły dowcip Tatarski zdrady którejby Pretwic niepotrafił uprzędzić.

W rządym gotowością szyku, więcej godziny stał oddział nasz niewzruszony na miejscu, żadnej niedoznawszy przygody; lecz gdy półjasna szarość wschód powlekać zaczęła, zabielił się w dali rozległy tabor spoczywającego po błoniu Tataru. Wzajemny okrzyk

podziwienia oznaczył obustronne poznanie się, i zaraz długą linią wyciągnęła horda, zbliżając się ku gotowemu do boju hufcowi.

W miarę jak się skracala odległość, wzrastała szybkość postępu Tatarzyn, i wyprzedzając obu końcami środek swęj linii, przybierał stopniami szyk półmiesiąca z rogami na nieprzyjaciół wymierzonymi. Ale w pół drogi uprzedził go oddział Pretwica, a pędząc w zbitęj kolumnie, w samej chwili natarcia rozdzielił się na dwie części, rozbił oba rogi krzywego szyku, i za nim znowu w jedną połączył się masę, zostawując na przód bez ładu i celu pędzącego nieprzyjaciela.

W tej chwili obit się o uszy walczących huk dział i strzelby ręcznej szturmu na oboz Obertyński przypuszczonego.

Nic niezdola wystawić rozpaczy bohatera naszego.— Tak że się to uiścił z położonej w sobie ufności? Czyliż mieć można nadzieję aby wyrozumiałaść ludzka przypisać to chciała losowi, co istotnie ślepego losu było zrzędzeniem?

Po chwili milczenia nagle zawołał Starosta;

— Chóćby całego świata szeregi oboz otaczały hetmański, przedrzcć się przez nie potrafię i wczas jeszcze stanę Hietmanowi na oczy.— Dalej, bracia, z kopyta!— ta wrzawa krwawego boju będzie drogi naszej skazówką!

Cały oddział wielkim pognał galopem, lecz zjeżdżając ze wzgórza, postrzegł inną hordę szybkim nań pędem nacierającą.

Krótką chwilę zabrała roszpawa z tym nowym nieprzyjacielem; ale w pewnym oddaleniu znowu takąż napotkał przeszkodę, i coraz z nowemi ścierając się oddziałami, krok każdy postępu nowem okupywać musiał zwycięstwem.

Jak chciała żeru gromada szakali, czająca się wokół pola na którym słoń z nosorożcem zaciekły bój toczą, tak horda tatarska, zerwawszy z Wojewodą przymierze, nadzieją łupu znęcona, plac bitwy stanowcziej w mnogich otaczała oddziałach.

Po kilku godzinach walki z rozsypaną tu i ówdzie i co krok ziawiającą się dziczą, Pretwic tę tylko zdobył przewagę, iż znacznie zbliżył się ku dolinie na której wrzał bój zacięty; a gdy rosproszył ostatni oddział który mu od Obertyna drogę zabiegał, już nieśmiały pohaniec stawić oporu dalszemu postępowi bohatera naszego; stanął więc bez przeszkody u górzystego pasma za którym rozciągała się dolina teatrem bitwy będąca, i zatrzymawszy swój hufiec dla wytchnienia znużonych jeźdźców i koni, czołgając się włązł na wierzchołek wzgórza, i pilnie przyglądać się zaczął kolejom toczącej się walki.

Była to właśnie chwila w której Balicki, odparłszy napad na tylną bramę, i wybiegłszy za obręb warowni, sprawił chwilowy nieład wszeregach wołoskich,

Pretwic wskoczył na konia, słów parę przemówił dla nadania żołnierzowi otuchy, i zwarłszy ostrogami rumaka, jak piorun uderzył w bok niezliczonych hufców nieprzyjaciela.

Niepodobna wystawić zgiełku i wrzawy jaką to niespodziane sprawiło natarcie.

Chwila odurzenia powszechny sprawiła odmet i zamięszanie. Rychło jednak postrzeżono jak szczupłej garstki był dziełem ten pocisk, i wokrag obległy niezliczone rotы śmiałego w swem łonie nieprzyjaciela:— ale przerwa w boju i zamięszanie nieuszły bystrych oczu Hetmana.

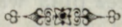
W mgnieniu oka rozrzucono przedni szaniec obozu, i puścić się na nieprzyjaciela w skupionej kolumnie hufiec niezwalczonej hussaryi. W zgiełku niespodziewaném natarciem Pretwica sprawionym, niemógł zdumiały Wołoszyn zjednoczyć środków odporu, na których w przytomném działaniu zbywaćby mu niemogło. Jak potężny huragan, gruzami spustoszenia każdy krok swego przelotu oznaczający, tak silna kohorta wproch obracała wszystko co jej, jakikolwiek opor stawić usiłowało. Nim pocisk ugodził, już łamały się szyki przed wrzawą, szumem, warkiem proporców, i wrażeniem groźnego uzbrojenia olbrzymiej postawy rycerstwa.

Gdy trwoga i zamięszanie owały hufcami nieprzyjaciela, działanie nadbiegłych rot pieszych i lekkiej jazdy najzupełniejszego dokonały zwycięstwa. Pierzchnął, widząc swą niecofnioną zagładę Gospodar Wołoski, i w ręczności rumaka szukał zbawienia od więzów zasłużonej niewoli. Rozbite hufce jego albo broń rzucały pod nogi zwycięzców, albo padały jak podcinane kłosa pod razami hussarskich kopii i koncerzy.

Pięćdziesiąt dział z całym przyborem i służbą; przeszło tysiąc jeńców, niezliczona moc oręża i zbroi, całe pole zasłane trupami nieprzyjaciela, przyzwoicie skarcona buta i niewiara lennika, oto pamiętne owoce trudów i niebespieczeństw dnia tego.

Hetman objeżdżając plac boju, i kierując pogonią rot swoich, rozkazał nakoniec dać znak odwrotu i zbioru w około siebie hufców za nieprzyjacielem rozbiegłych. Zabrzmiały trąby, i zaraz wporządnym szykach skupiać się zaczęły zwyciężkie chorągwie. Gdy nadszedł szczupły hufiec Pretwica niewczasem i długimi znużony trudami, wystąpił naprzód Hetman, ujął przyjaźnie rękę Starosty i rzekł:

— Najpierwszy udział chwały dnia tego wam się słusznie należy, Starosto. Waszej wieści winienem rządne na nieprzyjaciela przygotowanie; waszemu męztwu i bezprzykładnej śmiałości, pierwsze zachwianie się rot niezliczonych, które na mą stronę przechyliło szalę zwycięstwa. Przyjm dziękczynienia jakie wam na tém polu chwały składam imieniem Pana naszego miłościwego. A gdyś się najlepiej w bójce wołoskiej przysłużył, przypomnij wyrazy Wojewody Trockiego, i miej niepłonną z hetmańskiego słowa mojego otuchę do najmilszej sercu Waszmości nagrody.



III.

MIŁOŚĆ. — JESZCZE BURZA. — PORT.

Czyliż w ciągu dwóch obszernych rozdziałów odpowiedzieliśmy by z mała założeniu naszej pracy? Czyliż możemy tuszyć się nadzieją pobłażania czytelnika, którego zamiast obdarzenia rzewnymi wrażeniami powieści kroju tegoczesnego, zamiast zachwycenia umiejętną anatomią serc ludzkich w dzisiejszym bycie społeczeńskim wzrosłych i ukształconych, wiedliśmy przez pola walk i twardego znoju, odorzając pieśczone nerwy szczękiem oręża i wrzawą nieczułej wojny? Czyliż nakoniec złagodzilimy

ciężar śmiertelnego grzechu by najmniej powikłaną intrygą, z niewieściego serca, przez ustronia miłośnych poszeptów, przepaści współzależności, kręte drogi dążenia po wieniec szczęścia upragnionego, wrzawę weselnych komnat, słowem przez róże i ciernie naprzemian snującą się? Niestety! nie; i już zapaliłmy porę zbawienną skruchy. Brnijmy więc dalej nim nas wir potępienia pochłonie, i z bólem serca zrzekając się najśłodszej dla twórcy romansu nagrody, gdy Iza rozczulenia zawisnie na rzesach chciwy wzrok w karty jego wlepiającej piękności, pędzłem w zwiedłych przedtrzechwiecznych kolorach maczanym, ścigajmy do kresu jałowej pracy.

W odległy czas i miejsce wypadkom które nas zaprzętały w poprzedniem opowiadaniu, przenosimy nasz obręb działania. Rok z nakładem upłynął jak syte chwały rycerstwo, zdobyte wawrzyny w domowym złożyło zaciszu, a rany serca osieroconego w nadziejach całej imienia i domu przyszłości Xięcia Wojewody Ostrońskiego, żadnego w balsamie czasu niedoznały ukojenia.

W ustronie zamku Winnickiego przeniósł Wojewoda swą żałość, po wyczerpaniu pierwszych wzruszeń zamienioną w martwą i skrzepłą na wszystko co go otaczało melancholią.

Względne do położenia towarzyskiego usposobienie duszy człowieka, silnie to wspiera twierdzenie, że wkrótce pielgrzymce życia wszystko jest jak najlepiej. Kto od kolebki nękaną niedolą wpoił w swe jestestwo wiarę bytu lepszego, ten nie bez pociechy

i osłody najboleśniejsze znosi pociski; lecz komu świat ten jest niczem, czyjś myśli i żądz wgłębi duszy ukrytych, nawet gruntowna wiara nigdy nieprzeniosła za obręb szczęścia dożywotniego, jakże ten drogo płaci za roskosze różanej ścieżki życia, gdy go los nieubłagany najmilszych sercu pozbawi nadziei! Wawrzyny i róże stroiły naprzemian błogi chwalebny żywot Wojewody. Ubielony siwizną, stałość szczęścia wpoił w nałóg swój duszy, i nigdy myślą o nadbiegającej wieczności, niezachmurzył pogody życia, bo widział wieczność szczęścia i chwały w spadającej na drogiego sercu potomka puściźnie.

Okrutnym ciosem zepchnięty w przepaść nicości wypieszczonych zdawna nadziei, zawarł w duszy swą boleść, i w osieroceniu po najsfodszej myśli, zamknął serce dla wszelkiej z pozostałej mu jeszcze córki osłody. Ach! czyliż trzeba aby strata tego jedynego dobra, dała mu poznać jego wartość nieocenioną?

W jakichże kolorach wystawić zdołamy anielską postać tej nadobnej dziewicy? Piérwszy rzut oka na jej oblicze, rozwijał w umyśle postrzegacza pojęcie powziętego duszą genialnego mistrza wyobrażenia, gdy dla stworzenia arcydzieła, w boskim natchnieniu ujmuje pędzel lub dłóto; lecz gdzież wcielenie w głaz lub na płótno tej twórczej myśli któreby piękności naszej godnym było obrazem, bo gdzież rzetelne naśladowanie uroku życia i duszy?

Urok ten przepełniał całą postać Wojewodzianki, malując duszę równie daleką płochę i wymuskanęj pieśzcotliwości niewieściej, jak przesytu wrażeń miękkiego serca i wrzawy światowej. Urok ten uszlachetniał wdzięki niewysłowionego powabu, jaśniejąc najżywszym blaskiem w tkliwych lecz pogodnych spójrzeniach niebieskiego oka, w którym cała jej odbijała się dusza.

Wśród tłumu wielbicieli o jej rękę ubiegających się, Teresa Ostrogska wzruszyła się tylko dla tego, co nie świetnością światowego powabu, lecz chwałą i zasługami dla kraju drogę do jej serca utorował.

Ileż razy słyszała jak wyzwoleni z jassyru mieszkańcy Podola, imię Pretwica zawdzięczeniu niebios przekazywali. Jakże wymownie przemawiały do jej duszy błogosławieństwa jej rodzinnej prowincyi, która współziomka bohatera tarczą swych rodzin i mienia od nabiegów drapieżnego sąsiedztwa jednogłośnie mieniała? Jak słodkim zapachem wzruszało się serce dziewicy, gdy wieść pełna chwały, roznosiła czyn szlachetny Starosty, jak uprzedzając przewidywany najazd Tatarów, wniósł trwogę w ich koczowiska, i klęską szeroko zadaną, na długo dzikim zamysłem hartowne położył wędzidło.

Głośna sława Pretwica poprzedziła znajomość jego z domem Ostrogskich, i już imię Starosty ubarwiało rumieńcem zapachu czoła Wojewodzianki, nim go jeszcze poznała,

Pierwsze zbliżenie się niestarte na umyśle i sercu

dziewicy zostawiło wrażenie. Było to właśnie potem gdy na równinach Tulczyna rozbił Starosta potężną horde tatarską, która w sam środek Ukrainy wniosła krwawe zagony. Krwią barbarzyńskiej dziczy krwi rodzinnej ślady zalał Starosta; a tysiąc przeszło jeńców, łup cały odbity, tłumy wyzwolonych brańców, mnogość buńczuków i znamion, były owocem świetnego czynu.

Właśnie w ten czas Wojewoda Ostrogski, po niestannych trudach życia publicznego, otoczony rodziną w zamku Winnickim używał wytchnienia, gdy łup zwycięstwa w dom jego, jako jednego z pierwszych dygnitarzy kraju, miał przywieść i ofiarować Starosta.

Nieobojętny na głos chwały Wojewoda, chwilę przybycia bohatera, świetną i jaśniejącą przepychem oznaczył uroczystością. Zabłysnął dworzec tysiącem świateł; u wjazdu do zamku stanęła tryumfalna brama, uwieczona kwieciami i znamionami zwycięstwa, a tłumy dworzan w świetnych szatach uroczystości napełniały krużganki pałacu. Gdy przybył Starosta, spotkał go u wnijsia Wojewoda, i powiódł do oświetlonej rześnym światłem komnaty, w której otoczona orszakiem dworowych niewiast, jaśniejąca wdziękami i przepychem Wojewodzianka, u drzwi przyjmowała gościa znamienitego.

Błask chwały; męzka i szlachetna postać bohatera; tchnące ufnością w swą odwagę i wzgardą niebezpieczeństw oblicze; wzrok przyćmiony skronnością,

która tak wysoko podnosi istotną zasługę, cała postawa oddalająca wszelkie wyobrazenie miękkości w światowej pogrążonej rokoszy, rozdzieliły w sercu dziewicy uspioną iskrę uwielbienia, niecąc pożar niewygasłej miłości.

Niedostępne aż dotąd tkliwym wrażeniom serce wychowanka wojny, zadrżało pod urokiem wrażenia zachwyconej i zachwycającej dziewicy. Moc wrażeń pierwotnych na duszach twardemi kolejami rycerskiego rzemiosła zahartowanych, silniejszą i trwalszą jest nad wszelkie serc wypieszczonych wzruszenia. Bohater nasz uczuł się w inne przeniesionym jestestwo, a w zdumieniu nad nowym stanem swej duszy, stał oniemiały i drżącym spójrzeniem przebiegał skarb niezrównanych wdzięków, który odtąd całym miał być jego pragnieniem, jedynym celem istnienia.

Po długiej przerwie zapomnienia się w opojeniu wrażeń niezwykłych, odzyskał nakoniec myśl przytomną Starosta, i z zapłoniem zgiąwszy kolano, złożył przed ubóstwioną chwilą zachwycenia istotą, znamie które niegdyś krwią i pozogą groziło krajowi, a teraz ręką zdobywcy złożone u nóg owładającej sercem jego dziewicy, męztwa i uczuć bohatera było tłómaczem.

Podniosła z zapałem Wojewodzianka dar chwalebny i tkliwym głosem wynurzała z serca płynące dziękczynienia; ale przerwał jej Wojewoda mówiąc:

— Nietakiej podzięki godzien dar szlachetnej odwagi. Nielen się Waszmoścpanna przyciśnieniem

ust zawdzięczyć hołdu który tyle ci chluby przynosi. Piękność nagradza mężstwo. Na ten raz przyjmij Waszmość jej prawa, i godnym dziewicy męznego plemienia obyczajem, pocałunkiem chciój zawdzięczyć zaszczyt jaki Pan Starosta tobie i domowi memu przynosi.

Odtąd nowe zaczął życie Starosta. Uczucia jego rozwinęły się z całą żywością serca którego jeszcze żaden przedmiot niewzruszył. W szczerości wojaka obcego dla dróg skrytych tajemnia głosu serca wyszukaną rachubą postępowania, w każdym kroku zdradzał tajemnicę swych myśli; a ile razy z żalem radby cofnąć zbyt wymowną oznakę, poznał po opojeniu swęj duszy, iż ją z wdzięcznością i odpowiedniem uczuciem przyjęła Wojewodzianka.

Czyliż uszły uwagi Wojewody te wzajemne rozwijającej się miłości znamiona? przeciwnie; jakżeby rodzicielskie serce obcem być mogło temu na czém los i przyszłość dziecka się wspiera? Był świadkiem nastania i wzrostu skłonności dwójga kochanków; a lubo nigdy nie wynurzył swego w tej mierze mniemania, nigdy przecież chmurą czoła niezaćmił pogody zobopólnego uszczęśliwienia, — nigdy przeczącym wyrazem oblicza niezniszczył powziętych nadziei.

Głos ciężkiej kraju potrzeby, gdy Gospodar Wołoski krwią całej prowincyi swą niewiarę oznaczył, przerwał to bezpieczne krzewiących się uczuć pod niebem rodzicielskiego pobłażania istnienie. Sędziwy Wojewoda pośpieszył służyć radą; waleczny Pretwic ramieniem; a gdy Król zegnał w Krakowie podle-

głe buławie Tarnowskiego rycerstwo, Xiążę Ostrogski, iakby w umyślném dla świadomych sobie uczuć Starosty znaczeniu, tonem pół rzetelnym, pół zartobliwym, ręką nadobnej córki, najcelniejszą w sprawie pokuckiej zasługę wynagrodzić przyrzekał.

Widzieliśmy jaki wziął udział nasz rycerz w tej chwalebnej wyprawie. Cóż więcej sprzeciwić się mogło uszczęśliwieniu tego, którego nowa najzaszczytniej przez Hetmana poświadczona zasługa, ostatecznie zdawała się ukrzepiać nadzieje i prawa?... Niestety! — wszystko. — Chwała domu, jedyny cel istnienia i nadziei podeszłego Wojewody, młody Ostrogski poległ w ciemnej i niechwalebnej wyprawie. Czyliż mu nietowarzyszył Starosta? Czemuż więc własne tylko uniósł życie z niebezpieczeństwa? Czemu przynajmniej swém doświadczeniem nieosłonił porywczego zapału młodzieńca? W uprzedzeniach boleści, całą swęj niedoli przyczyną rozpaczający starzec w głosie serca mienił Pretwica, a zimny w ponurej melancholii dla córki i wszystkiego co go w dniach szczęścia wzruszało, niemógł uitać swęj odrazy na widok tego, którego niegdyś synem swym nazwać był gotów.

Pogrążony w posępnej zadumie i skrzepłej na wszystko odrętwiałości, mógł wzbudzić mniemanie iż niezyczliwe dla Starosty oznaki były dziełem ogólnego usposobienia starca, pod ciężarem niedoli zgiętego. Mniemali nawet kochankowie, iż odwołanie się do ojcowskiego serca w rzeczy ostatecznego rozrzą

dzenia ręką i losem jedynej córki, zbawienném dla duszy strapionej roztargnieniem, wróci go na łono nadziei i szczęścia. W nieśmiałych wyrazach do kolan starca przynieśli cel upragnionych życzeń serc swoich.

Jakiż grom uderzył Pretwica!... Zachmurzył i tak już troską zorane oblicze Wojewoda, powstał na nogi i rzekł głosem przerywanym gniewem i boleścią na przemian.

— Zapomniałem w utrapieniu srogiego ciosu, że jako bliski tronu dygnitarz, za świetne w sprawie wołoskiej czyny Waszmości, winienem dziękczynienia. Odbierz je Waszmość w tej dobie. Lecz niezapomniałem jako ojciec osierocony, com ci winien za tę chlubną dla kraju, a boleśną dla serca mojego zasługę. Czyś mógł lub niemógł sędziwe lata moje zabić najsroższych tego życia katuszy, niech Pan Bóg osądzi Waszmości. Wiedz jono, że jak jest niepodobnóm abys mi wrócił syna poległego bez chwały, tak równie niepodobna abym cię jako syna do łona mego przycisnął.

Padł w wyczerpaniu boleści na swe siedzenie, i znowu w martwą pogrążył się zadumę.

Pocisk oskarżenia tak boleśnego, tak obraźliwego dla serca które już tyle razy złorzeczyło niezłomnym wyrokom przeznaczenia, że mu przeżyć zgon młodego przyjaciela kazały, sroższą nad miarę wystąpienia przejął rozpaczą wyzutego zarazem nietylko najsłodszych sercu nadziei, lecz nawet drogiej dla

miłośnika chwały czci szlachetnego rycerza. Bolesć srogiego ciosu, obok rozpaczy, obudziła w sercu nieszczęśliwego tę przenikłą do głębi duszy urazę, w której wolemy zostawić przekonanie fałszywego zarzutu, jak poniżyć dumę godności osobistej od-pieraniem oskarżeń szczepiotliwością wymowy.

Z politowaniem, lecz i z wyrazem wspianiafomyślnego przebaczenia obłąkanej boleści starca, opuścił Starosta złowieszczą komnatę. ... czyliż jednak opuści i siedlisko które go nadziejami szczęścia ukołysało, bez ostatecznego pożegnania jedyne go czci swojej przedmiotu?

Długo nieszczęśliwa córka klęcząc, na kolana starca łązy gorące roniła, a bolesć jej nieprzeniknęła do serca nieszczęśliwego; ani jednem skinieniem nieokazał jej politowania, by najmniejszego nawet w srogiem udręczeniu współczucia. Zalana łzami wybiegła z komnaty ojca, i padła zemdlona na ręce oczekującego na nią Pretwica.

Gdy po długiej przerwie otworzyła oczy, postrzegła u nóg swoich klęczącego Starostę, który widząc wróconą swej kochance przytomność, rzekł tonem złagodzonej tklivością rozpaczy:

— Srogi acz w obłąkaniu boleści wyrzut mnie uczyniony, jest wyrokiem wiecznego wygnania mojego z domu wszystkich nadziei szczęścia dozogonnie wam wiernego cziciela. Przekonany że w anielskiem sercu waszém, niemacie miejsca dla tych okrutnych i wierzajcie mi niesłusznych posądzeń, unoszę z sobą je-

dyną na resztę żywota osłode, że bez odrazy imię Pretwica wspominać będziecie, i błagam was o to abyście łąz jedną pamięć moję obdarzyć raczyli, gdy wam wieść zgon mój na polu chwały objawi.

— Gdzież zamierzacie kroki wasze skierować? spyta Wojewodzianka.

— Zamilczałem przed Wami że horda z nad kuban w granice kraju wkroczyła i szerokie po Ukrainie rozwiódła zagony. Wzywa mię nowe pole chwały, na którym mam nadzieję kresu utrapień moich doścąpić.

Wiadomość ta pozbawiła uciśnioną dziewicę ostatnich męstwa, z jakim rozpacz swą wgłębi duszy więzić dotychczas umiała. Gdy ślepą waleczność kochanka podzegną udęczenia niedoli serca, zgon jego niewątpliwem być musi następstwem męstwa rozpaczą kierowanego. Ta myśl wywiódła nieszczęśliwą z granic dziewiczej przywoitości. Podniosła się z okrzykiem strapionej duszy i zawołała załamując ręce:

— Czyliż być może abyście mi ten jeszcze gotowali kielich goryczy? Czyż w okrucieństwie serca zechcecie rozszarpać tyle strapioną już duszę wiernę wam przyjaciółki? Nie! . . . niemogę mniemać abym się tyle na szlachetności uczuć waszych zawiodła. Śmierć codzienną towarzyszką bohatera, nie czyni więc żadnej mu chluby. Zaszczytniej stokroć dzwigać ciężar życia, jak w nieczułości grobu szukać własnego tylko spokoju, wskazując na męczarnie rozpaczcy tych, którym nie tak łatwo trafić do spoczynku mogiły.

O nie! nie!... pozwólcie mi odetchnąć po tej sro-
giej pogróżce okrucieństwa waszego. Niechcę ja was
z drogi chwały sprowadzać. Niechcę dotkniętych
kłęską współ-ziomków jedynej ramienia waszego po-
zbawiać obrony; ale dajcie mi słowo rycerskie że nie
śmierci lecz zwycięstwa szukać w boju będziecie.
Osłonię was tarczą moich modłów, i ten raz jeszcze
śmierć uszanuje tego, kto już ją tyle razy zwyciężał.
Patrz; ten szkaplerz ręką moją uszyty, na cudownym
Najświętszej Matki obrazie, przyjął Boskie błogosta-
wienie. Noście go na swém sercu, a miłosierdzie
Bogarodzicy zbawi was śmierci dla zbawienia mię
sroźszej nad nią rozpaczy. Ach! na kolanach o tę je-
dyną błagam cię łaskę... Daruj mi twoje życie...
Przyrzecz... przyrzecz że je dla mnie zachowasz!

Cóż wyrazić zdoła roskosz uniesienia bohatera na-
szego? Zdawna wzajemna miłość Wojewodzianki nie
była dlań tajemnicą; nigdy jednak tak wymownym
głosem serca mocy swych uczuć nieoznaczyła. W za-
pomnieniu uroku duszy, przycisnął do łona rozżalo-
ną kochankę, ognisty zamienił z nią pocałunek; padł
potem na kolana, z ręką na sercu wyrzekł słowo:
Przyrzekam! i uchodząc niebezpieczeństwa rozbro-
jonego czułością pożegnania, śpiesznie wyszedł z ko-
mnaty.

Rychło dosiadł rumaka i osłoniony mrokiem za-
chmurzonego wieczoru, niepostrzeżony przez nikogo
zamek Winnicki opuścił na zawsze.

Śród poziomych lecz przestronną dolinę zalegają-
cych zarośli w blizkości zamku, czaiła się w dniu

tym horda tatarska, oczekując ciemności nadechodzącej nocy któreby zdraadne jej zamysły osłonić mogły.

Rozległą przestrzeń zajmowało kilka tysięcy dziczy, tuląc się do nagiej ziemi, i pilnie strzegąc się zdradzenia tajemnicy swojej bytności w tych miejscach.

Wśród rozwiedzionego taboru, na rozestanym ze skór baranich kobiercu, siedział z podgiętymi nogami wódz oddziału Murza Safar - Ali, posilając się pasem sparzonego pod siodłem końskiego mięsa, które tak zwanym *Kumysem* z przetrawionego mleka kobyłego w częstych przerwach popijał.

Jak wilcze ślipia błyskały w szarym mroku zwłękłości płaskiej i szerokiej twarzy małe lecz czarne i ogniste oczy, któremi bezustannie na bielejące w oddaleniu mury zamkowe poglądał, objawiając dziką niecierpliwość zawodzonego oddawna oczekiwania. Nagle szum głuchy rozwiódł się po taborze. Wzdrygnął się czujny Tatarzyn i ucho przyłożył do ziemi, lecz poznawszy że szelest stłumiony zbliżał się ku miejscu które zajmował, usiadł znowu i z oznaką niecierpliwości jakiegoś oczekiwać się zdawał przybycia.

Po chwili dwaj Tatarzy przywiedli żyda, i oddalili się zostawując go z wodzem sam na sam.

— Jakież wieści? zawołał Murza skwapliwie.

— Wszystko wam, miłoścyw Panie, sprzyja najlepiej. Dziś zaledwie wiadomość o wkroczeniu hord waszych w granicę Podola po zamku rozchodzić się zaczęła. Ani się śni komukolwiek tak blizka wasza obecność. Nigdzie żadnego do odporu przygotowania, i niewiele was zdobycz kosztować będzie. Znane mi są

najłatwiejsze do gmachów zamku dostępne, któremi gotów jestem wam przewodniczyć.

— Nie zdobycz, lecz zemsta mię wiedzie! zawołał Tatar z dzikością. Pretwie! Pretwie! powtarzał zgrzytając zębami. Tyś mię upewniał że go wydasz w me ręce.

— On ujść ich niemoże, miłościwy Panie; jest w zamku i zatopiony w pięknych oczach Wojewodzianki, dzieli powszechną niewiadomość.

— Wysłuchaj mię, psie niewierny, rzecze Murza z zapalczywością. Śmierć mię czeka w katuszach, gdy się dowie mój władca, wielki Han ludu prawowiernego, że mianowicie zamek w którym najzaciętszy wróg jego przebywał, ujść mu rąk moich dozwolił. Dowiedz się więc co i ciebie czeka w tej chwili. Połowę złota i klejnotów zamkowych tobie przeznaczam za niego; lecz palem zakończyć każę nikczemne twe życie, jeśli mię fałszywemi usty z drogi celu mojego sprowadzisz.

To rzekłszy gwiznął przez palce, i zaraz cała horda dosiadła bachmatów. — Murza sześciu Tatarom otoczył kazał żyda drogę wskazywać mającego, zaleciwszy aby został rozsiekany na miejscu za najmniejszą zdrady oznaką, i cała gromada dziecizny milczkiem sunęła ku zamkowi, osłonięta głęboką ciemnością nocy.

Żarliwie w swęj sypialnej komnacie modliła się Wojewodzianka. Jakieś trwożne duszę jej uciskały przeżucia. Jestże to tęsknota rozstania się z lubym uczuć przedmiotem? ... nie, trwoga a nie rzewność

„dreszczem delikatne przejmuję jej członki. Czyliż głos serca udreżonego nowe jej przepowiada nieszczęścia?... O Boże! wołała w niezwykłym zasmuceniu; jeżeli wszechmocna Twa wola nowe dla mej cierpliwości gotuje doświadczenie, spraw abym za siebie nie za innych cierpiała, lub mię do Twej chwały wiekistej powołaj!... i zawarła powieki wspierając głowę na miękkich węzłowiach łożnicy.

Niknęła stopniowo przytłumiana wrzawa ludnego zamku, i po chwili głębokie owładło milczenie, przerywane tylko ponurym swistem wiatru jesiennego.

Nagle z łoskotem wypada okno komnaty. Zrywa się na łożnicy Wojewodzianka... Cóż za widok uderza jej oczy! Zbrojny ostrém żelazem potwór odrażającej dzikości wzrok szatańskiego wyrazu poił zachwycającym obrazem widzialnych przy blasku gorejącej lampy wdzięków dziewicy w nocnym zaniedbaniu. Zdawało się że głowa meduzy w głąz zamieniła nieszczęśliwą istotę. Klęcząc w martwej nieruchomości ze złożonemi na piersiach rękami, nieczułem i osłupiałem wéjrzeniem suchej zrzenicy, przebiegała rozognioną wyrazem sprośnej lubieżności twarz szpetną dzikiego Satyra.

Długo zachwycony Murza niemógł wzroku widokiem tyłu wdzięków nasycić; lecz nakoniec gwiznął zbliżywszy się do okna komnaty, i zaraz czterech Tatarów stanęło obok niego.

—To moja zdobycz, rzekł do nich ukazując Wojewodziankę; gardłem mi odpowiecie za jej całość i bezpieczeństwo. Potém trzykroć powtórzonem gwiźnieniem dał znak rabunku i rzezi.

Zawyła horda dziczy, wdzierając się z wybuchem łoskotu i wrzawy przez wszystkie wnijścia i okna do zamku. Rozległy się jęki po labiryncie komnat, tu i ówdzie przerywane szczękiem zaciętej walki. Murza wiedziony przez żyda wpada do komnaty Pretwica.... opuścił ją już od dawna; zadnych poszlak bliskiej jego bytności.... cóż wyrazić zdoła wściekłość omyloniej słodyczy zemsty? Zgrzytając zębami, rwąc pęk włosów wierzchołek zgolonej głowy pokrywający, dał rozkaz katuszy żyda, który wnet pod ciosami pała wbijanego kołem do wnętrzości ciała, ducha w męczarni wyzionął. Krew niewiast, starców, dzieci, pokonanych obrońców, wszystkie zalała komnaty, i sam tylko Wojewoda, otoczony orszakiem walecznych, przebojem na dziedziniec zamkowy został odprowadzony, gdzie dosiadłszy koni, zbrojna gromada oczekiwała końca okrutnej sceny, aby zoddalającą się hordą zwieść ostatnią walkę rozpaczy.

Wybuchnął na czterech rogach pożar starej Ostrogskich dziedziny. Przy blasku szerokiej łony, ruszyła do odwrotu horda zdobyczą obławowana. Nagle głos boleści wydziera się z piersi Wojewody. Całą strapionej starości pociechę, jedyne już dziecko unosi dziki Tatarzyn. Zemdloną Wojewodziankę w orszaku Murzy na koniu utrzymują łupieżcy. Już niknie w oddaleniu horda.... ostatnią walkę zwoździ szczupły orszak nieszczęśliwego starca. Lecz odparty przemocą, wraca do opuszczonego Pana. Rychło plac spustoszenia i rzezi, okrywa głucho trzaskiem tylko pożaru przerywane milczenie.

Tymczasem samotny, w smętnym pograżony dumaniu, z opuszczonemi na szyję wiernego konia cuglami, wolnym krokiem jechał Starosta. Zdało się że go moc czarodziejska więziła do miejsc opuszczonych. Co kilka kroków zatrzymywał rumaka, i cisnąc ręką zbolałe serce, zdawał się chcieć wzrokiem nad ciemnością nocy odnieść zwycięstwo, aby raz jeszcze ujrzeć schronienie ubóstwianego przedmiotu.

Znużony bezustanną walką uczuć serce przepelniających, zatrzymał się na koniec u drzwi gospody, i powierzwszy konia staraniom miejscowej służby, usiadł pod wystawą domostwa, pragnąc z pierwszym blaskiem zorzy raz ostatni powitać i pożegnać utraconego szczęścia siedlisko.

Nic nieprzerwywa dłużej i ponurzej samotności zadumanego.... Lecz cóż znaczy ta łona ognista stronę miejsc opuszczonych niedawno rozjaśniająca?.... To pożar.... pożar w zamku winnickim.... tak jest; żadne inne w tej stronie domostwo, niemogłoby tak przestronnym jaśnieć obszarem płomieni. Piorunem dosiada rumaka, porze boki jego ostrogą, i lotem jaśniejącym puszcza się ku miejscu nieszczęsnej przygody. Już zmniejszona w połowie odległość, utwierdza go w złowieszczym domysle, gdy przy blasku ognistej łony, postrzeżga gromadę zbrojnych jeźdźców, powolnym krokiem na przeciw siebie postępujących. Rychło poznaje Starosta Wojewodę, którego w odretwiącej nieczułości wierna służba rękami utrzymuje na koniu.

Pocisk gromu mężniej wytrzymałby nasz rycerz, nad cios wydarzonych wypadków które mu służba

Wojewody opowiedziała. Długo w srogiem udręczeniu niemógł zebrać do szyku i związku myśli w niedładzie rozbiegłych. Lecz czyż w niewieściej bezwładności ma swą rozpacz utopić? Pierwsza myśl przytomna, wróciła mu potrzebniejszą jak kiedykolwiek dzielność męskiego serca. Dwóm tylko wiernym hajdukom rozkazał zawsze odrętwiałego starca w bezpieczne odprowadzić ustronie; cały zaś oddział z dwiestu koni dworskiej służby Wojewody złożony, zawrócił wstecz i na czele jego pognął za śladami nieprzyjaciela.

Wiodąc tak szczupłą garstkę, niemógł nasz rycerz ludzi się nadzieją wydarcia łupu tyle przeważnemu nieprzyjacielowi; ale jedaym rzutem myśli w przezornem doświadczeniu objął całą trudność powziętych zamiarów; rozpoznał przeszkody i wszelkie skutku koleje; podobne i niepodobne rozważył następstwa; gruntownie przewidział zaradcze i zaczepne środki, i wkrótkiej chwili plan mądry działania stworzył w dojrzałej myśli.

Główną jego podstawą był charakter nieprzyjaciela tak dobrze znany bohaterowi naszemu. Uchodzący ze zdobyczą Tatarzyn, stale unikać zwykł boju chociażby najłatwiejsze w odwrócie mógł odnosić zwycięstwa. Miał więc Starosta sposobność ścigania go i utrzymywania w ciągłej trwodze, pewny iż niebędzie ze swęj przewagi korzystał, aż nim wzmocnione siły dozwolą zaczepne przeciw niemu rozpocząć działania. Tymczasem, rozwinięta przez najsłynniejszego obrońcę kraju chorągiew pogoni unoszącego łup zrabowa-

nej prowincyi Tatara, przywołać musi ze wszystkich krańców Ukrainy rozpedzonych mieszkańców, i siły rycerstwa pomstę i oswobodzenie brańców mającego na celu pomnażać codziennie.

Najzupelniejszy skutek myśl tę uwieńczył. W pierwszym wyruszeniu za unoszącym zdobycz zamkową Tatarem, wyprawił Starosta do wsi ludniejszych i znanych dobrze kryjówek posłańców, aby wieścią o rozpoczętej przez Pretwica pogoni, lud rozproszony do zjednoczenia się pod chorągiew tak sławnego bohatera skłaniali, i już o wschodzie słońca widział potrojoną swą siłę nadbiegającym z miejsc pobliskich zbrojnym kozactwem. Wkrótce doznał nieprzyjaciela, a lubo był już w mocy i chęci stoczenia z nim walki, ten jednak niechciał stawić mu czoła, i party pogonią, z właściwą sobie rączością zdobycz do swych siedzib unosił.

Niebędziemy się rozwodzić nad kolejną wypadków z jaką bohater nasz ścigał aż do granic Chersonezu zawsze uciekającego nieprzyjaciela. Jak oderwana ze szczytów Alpejskich cząstka materji przebiegiem przez zasy wietrznych śniegów olbrzymią tworzy lawinę, tak szczupły husiec Pretwica na groźny zamienił się zastęp, gdy połączony już z główną hordą oddział Saffar-Alego stanął przy ujściu Boha do Dniepru, i przeprawę do rodzinnych koczowisk rozpoczął.

Kiedyż łatwiejsza zręczność jak przy nieładzie przeprawy zadania ciosu nieprzyjaciołom?... lecz czyż sama tylko zemsta i chwała były zamiarem bohatera naszego?... Przedewszystkiem zwykł łupy i brańce

przeprawiać Tatarzyn. Mimo odniesione zwycięstwo, najpierwszy cel życzeń i tylu trudów Starosty zostałby w murach Oczakowa ukryty, i po krótkiej do nadkubańskich krajów morzem czarném żegludze, zginąłby na wieki w labiryncie pasma Kaukazu.

Zważył te wszystkie koleje przezorny umysł Pretwica, i wnet jedyne w tym razie uchwycił się środka. Zostawiwszy hufiec na placu dla naglenia trwogą przeprawy Tatarów, na dwie części podzielił swe siły; na czele jednej wykonał przeprawę przez Boh, i przebywszy Dniepr zdała od nieprzyjaciół, w gotowości zabieżenia od Oczakowa czekał aż na nadrzecznej równinie tabór swój rozprowadzi; gdy tymczasem druga część rozdwojonej siły, w dole rzeki przeprowiona, w gotowości wspierania działań Starosty, sposobnej do natarcia chwili oczekiwała.

Naglona z tyłu horda skwapliwie wpław koni przeprawiać się zaczęła przez rzekę. Już powiązani brańcy i ładowne zdobyczą hachmaty obszerny rozwiodły tabor, i otoczyły go hufce zbrojnych Tatarów, łącząc się z zalegającą równinę hordą miejscową która z licznym kobiet, dzieci i jeńców orszakiem powrotu zwycięzców nad brzegiem rzeki oczekiwała, a jeszcze rycerstwo nasze żadnego kroku nieuczyniło. W gotującej się walce nic ująć niepowinno mściwej zwycięzców dłoni. Nakoniec ostatnie stanęły na równinie szeregi, i połączone hordy powolnym krokiem ku Oczakowowi ruszyły.

Z dwóch stron wzniósł się tuman kurzawy, i dwa

gromy niespodziewane silném natarciem zgiełk i płocho w całym rozszerzyły taborze.

Krótką walką wnet na bezbronną w powszechnym nieładzie rzeź zamienioną została. Kobiety i dzieci zarówno z uzbrojonymi padały pod razami zwycięzców. Jęk, wrzawa, krwi potoki okropną znamionowały scenę. Srogość podżeganą klęskami tylu wieków niewiści mieszkańców Podola żadnej miary i granic nieznała.

Jak tylko rzeź bez oporu bój zastąpiła, zaraz Pretwic opuścił naczelne stanowisko, i w tłumie odbitych jeńców szukał jedyne wszystkie życzeń przedmiotu. Próżne usiłowania!... nawet nikt z brańców oswobodzonych poszlak poszukiwanej nie był w stanie ukazać. W srogiem udręczeniu już tylko śmierci szuka nasz rycerz. Lecz gdzież ją znajdzie, gdy bitwa na plac katowni zdawna zamienioną została? W tém postrzega jak uzbrojony jeszcze oddział Tatarów, walkę rozpaczy zwodził z przemagającą siłą. Rzuca się w tę stronę; na widok wodza wzmaga się męstwo walczących. Rychło padają pod razami Tatarów.... gdy wśród zgiełku potyczki, postrzega Starosta jak zbroją okryty Tatarzyn na rzeskim bachmacie pędzi ku Oczakowowi, utrzymując przed sobą brankę o przód siodła opartą. Nowa w sercu odżyła nadzieja. Puszczą się pędem strzały, lecz czy na znudzonym tyłu trudami rumaku, doścignie znacznie oddalonego już wroga; czy nakoniec pokona doścignionego, bo mu towarzyszy Tatar niezwyklej wrodzie

Nogajców postawy i wzrostu, lubo żadnego w ręku jego niema oręża.

Sił ostatnich dobywa wierne zwierze aż do krwi podlegane ostrogą, i już tylko parę staj dzieli go od uciekających; w tém pada tak rzeźwy niegdyś dzianet, i w niezwykłym wysileniu ducha, na ziemi oddaje.

Złorzecząc nieszczęsnej doli szarpie włosy z rospaczą zawiedziony w samej chwili spełnienia swych życzeń nasz rycerz; gdy nagle niespodziewany widok wzrok jego uderza. Rosły Tatarzyn wyprzedza towarzysza brankę unoszącego, i pada z koniem przed jego bachmata, który niespodziewaną splątany zawadą, wywraca się pośród drogi. Rwie się wściekły Tatar na bezbronnego, i odpieraną tylko mocą ramienia wszczyna z nim walkę; lecz w tejże chwili uczuł we wnętrzościach ostrze sztyletu Starosty, i z przeciagłym jękiem martwy upadł na ziemię.

Z drżącym sercem nadzieją, brankę podnosi Pretwic. Ach! cóż zrówna roskoszy tej błogięj chwili! Była to Wojewodzianka!... Lecz usta jego oniemiały na widok Tatara który zbawczą podał mu rękę. Jakież go unosi wspomnienie!... Tak, w rzeczy samej... lecz czy podobna!...

— Czyliż cierpienia barbarzyńskiej niewoli i ta obmierzła odzież, przerwie mniemany Tatarzyn rodzinną mową Pretwica, tak zmieniły mą powierzchowność, że niepoznaje Starosta towarzysza trudów i niebezpieczeństw Pokuckiej wyprawy.

Z okrzykiem podziwienia i radości poznany został brat i przyjaciel, a uścisk potrójny oznaczył szczęsną

chwilę wyzwolenia obojga dzieci strapionego Wojewody.

Mamyż wystawić nieporównany obraz radości starca, gdy zwyczajki Starosta do strapionego serca dwoje tak gorąco opłakanych przywiódł mu dzieci? Nie, zamilczmy, bo tyle uszczęśliwienia, żaden nieodda koloryt, i w nieudolności naszej zostawmy pojęcie tej błokiej chwili płdniejszej nad moc wystwienia naszego wyobraźni czytelnika.

Winniśmy tylko uprzedzić, że wdzięczny Wojewoda, najdroższym darem ręki śwój lubej córki, w poczet potomstwa policzył Starostę, i zrzekłszy się na długi jeszcze swój żywot trudów publicznego zawodu, z niemi razem zamieszkał w spokoju.

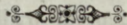


ZEGARY.

SONET.

Budzie—istne zegary. Rozmaicie chodzą.
Są co pilnują drogi od mistrza osnutej,
W porę biją godziny i znaczą minuty,
I oblicze swe z dźwiękiem harmonijnie godzą.
Są znowu co postępem leniwym zawodzą,
Mierzą czas jak żyd łokciem swój towar nadpsuty,
I znów takie co mają przyspieszone rzuty,
I niedoźrzałą przyszłość w obecności rodzą.
Lecz ze wszystkich najgorsze są takie zegary,
Co inaczej wskazują a biją inaczej.
Człowiek ściskość lubiący, głowę sobie łamie;
Radby słuchając dźwięków skłonić się do wiary,
To znowu na cyferblat patrzy i w rozpacz,
Niewie, czy młotek zwodzi, czy skazówka kłamie.

Józef Kaszowski.



KOZAK UKRAINEC

Miesiąc lice schował w chmarze,
A burza świszczę po jarach,
Pierzchły widma na smętarze,
Mary kryją się w czaharach.

Darmo nawet łabędź biały,
Spoczynku szuka u brzegu,
Darmo! darmo, i Dniepr cały,
Straszny wojny głos obiega.

Ale nasz kozak nie tchurz,
Spójrzył w kolo szablę wtrząst,
Dopadł czajki, musnął wąs,
I posunął Dnieprem wzdłusz.

Nie na blizki on brzeg skoczy,
 Z jego wiosła piana ciecze,
 Już ten pewno nieuciecze,
 Kogo ten nasz ptak zaoczy.

Dalekie morza, krainy
 Słyszają odgłos hura-ha!
 Kiedy dzielne stepów syny,
 Wpadną na karki wraha.

Kiedy czasem z trudził nogi,
 To z niedźwiedziem w śniegu spał,
 Lecz na każdy odgłos trwogi,
 Kozak gotów w szyku stał.

A ataman skoro słońcie,
 Kozak rąbie, kole, siecze;
 A jak konia w nogach ściśnie,
 To nawet wiatr nieuciecze.

Aż serce skacze z roskoszy,
 Kiedy kozak wroga ploszy,
 A jak kozak pieśń zapieje,
 Echem niebo się odśmieje.

Och radbym się z nim spróbował,
 Jeśli dysze taki smyk,
 Coby jak wilk nieczwałował,
 Przed ostrzami naszych pik.

My nielubim długo żyć,
 Szabli, siwy wąs niebrat
 Kozak poszedł wroga bić,
 Kula w piersi, upadł chwrat.

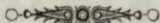
My z przyrodą żyjem w zgodzie,
Nam step łoże, niebo strop,
Koń przyboku na odwodzie,
Na janczarce wąsów snop.

Och szczęśliwy kto się zrodzi
W stepach naszej ukrainy,
Najszczęśliwszy komu schodzi,
Obok naszej wiek dziewczyny.

Unas to, u nas dziewice,
Czoło zdobi długi włos,
Oczy siwe, hoże lice,
I rusalki dźwięczny głos.

Komuż znana rozkosz taka
Jakie chwile kozak miewa,
Gdy luba żegna kozaka
I na drogę mu zaśpiewa.

Błogo temu kto się zrodzi,
W stepach naszej ukrainy,
Błogo temu, komu schodzi,
Obok naszej wiek dziewczyny.



BRANSOLETKA.

POWIEŚĆ.

I.

Świat i życie przynoszą naukę dla niewielu. Często powtarzamy o zaletach doświadczenia, ale rzadko kto z niego korzystać umie.”

Tę myśl pospolitą, wysłowił nader powabnie młody filozof przy śniadaniu, w liczniem towarzystwie u Marego w hotelu Angielskim.

— „Twoje uwagi do mnież się stosują?” zapytał jeden z współbiesiadników, wychylając szklanke szampańskiego wina.

— „Bez wątpienia,” odpowiedział filozof, „albowiem w latach czterdziestu i wstąpiwszy do stanu małżeńskiego, nie jesteś dziś mędrszym jakies był w roku 1818 kiedyś kończył uniwersytet.”

Pan Leopold D.... zasługiwał na podobną wymówkę. Nikt bowiem nie nadużył bardziej jak on, swjej młodości i swojej fortuny. Liczono go dawniej do bardzo zamożnej młodzięzy, a jego dowcip nieraz był przedmiotem pochwał mieszkańców stolicy. Po długich latach nieporządnego życia, pełnego swawolnych i niszczących zdrowie wydatków, Leopold przywołany został do rozsądku, przez ból reumatyczny w nogach i list swego plenipotenty.

Cierpienia były dokuczliwe, a list naglący. Plenipotent donosił że kredytorowie przez znaczny czas niezaspakajani, zajęli najpiękniejsze jego dobra za granicą, i takowe na satysfakcją długów sprzedali. Leopold przeto opuścił nagle stolicę i jej uciechy, a przybywszy wswe strony, smutnego tylko nabrał przekonania, że z bardzo szczupłych pozostałych mu dochodów, ciężko żyć będzie w Warszawie.

„Teraz kiedy nie jestem już bogaty, ani młody,— rzekł sam do siebie, — trzeba korzystać z pozostałych mi resztek i — ożenić się!”

Temi przejęty myślami powrócił do Warszawy i tłómacząc się niezdrowiem, usunął się od dawnych towarzyszy zabaw i rozpusty, dążąc ciągle do ustalenia i poprawienia bytu swojego przez małżeństwo.

Jakoż nie długo szukał: wynalazł małą, śliczną osobkę, dosyc posażną i wkrótce się z nią ożenił,

mocne uczyniwszy postanowienie, iż będzie wzorem mężów.

Czuł bowiem potrzebę wypoczynku, i uważał się za szczęśliwego, iż mógł pędzić życie spokojne i umiarkowane, na łonie niewinnej i szlachetnej pomyślności. Wkrótce po ożenieniu się otrzymał spadek, który znacznie podniósł jego majątek. Mając ładną żonę i trzydzieści tysięcy złotych rocznego dochodu, mógłby być najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, i w rzeczy samej był nim — przez dwa lata!

Dwa lata związku małżeńskiego, pówróciły mu zdrowie i siły, a z niemi ożyły i dawne skłonności. Małżeństwo często wywiera ten skutek na niektóre charaktery. Leopold D... powracać zaczął do kawalerskich nałogów, lecz z ostrożnością i tajemnicą, które powiększały ich powab.

W tym dniu kiedyśmy rozpoczęli naszą powieść, otwarcie już zajął śniadanie z pół tuzinem dawnych i nowych towarzyszków zabaw. Uczta skończyła się. Leopold dobył zegarka i rzekł: „Druga godzina, próba baletu jeszcze trwać musi, pójdę zobaczyć pannę N....”

— Jakto! widujecie się z sobą, doprawdy? a więc tak nawet jesteście już zbliżeni?”

— Tak, niabyto....”

— A gdyby też twoja żona o tém się dowiedziała?”

— Niedowie się. Przy staraniu i roztropności, zawsze skryć można przed żoną swe figle.”

— Nie zastanawiasz się nad tém, że swoim postępowaniem, dajesz prawo żonie użycia odwetu.

Cóżbyś powiedział, gdyby ci się co podobnego przytrafiło?”

— »Zgoła się tego nie obawiam.”

— »A jednak jesteś w położeniu bardzo do tego wypadku bliskiem; masz wszystko czego ku temu potrzeba, nic ci nie brakuje, nawet młodego kuzyna.”

— »Leon! Spokojny jestem z tej strony. Więcej się go lękam gdzie indziej.”

Na tém się zakończyło. Biesiadnicy byli już na ulicy i tam się rozłączyli.

II.

— »Mój Boże! jakże to wiele pięknych jest rzeczy tego roku na kolędę.” mówiła pani D... która wówczas właśnie gdy mąż jej wstawał od biesiady, powróciła do domu, przepędziwszy cały ranek na obieganiu magazynów, a teraz zbierała myślą wspomnienia ze swojej przechadzki.

» Co za przepyszne meble, co za śliczne kosztowności, precudowne ubiory! Gdyby mi dano do wyboru, cóżbym wzięła z tych wszystkich przedmiotów które widziałam? W samej rzeczy byłabym bardzo zaambarassowaną. Jakże są szczęśliwe kobiety, które dostają dużo prezentów w dzień Nowego Roku! Nie jestem z liczby tych! Mój mąż sam tylko daje mi kolędę, i od lat czterech jakeśmy się po-

brali, jego prezenta każdorocznie mniejszej są wartości. Jeżeli dalej podobnie będzie postępował, mało co dostanę przyszłego pierwszego Stycznia.”

Już ten krótki monolog żony, dostatecznym jest ocenieniem Pana D.... jako męża. Zmniejszanie się stopniowe wartości podarunków, dobitnym jest zarysem charakteru i złej taktyki. Człowiek rozumny i znający świat, poszedłby drogą zupełnie przeciwną. A jednakże pan Leopold D.... uważał się za bardzo przebiegłego w podobnego rodzaju rzeczach; wielkie miał zaufanie w swoich talentach pod względem dyplomacyi małżeńskiej. W tej zaś okoliczności jego zarozumiałość, przechodziła wszelkie granice. Mawiał nieraz ze szlachetną dumą:

— „My starzy wyjadacze, nie jesteśmy z liczby tych których oszukują, ani tych którzy się oszukają sami. Wiemy dobrze jak pozyskać kobiety, jak je prowadzić i jak pilnować. Znamy dobrze chytre podstępny, i dosyć przysługiwaliśmy się drugim, iżbyśmy nie nauczyli się użyć tego na własną korzyść. Co do mnie, jestem spokojny. Mądry będzie kto mię złapie.”

Człowiek który tak mówi, już jest w połowie złapany.

Mimo to wszakże, nie można było nic dotąd powiedzieć o prowadzeniu się pani D.... Baczne atoli oko, dostrzegłoby że upadek niezbyt jest daleki. Pani D.... miała lat 25, a jej mąż 40. Za mężem od lat czterech, była już zaniedbaną od dwóch, lecz nie kochała tyle męża ażeby to spostrzegła i zmartałwiła się. Żywa, rozstrzepana, płocha, nie myślała

nawet być zazdrośną. Zdawało się jej bardzo naturalnym, że jej obojętność była podzielaną; gdyby jednak wiedziała o całym postępowaniu swego męża, byłaby nieubłaganą w gniewie i zemście. Wiele kobiet mają serce i umysł podobnie ukształcone.

Pani D... myślała jeszcze o szczęśliwych kobietach, które dostają dużo prezentów, kiedy weszła jej służąca i oddała list z małą skrzyneczką.

W domu w którym mieszkała Pani D... zajmował lokal hrabia L... człowiek bardzo bogaty. Hrabia był z małej liczby tych ludzi uprzywilejowanych, którzy mają tyle pieniędzy ile chcą. Nie był ani młody, ani przystojny, ani czuły, ani przyjemny, lecz zdawał się wynagradzać wszystkie te niedostatki, wielką hojnością. Szukał zwycięstw po salonach, a grzeczność wytworna głównym była jego orężem.

Od lat dwóch hrabia L... mieszkając w jednym domu z państwem D... okazywał dla niej samej największą uwagę, ona zaś przyjmowała jego grzeczności, niechciała bowiem nikogo martwić. Najokropniejszą jest kokieteria kobiety, która niema sobie nic do wyrzucenia.

Z resztą hrabia posiadał dosyć przymiotów, dla pochwlebia miłości w własnej osoby najtrudniejszej w wyborze, dawał bowiem uczy na których się królowało. Hrabia L... był więc w milczący sposób upoważniony do okazywania się uprzejmym. Pani D... w stosunkach z nim okazywała dużo surowości i przebiegłości, pod każdym względem prowadziła się tak, jak gdyby zgoła niepostrzegając pierwszeństwa dawanego jej przez

hrabiego; ale hrabia był z tych ludzi, którzy się niełatwo dają odstręczać, i którzy najwspaniałomyślniej sami sobie tworzą najświetniejsze nadzieje. Pewnym prawie będąc zwycięstwa, pod wpływem tych słodkich myśli, napisał list następujący:

PANI!

Nagły interes zmusza mię do opuszczenia natychmiast Warszawy, być może iż nie tak prędko tu wrócę. Nie mam nawet tyle wolnego czasu, ażebym mógł przyjść panią pożegnać; przynajmniej nie odjadę bez przesłania Pani, bagatelki, którą zamierzyłem ofiarować jej w dniu Nowego Roku. Pozwól więc Pani korzystać z wolności jaką zwyczaj kolędy mi daje, i racz przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku.

HRABIA L.

Warszawa
d. 25 Grudnia 1839 r.

Pani D.... otworzyła skrzyneczkę i znalazła parę prześlicznych brylantowych kolczyków.

Nie mogła naprzód zdążyć nasycić się podziwieniem tych dwóch kosztownych kamieni, rzucających blask przepyszny.

• Otóż to rzekła nakoniec, oto co hrabia nazywa bagatelką? Zuchwały! wyobraża sobie że mu dałam prawo do czynienia mi tak kosztownych podarunków! lecz potrafię zniszczyć w ninu tę niesłuszną opinię.

9*

Nauczę go kim jestem, odsyłając mu te brylanty ... Trzeba jednak przyznać że są precudowne! Im więcej się im przypatruję, tym więcej jestem zachwyconą?. Odesłać je... tak.... potrzeba. My kobiety, czynimy nieraz takie poświęcenia, o których nikt się nie dowie, i z których nic nam nie pozostanie, nawet honoru, żeśmy je uczyniły. Nikt wiedzieć nie będzie że odesłała brylanty.... Co za blask... co za wielkość! Gdybym miała znaczny majątek, w tém byłby mój cały zbytek. Jest nie jeden rodzaj elegancyi, w której większa część kobiet może naśladować, lecz to jest przepych któremu wyrównać trudno. Być może, iż zaledwo znalazłoby się kilka kobiet w Warszawie któreby posiadały podobne tym brylanty. Z moich znajomych bezwątpienia nie masz ani jednej... Z resztą hrabia, czyliż jest człowiekiem tyle niebezpiecznym? Nie, doprawdy, ja go zawsze traktowałam tak lekko. To jest człowiek takiego rodzaju z którym kobieta rozsądna nie będzie się mogła skompromitować, mimo swęj woli. Z małą zręcznością, mogę zachować te brylanty nieobowiązując się do niczego. Dla czegoż nie?..... To będzie zabawne!"

Leopold nadszedł w tej chwili. Pani D... spiesznie schowała list i kolczyki.

Mąż przepędziwszy wesoło cały dzień, znajdował się w wysmienitym humorze: rzekł do swojej żony.

— »Obstalowałem dla ciebie kolędę, moja droga, ale nie chcę powiedzieć co to będzie, ażeby ci zostawić przyjemność niespodzianki.»

— „Niewątpliwie pomyślała Pani D.... nie są to brylanty podobne do tych, którem zamknęła w mojej sekretarce.”

Nazajutrz Pani D.... zdecydowała się zupełnie; wyszła więc bardzo rano do jednego z Jubilerów na Krakowskim przedmieściu, u którego już nieraz z mężem kupowała drobne bagatelki: zamiarem jej było dowiedzieć się jaka jest wartość brylantów.

— „Pani, rzekł jubiler; nie często widywałem tak piękne kamienie, niemogę nawet z pewnością im ceny naznaczyć, zawsze atoli kosztują one przeszło parę tysięcy złotych.”

Gdy zaś Pani D.... zabierała się do wyjścia:

— „Pozwól Pani, rzekł jubiler, może popełnię niedorzeczność, ale życzylbym wiedzieć, jak się jej podoba ta bransoletka?”

— „Niema żadnej potrzeby,” odpowiedziała Pani D.... tonem niedbałym.

— „Nieraczyłabyś Pani przymierzyć? ...

— „Z chęcią, ale na cóż się to przyda?..

— „Cudownie, miara którą mi dano była sprawiedliwą.”

— „Co przez to chcesz Pan rozumieć?”

— „Że ta bransoletka, obstalowaną jest u mnie przez Pana D.... dla Pani bezwątpienia.”

— „Wczoraj?”

— „Tak, Pani. ... dziś już prawie jest na ukończeniu. Niepozostaje jak tylko zamieścić dwa kamienie, dla wyobrażenia oczu węża.”

— »Otóż to jest kolenda, o której mi wczoraj mąż wspominał!« Postanowiwszy zatrzymać brylanty hrabiego, Pani D... jedną tylko miała niespokojność, jak wytłómaczyć przed mężem posiadania takiej kosztowności? ... w tem szczęśliwa myśl przychodzi jej do głowy, mało ją zajmuje, czy te brylanty będą w kolczykach, czy w czém inném. Rzekła więc do jubilera:

— »Wiele kosztuje ta bransoletka?“

— »Sześćset złotych; jest to cena umówiona przez męża Pani.“

— »Jakież chcesz pan tam umieścić kamienie?“

— »Dwa szmaragdy, węże mają oczy zielone.“

— »Zielone, czy białe, to wszystko jedno, aby tylko błyszczały. Gdybyś umieścił moje dwa brylanty?“

— »To byłoby do zachwycenia? Będą to oczy, jakie bezwątpienia mieć musiał wąż, który skusił naszą matkę Ewę.“

— »Więc dobrze, zamieść je; lecz niech to będzie tajemnicą pomiędzy mną i panem!“

— »A mąż Pani? gdyż niepodobna aby niedostrzegł, że dwa podobne brylanty, nie mogą się mieścić w bransoletce za sześćset złotych.“

— »Pan D... niezna się zgoła na kamieniach, gdyby się zapytał, powiesz mu Pan, że te brylanty które czynią tyle efektu, mają tajemne wady a na których tylko prawdziwi znawcy mogą się poznać, które zresztą nie odejmują im właściwej ceny w handlu. Pozwól mi Pan tę rzecz w podobny sposób przedstawić, mam moje do tego powody.“

Wszystko więc stało się podług jej życzeń.

III.

Pani D.... z niecierpliwością wyglądała 31 Grudnia, ażeby już posiadać mogła swoje piękne brylanty. Wielki ten dzień nadszedł. Leopold powinszował żonie Nowego Roku i na kolędę ofiarował przesłiczny zarękawek sobolowy.

Pani D.... straciła przytomność, blada i drżąca doświadczyła wzruszenia niepodobnego do pojęcia; korzystając z pierwszej wolnej chwili, udała się co najspieszniej do jubilera.

— „A moja bransoletka,” zapytała.

— „Doręczyłem ją wczoraj mężowi Pani.”

Wieczorem dnia tego, było jak zwykle zebranie familijne u jednej z najstarszych ciotek Pani D.... matki tego młodszego kuzyna Leona, o którym wspomniano przy śniadaniu u Marego.

— „Jakże Pani dziś smutna i zakłopotana, moja śliczna kuzynko,” rzekł Leon przybliżając się do Pani D....

Przemowa ta poprzedzona była przez kilka czułych frazesów, gdyż Leon kochał się w swojej kuzynce.

— „Zgaduję powód twojego smutku” dodał ze złośliwym zamiarem.

— „Wątpię,” odpowiedziała pani D....

— „Być może iż pani odkryłaś jaką tajemnicę, która zakłóciła pokój twojego serca? Możesz się dowiedzieć że Leopold....

— „Cóż takiego... dokończ...”

— „Nie, ja nic nie mam do powiedzenia!”

— „Leonie! błagam cię!”

— „Zresztą, dla czegożbyś jedna tylko miała nie-wiedzieć o tém, o czém już wie cała Warszawa!... On w swoim wieku... oszukiwać najgodniejszą uwiel-bienia [kobietę]!...

— „Mój mąż mnie oszukuje!”

— „Najokrótniej! i dla kogo? dla jednej tancerki teatru!”

— „To jest potwarz!”

— „Aż nadto tego jestem pewny, ja co... chcesz pani dowodu! Oto wczoraj dał jej na kolędę prze-słiczną bransoletkę, o której piękności, dziś już wszy-scy mówią.”

— „Bransoletkę powiadasz?”

— „Tak jest... precudowną!”

— „Waż, z dwoma oczyma brylantowemi?”

— „A, to pani wiesz o tém?”

— „Leonie! czy znasz tę tancerkę?”

— „Tak, bardzo mało, ... przypadkiem...”

Tu nastąpiło milczenie. Twarz pani D.... przy-brała szczególniejszy wyraz, gdy nagle obracając się do Leona, rzekła z cicha.

— „Kochasz mnie Leonie?....

— „Czy cię Kocham... o Boże.... Chciiej przekonać się o tém.

— „Więc dobrze, przynieś mi jutro rano tę bran-soletkę.”

— „Będziesz ją miała.”

Ta rozmowa ciągnęła się dalej nazajutrz po południu.

— »Jakimże sposobem dostałeś tę bransoletkę?«
pytała pani D... swojego kuzyna.

— »Nic bardziej naturalnego... Poszedłem do tancerki i wziąłem ją.«

»Jak to, potajemnie?«

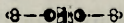
— »Ona wiedziała otrzymując ją, iż kosztuje sześćset złotych, zostawiłem więc sześć papierków stużłotowych na toalecie.«

Ależ to Leopold szczególniejszą miał minę, spostrzegłszy bransoletkę na ręku żony.

— »Niechwalisz że tej kosztowności?« zapytała go, —
Jest to upominek mego kuzyna Leona.«

Było więc jasno że Leon posiadał względy w obu miejscach, a Leopold czyniąc to boleśne odkrycie, uważał się za tym nieszczęśliwszego, iż do uzalania się nawet nie miał żadnego prawa.

Karol Kotwicki.



KUKULKI.

Z PIEŚNI LUDU.

Wydarłszy z burzy skrzydła zmoczone,
Padł siwy sokół na skały zielone,
Odetchnął z trudu zerwał się znowu,
Usiadł na sosnie patrząc połowu.

Oj wiele ścierwa, będzie wieczerza,
Koń leży, przy nim ciało rycerza,
A bachmat dyszy, nozdrza nadyma,
Z krwawej murawy już się nie ima,

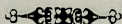
Bo strzał dwadzieścia skuło do ziemi,
Oj kto pożali, zapłacze nad niemi.

Dwie, trzy kukułki nadlecą razem,
I lecą razem, i płaczą razem:
Po koniec głowy jedna upadła,
Przy nogach druga kukulka siadła,
Trzecia na sercu kukulka siadła.

Co przy głowie siedzi jedna,
Jest to stara matka biedna:
Co przy nogach druga siadła,
Jest to siostra we łzach zbladła,
Co na sercu zasiadywa,
To kochanka czarnobréwa.

Krwawa tam rzeka, gdzie matki lica,
Gdzie siostra płacze krwawa krynica,
Po suchej trawie wiatер powiewa
Kędy płacze czarnobréwa.

Bo matka płacze rok rocznie,
Lice od łez nieodpocznie.
Siostra brata niezapomni;
Zawsze płacze gdy go wspomni.
A mila? Jej myśl gdzie indziej ulata,
Bo czeka z radością na nowego swata.



100

PALMA ABDERAMA. (*)

W cudzą stronę, na cudzą przeniesiona ziemię
Rośniesz droga puścizno przyjaźniejszych losów,
I tak żalobnie schylasz kędziory twych włosów,
Jak młoda niewolnica w kalifów haremie.

Liść twój zielony—z kądże ta powłoka kiru?
Z kąd te szemrzące z wiatrem twych gałązek treny?
Wszak tak rzeźwiąco wieje wiatr z Sierra-Moreny,
Tak ozywczą jest rosa z wód Gwadalkwiwiru?

(1) Abderam ostatni z pokolenia Ommiadów, panujących w Bagdadzie, uciekając przed nieprzyjaznym plemiem Abbasydów, schronił się do Hiszpanii, i tam utworzył nowy kalifat Korduby.—Jest podanie, iż zasadiwszy przed swym pałacem palmę, często pod nią przesiadywał i marzył o swym ródziwym Damassku, z którego ja był sprowadził.

Palmo, ja cię rozumiem! W cudnym dolin kraju,
Kwitła mała latorośl wśród siostrzyc igraszek—
Jam ją zerwał—o przebac! Rajem był Damaszek;
Biedna! i pocóż było wrywać cię z raj!

W chwili kiedym uciekał przed mieczem Abbasów,
Unosząc żywot, ciebie uniosłem z żywotem;
Nasz więc byt jest złączony nieprzerwanym splotem,
Bośmy oboje dziećmi drogich miejsc i czasów.

Sułtanko moich marzeń! Liść u twoich różek,
Milszą dla mnie ma barwę od złota i srebra;
Kraśniejszaś od granatów, piękności z nad Ebra,
Od dziewic Algarii, mlecznych Andaluzek.

Kiedy czasem wiatr wschodni w twych zwojach zaszumi,
Zda mi się, że wrócony do mych niw obszaru,
Słyszę znów Orjentalki, słodki dźwięk Szezdaru (1)
Tak znany, ach i który dusza tak rozumié.

Zdaje mi się że słyszę echo wód Barady (2)
Zawodzące pieśń raju przez kwietną równinę:
Giaurze! roztrzaskaj w tedy twoją mandolinę,
Ta jedna nuta gasi tve wszystkie ballady.

Nie Abdallo! twa przemoc zostanie daremną,
Kalif Korduby teraz dostoi ci kroku,
Urągam ci Abdallo!—póki przy mym boku
Miecz Omara, a palma Damaszku przedemną.

(1) Szezdar, instrument muzułmański.

(2) Rzeka pod Damaszkiem.

Nigdy żal mój nie przyjdzie zebrać przed twym żłobem,
 Nigdy-ż!a ma nie będzie twoją niewolnicą:
 Boleść moja zostanie światu tajemnicą,
 Ty tylko palmę będziesz świadkiem jej i grobem.

Łzy me płyną w milczeniu—ty pijesz ich zdroje,
 Bo gdy wsiąkają w ziemię cichemi potoki,
 Ty korzonkami wciągasz ich rodzajne soki;
 Z moich więc łez powstały śliczne kształty twoje.

Gdy mię Allah powoła do rozkoszy sadów,
 I tam poniosę ciebie, zasadząc w Dżennatach (1)
 Byś mi i tam mówiła o ubiegłych latach,
 I krzepiła wspomnieniem kraje Ommiadów.


Józef Paszkowski.

(1) Ogrody rajskie, które prorok swym wiernym obiecał.



SPOMNIENIA Z WEDRÓWKI PO KRAJU.

DĄBROWA.

....  Od Kromołowa gdzie bystra Warta (*) s pod Kapliczki S. Jana Nepomucena bierze swój początek, udałem się ku granicy Szląskiej, dla zwiedzenia w Dąbrowie najznakomitszych i najpiękniejszych zakładów górnictwa naszego.

(*) Zwykle tak w starych jak nowych Jeografiach piszą *Warta poczyna się niedaleko Kromołowa*. Jednak główne jej źródło wypływa w samym Kromołowie, ozdobione posągami i Kapliczką, S. Jana. Strumień ten mający już nazwisko Warki dopiero za miastem powiększa się kilkunastu innymi źródłami.

Długie tu są i dobrze zabudowane sioła, na które po sto domów i więcej liczą. Chaty oddzielone od drogi chruszczanymi płotami z za których ładne drzewa owocowe gałęzie zwieszają; za wsiami ponętne górzyste okolice zajmują rozległe majowe pastwiska, i łany dojrzałej karmazynowej tataraki, wśród której długie wieśniacze zagony złotego rzyska, oprawne niby w ramy dalekich ciemnych świerkowych lasów, tworzą z widoków tych jakby iaskrawemi kolorami szyte starodawne szpalerowe kobierce. I lud tak wesoły otwarty i śpiewny, jak kraj w którym żyje. Z nasuniętą czerwoną czapczką na bakier ozdobną pawiem piórkiem wieśniak jeden stojąc na wozie oparty o drabinę, śpiewając ochoczo, jedną lejąca trzy konie niedbale popędzał z góry—nad wąwazem zawraca niebezpieczną dróżką, leci jakby tańczył z swym wozem i końmi rodowy taniec.

— Niech będzie pochwalony Jezus, powitał mnie zbliżając się.

Na wieki wieków odrzekłem. A jak się zwie przyjacielu ta długa wieś na dole.

— *Sztuczna Baba*: a dokąd to tak idzieta?

— *Do Dąbrowy*, daleko jeszcze?

— E, Niedaleko—będzie mila tak *prawie* (*) ale

(*) Ten dodatek *prawie* ma u Krakowiaków często zdradliwe znaczenie i trzeba się z niem mieć na baczności. Wysoka tam góra? Nie niewysoka, tak *prawie*. To już pewno hamulce zakładać i wysiąść z wozu trzeba, bo będzie spadzisto jak z muru. Milę *prawie* nieraz jedzie się 3 godziny—Dosłownie znaczy to w samą miarę.

siadajcie jeno na wóz, i ja tam jadę to pojedziecie ten kęs drogi, a dziś jeszcze możecie stanąć w Dąbrowie.

— »Bóg zapłać bracie! Dziwacznie się też wasza wieś wabi, nie wiecie kto ją tak przewzał?

— »O stare to imionisko, a ja powiem co u nas o tém gwarzą: mówią iż spierali się raz Krakowianie ze Sławkowianami które z ich miast starsze. Krakowianie przysłali do Sławkowa o radę że im się w soli robaki załęgły, coby na to poradzić. Sławkowianie zafrasowali się bardzo, gdy przyszła babina co w tój wsi miała chałupę i tak im naraiła: powiedzcie niech zaczerpną wody z Wisły przetakiem, i rozwieszają na płocie, a jak uschnie niech przesypią sól, to pewno robaki wyginą. Krakowianie się zawstydzili po tój odpowiedzi, a naszą wieś, skąd ta babka, przewwali *Sztuczna Baba* (*) i dla tego to mówią u nas *Starszy Sławków od Krakowa*.

W czasie pociesznej tój gawędy, dojechaliśmy do mostu, pod którym w poprzek przejeżdża się drogę kolei żelaznej, a pożegnawszy rozmownego Krakowiaka już o zmroku udałem się do Dąbrowy.

Gdyby nawet nie szeroka czarna droga, okruczamy żużli i węgla zasypana wiodąca do fabryk, to czerwona łuna jak od ogromnego pożaru, byłaby przewodnikiem. Mało jest tak ciekawych widoków jak zakłady Dąbrowy i Będzina wieczorem. Dopiero spuszcżając się się z góry raptownie spostrzedz można huty i kopalnie. Nagle uderza fantastyczne i dziwne pa-

(*) Na mappach znaczą tę wieś pospolicie Tuczn-Baba.

norama. Setne, różnych kolorów płomienie chwiejąc się w powietrzu, wzroszą ogniste języki, i sięją niekiedy kłębami brylantowych iskier, a gdzie niedgdzie odbite w wodach *Przemszy* jeszcze nie zrozumiałszym uderzają pozorem. Przy świetle ich oswojone oko, rozpoznaje czarne przepaści kopalni, i rzędy długie białych domków, a dalej wysokie kominy machin parowych i pudlingarni, jak ciemne obeliski wznoszą się wspaniale, za tło służą zielone łany które ostatni blask tego ogromnego ogniska prawdziwej siedziby nowoczesnych wulkanów zaledwo oświeca.

W miarę przybliżenia się cały ogół się ożywia, młoty z dźwiękiem i łoskotem biją o kowadła; maszyny parowe z taktowym stukiem odzywają się; huczy ogień pod gwałtownym dęciem miechów; a po długich kolejach żelaznych, cicho jak cienie przesuwają się wózki ciężko ładowane. Odgłos dzwonu znaczy rozpoczęcie i zmianę pracy, która w hutach dzień i noc nie ustaje, a tłumy robotników zaludniających te osady roją się po drogach; bo Będzin i Dąbrowę zaludniają teraz kilka tysięcy ludzi.

Trzeba jednak przyznać że dzienne światło wielką część poezji tego miejsca niszczy. Wszystkie ogniska które w nocy tak pięknie kolorowo oświecały tajemnicze okolice, w dzień buchają tylko gęstymi bałwanami czarnego dymu. Ziemia pokryta jest pyłem węglowym, który najłżejszy wiatr unosi tak, iż przenikają do najszczelniej zawartych pokojów, do koła rzadkie kawałki zieloności szpecą kupy popiołów i żużli. Wręczcie zamiast podziwiania żywości i ener-

gii ludności hutniczej i górników, trzeba się litować nieraz widząc ich z bliska, jak w podartém i brudném odzieniu pokryci kurzawą, z twarzą zlaną potem, wytrzymują najtwardszą codzienną pracę, połączoną nieraz z niebezpieczeństwem życia lub zdrowia. Jest jeszcze jednak w okolicy i w miasteczku, kilku starców którzy pamiętają czasy, kiedy ta cała osada była dość płonnym polem, należącém do podupałego miasteczka. Ale kilkadziesiąt lat temu jak odkrycie węgla kamiennych czarodziejsko zaludniło Dąbrowę. Mało do miejsc tych wiąże się wspomnień historycznych, jedno wszakże godne pamięci, iż pomiędzy miastem tym a Bytowie w Szląsku, podpisane zostało zrzeczenie się *Arcy-Xięcia Maksymiliana* po przegranej pod *Byczyną*. Znakomite kopalnie węgla w Dąbrowie, odkryte zostały przypadkiem przez pastuchów z Będzina r. 1785, przez dziesięć przeszło lat małoważne ciągnęli użytki z odkrycia tego sami mieszczanie; dopiero w r. 1799 za rządu pruskiego rozszerzone i porządne przedsięwzięto roboty, a cała kopalnia od ówczasowego dyrektora górnictwa pruskiego nazwaną została *Reden*. Za Xięstwa Warszawskiego należała do własności Marszałka Lannes Xięcia Montebello. Druga kopalnia między Dąbrową a Bendzinem na pamiątkę Xięcia Lubeckiego Ministra Skarbu głównie opiekującego się ówczesnym górnictwem, od jego imienia zwaną Ksawery, jak to świadczy złoty napis na marmurowej tablicy umieszczony, przy wejściu kamiennego sklepionego kanału odprowadzającego do *Czarnej-Przemszy* wodę

wypompowaną z kopalni, za pomocą maszyny parowej o sile 4 koni. Oprócz powyższych jeszcze w okolicy znajdują się dwie kopalnie rządowe, jako to: kopalnia Feliks o milę od Dąbrowy niedaleko wsi *Niemce*, nazwana od imienia ówczesnego naddzierżawcy ekonomii Sławkowskiej Felixa Hr. Łubieńskiego, który tu pierwszy spostrzegł pokład węgla w r. 1814, i pod Strzyżewicami, będąca także przez czas niejaki własnością Marszałka Lannes, zwana *Tadeusz* od imienia ministra Spraw Wewnętrznych Hr. Mostowskiego. Oprócz tych rządowych, kilkanaście jeszcze mniej lub więcej korzystnych prywatnych znajduje się w okolicy. Wszystkie pokłady węgla kamiennych wybierane tutaj, idą począwszy od Sudetów z Leobschütz i Huttschin w Szląsku wyższym w kierunku północno-zachodnim, a w kierunku ukośnym południowo-wschodnim do Krzeszowic, w okrąg wolnego miasta Krakowa wchodzą. Węgiel dwoma sposobami wydobywa się, jak zowią górnicy *odkrywaną* lub *zakrytą* robotą. Pierwszy sposób użyty w kopalni *Reden* ciekawy nader przedstawia widok. Trzeba sobie wystawić olbrzymi dół, pionowo w ziemi wykopany, na paręset gdzie niegdzie kroków szeroki, kilkadziesiąt łokci głęboki, i blisko milę długości rozciągający się, w różnych pogiętych i łamanych kierunkach, a będzie to proste wyobrażenie kopalni. Czarne dno tej przepaści, zapelnione jest górnikami, którzy się snują w różnych kierunkach. Po wątych z desek napowietrznych ścieżkach, skrętnie i drobne postacie ich widziane z wysokości ko-

palni, mienia się w oczach, przy jednostajnym zstępowaniu i wywożeniu w taczkach długimi szeregami, jeden za drugim, wydają się jak mrówki pracujące w ziemi nad jakimś ogromnym gniazdem. A gdzie niegdzie kupy wilgotnych okruszyn węglowych i lupka zapalające się same z siebie i wolno dymem sączące, melancholiczne skrzywienie taczek i jednostajny głuchy odgłos uderzających motyk kopiących węgiel, nadają miejscu temu pozór jakiejś pracy za karę, przypomina to niejako *Ereb* starożytny, i więzienia dzisiejsze. Śliczne tu są przecięcia bocznych ścian, i najpiękniejszy rysunek niezdolałby tak wyraźnie przedstawić pokładów ziemi i węgla w jakim one leżą następcie. Grubość pokładu węgla, liczą średnio na 6 łatrów (*) który jest w bardzo dobrym gatunku. Nie wszędzie jednak odkrywano roboty zaprowadzić się dadzą. Kiedy zbyt głęboko leży węgiel, aby odkrywać pokład jego można, co zawsze z wielkim bardzo kosztem połączone, wtedy kopią się szyby, to jest studnie, od których w pewnej głębokości rozchodzące się poziomo ganki i kurytarze coraz więcej rozgałęziające się, dostarczają materiału, który windami do góry wyciągają. Do zwożenia węgla do magazynów, równie jak do wożenia materjałów do różnych hut, pierwsze tu w Polsce założone zostały małe koleje żelazne, na których na wielkie angielskie wózki jednym koniem ciągnię, ufatwiają przewożenie ciężarów, któreby do zwykłe-

(*) Łatr, miara górnicza

go sposobu transportu, ogromnych wozów i niezmiernej liczby koni potrzebowały. Dla zwiedzającego pierwszy raz hutnicze zakłady, ciekawym przedmiotem będą tu piece do topienia żelaza, czyli tak zwane *Wielkie Piece*, (*) bo chociaż to najśliczniejsze są wkraju naszym budowy z tego rodzaju, urządzenie ich jednak i zebranie razem w jednym miejscu z tylu innymi zakładami, obejrzeniu nader sprzyja.

Tak zwany wielki piec, jest to wysoka stożkowa budowla z ognio-trwałej cegły mocno zmurowana, aby równie parcie znakomitego ciężaru metalu, jak i wysoki stopień gorąca wytrzymać mogła. Wydrążenie jego wewnątrz podobne poniekąd do jaja grubym końcem opartego na podstawie; otwór zaś u góry lejkowaty, aby wszystko co się wrzóci łatwo do pieca dostać się mogło. Przy otworze tym stoją robotnicy, i naprzemiany wrzucają koszami materiał palny i rudę. Cała wysokość pieca z ogniskiem wynosi zwykle, przeszło 50 stóp. Do wprowadzenia na wierzch materiałów, używano zwykle dawniej i dotąd u większej części prywatnych hut, pewnego rodzaju pochyłej nakrytej galeryi, przez którą taczkami wozono ładunek. W nowszych urządzeniach osobliwie w pięknych i z przepychem budowanych zakładach Bankowych, a tém samym i w Dąbrowie, pozaprowadzane są windy, które za poruszeniem mechanizmu

(*) Właściwiej byłoby zwać je Wysokie Piece (hochofen) lecz ponieważ to pierwsze nazwisko powszechnie jest w użyciu dla tego je przyjąłem.

stosownego, wciągają na górę w wózkach żelaznych materiał, robotnik posuwa wózek na żelaznej kolejce nad otwór pieca, porusza sprężynę a dno wózka otwiera się, i cały ładunek wpada do pieca. Za materiał palny używano dawniej tylko węgla drzewnego, teraz już w Krakowskiem, w bliskości kopalni węgla kamiennych, tych ostatnich jako tańszych powiększej części używają.

Żelazo wprawdzie bardzo łatwo do białości się rozpala, jednak aby roztopione wlewać się dało do formy, potrzebuje nader wysokiego stopnia ciepła, (2000 stop. Reom.) aby ten skutek nastąpił, używa się pomocy dęcia powietrza, jest to wynalazek który bez porównania ułatwił topienie żelaza, większą wartość nadał pokładom rudy, i całą tę gałąź przemysłu nadzwyczajnie popchnął i rozszerzył. Długi czas na ten cel używano wielkich miechów kowalskich kołami wodnymi poruszanych, co i dotąd w Tomaszowie, i wszystkich prawie prywatnych hutach jest w zwyczaju. Teraz jednak daleko silniejsze dęcie odbywa się za pomocą cylindrów żelaznych, w których tłoki czyli stemple, wodą lub parą poruszane wędzają powietrze do pieca w zgęszczonym stanie, co także topliwości nader sprzyja. Cylinder taki ma zwykle kilka stóp (3 łokcie średn.) a ujście rury do dęcia zaledwo parę cali, tym sposobem łatwo sobie wystawić gwałtowność z jaką wpada powietrze do pieca. Natężenie ognia w tym miejscu gdzie dęcie jest najsilniejsze, tak jest mocne, iż niepodobna długo je znieść wzrokiem. Naprzód jednak ruda rozpala się w piecu

zwyczajnymi sposobami do tego stopnia, do jakiego zwyczajny ogień doprowadzić ją może, a wtedy dopiero rozpoczyna się dęcie, i w tejże chwili w piecu daje się słyszeć okropny ryk, iż w bliskości stojąc nawet mówiącego słyszeć niemożna. Gdy tak czas niejaki w stanie płynnym żelazo utrzymanem zostanie, wtedy wybija się zasklepiony gliną otwór drągiem żelaznym, i roztopiony metal w ognistym jak lawa strumieniu, spływa do porobionych rowów w piasku czyli form, które zowią korytem, i krzepnie, a wtedy kawały jak szczapy do kilkaset funtów wazące zwane są gęsiami. Gdy w małe od razu formy ma się odlewać żelazo, powoli je potrochu upuszczają z pieca, i dziwny wtedy jest widok, jak kilkunastu robotników w czarnych kitlach, w sandałach z drewnianymi podeszwami, żwawo i zręcznie uwijają się koło tego płynnego ognia, czerpiąc go długimi łyżkami żelaznymi; jeden niesie do pieca, drugi mija go, inny po nad głową uchylającego się przenosi łyżkę z gorejącem żelazem, a wszyscy tak szybko, tak skwapliwie krzątają się po rozpalonych jeszcze żuźlach, a żaden nie trąci drugiego, nie obleje, iż raczej zabawką samowolną zdają się być zajęci, i nieszczęśliwe przypadki rzadko się trafiają. Tak przygotowane żelazo zwane *surowcem* (czuchem) aby zamienić na żelazo kute i zdatne do robot kowalskich i slusarskich, przerabia się zwykle w fryszerkach, gdzie napowrót roztapiane i długo w stanie płynnym utrzymane, wydobywa się częściami, i pokłada pod młoty wodnym kołem obracane, i zamienia na żelazo sztabowe czyli

kute. W nowszych zakładach mianowicie w Dąbrowie, już od lat kilkunastu zaprowadzone są *pudlingarnie* gdzie bez porównania przyspieszniejszymi sposobami toż samo się uskutecznia. W ogromnej budowie *pudlingarni* wszystko niewidzialną jakąś siłą maszyny parowej się odbywa. Olbrzymi stucenarowy młot lekko skacze na kowadle, i świetne iskry i krople żuzła wyciska z kutego metalu, a walce obracane tąż maszyną same wyciągają go na szyny, i krają jak miękki wosk. Ludzie krzątają się tu tylko aby usłużywali jakiemuś potworowi w milczeniu, które łoskot maszyn jedynie przerywa.

Oprócz fabryk żelaznych, mniej może ciekawém, lecz niemniej ważném jest wytapianie cynku na wielką skalę prowadzone w Dąbrowie.

Szczegółowa historia tego byłaby nader zajmującą, do cynku bowiem wiąże się w bliższym lub dalszym stosunku ogromny postęp tylu wynalazków, tylu odkryć, które nietylko w samej czystej chemii, lecz i w przemyśle, rzeczywiste już dotąd i upowszechnione wprowadziły zmiany.

Pomnąc tylko jeśli nie na najdawniejszy przynajmniej na powszechny użytek metalu tego do stosu galwanicznego, pomnąc na odkrycia i postęp nauki, który *stos* wywołał, najbujniejszą fantazją niepotrafiemy jeszcze roić sobie zastosowań, do jakich cynk może być użyty, jeżeli usiłowania dosyć dotąd nie płodne wprowadzenia *motora* elektrycznego znajdą powszechne przyjęcie.

Przed czterdziestą laty, produkcja cynku w Europie była prawie nieznaną, i to wchodził on jedynie do roboty mosiądzu, który pospolicie z galmanu (rudy cynkowej) i miedzi otrzymywano. w Polsce też galman już w r. 1673 był między produktami za granicę wywożonemi pod opłatę cła podciągnięty. Najwięcej spławiano prażonego galmanu do Gdańska, skąd do Szwecyi bywał wysyłany do fabryk mosiężnych. Szczególną jest tajemnicą wielka konsumpcja cynku w Indyach i Chinach, lecz kiedy od r. 1820 produkcja jego doznała tam jakiejś przeszkody, konkurencja na cynk tak się wzmogła, iż niska cena jego podwojoną a nawet potrojoną została. Gdy w r. 1824 wydobyto w naszych kopalniach i hutach ogromną liczbę 332,000 przeszło centnarów tego metalu, wtedy w roku następnym ceny tak znacznie spadły, iż wiele fabryk zupełnie ustało!

Galman czyli ruda cynkowa wydobywa się w okolicach Olkusza, i płukaną już dostawiają do Dąbrowy, wytapianie zaś, zupełnie jest różne od wytapiania żelaza, i wszystkich prawie innych metali. Uskutecznia się ono w tyglach wielkich otwartych, z dwóch stron ogniotrwałej gliny, które nazwano *mufłami*.

Długie mrowane z drewnianemi dachami szopy, zajmują w sobie rzędy pieców, w których ustawiane szeregiem *mufle*, napełniają się galmanem i opalają węglem kamiennym. Ciemno czerwony ogień od węgla, i jasno rażącej białości płomień palącego się cynku, wyziewami gorącemi i światłem razą i duszą ciekawawego i nieprzyzwyczajonego widza. Wytopiony tam

metal oddaje się dopiero do innej budowy, gdzie odlewany zostaje w żelazne formy w kształt tablic, i te albo wprost idą do handlu, albo dopiero w walcowniach Sławkowa na blachy się zamieniają.

O to są krótkie tylko wzmianki o głównych fabrycznych zakładach, które Dąbrowę robią tak zajmującym punktem, w jedno zgromadzonych tyło licznych urządzeń. Opisanie ich szczegółowe równie by nudne dla nieobznajmionych z hutnictwem było, jak widok tych zakładów w naturze jest ciekawy. Wzorowy porządek akuratność i przepych nawet budowli i machin, jużby godziłen był uwielbiania. Sam zbiór machin parowych (jest ich w tym okręgu 18) ich różny kaliber, i różny sposób urządzenia i zastosowania, od ogromnej 120 sifo-konnej, do małej przewoźnej 2 konnej daje sposobność wygodnego przypatrywania się tym prawdziwym dziejom przemysłu XIX wieku, zastępującego siłę ludzką fizyczną, siłą myśli i zastosowania jej.

Uprzejmość i chętność w objaśnieniu zwiedzających, okazywana wszystkim przez Urzędników Górniczych a szczególnie przez W. Cieszkowskiego Naczelnika tego okręgu, a przytęm wkrótce zapewne dokończyć się mająca kolej żelazna z Warszawy tu idąca, wielu zapewne ciekawych sprowadzać będą do Dąbrowy, której i kilkomilowe okolice tak są zajmujące.

Górnicy, oprócz kilkuset rządowych, wojskowych rekrutów, pracujący w kopalniach i fabrykach są prawie wszyscy krajowcy, dobra płaca którą pobierają, niezależność od kaprysu prywatnych, i samo ciągle

ocieranie się wzajemnych wyobrażeń, wpływa bardzo wiele na dobry ich byt, i gdyby na nieszczęście niezbyt powszechny nałóg pijaństwa, niewydierał im krwawego zarobku, klasa ta ludzi mogłaby być, w porównaniu z wieśniakami i zagranicznymi wyrobnikami, bardzo szczęśliwą.

Przed rokiem 1830 składali oni osobny korpus górniczy, na stopie wojennej urządzony, dziś odznaczają się stosowniejszym ubraniem, które składa się z pewnego rodzaju czarnej górniczej właściwego kroju kurtki z peleryną, z czerwonymi wypustkami, rzemieennego pasa sklamrą, i takiegoż fartuszka noszonego z tyłu. Na głowie zawsze czapki oznaczone dwoma młotkami na krzyż, godłem górniczym.

Jest to w ogule lud wytrwały, śmiały i do wszystkiego ochoczy, a czując swą godność zależną od własnej pracy i przemysłu, nie rad się lada komu uniżać, dla tego okoliczni obywatele zowią ich zuchwalemi.

Język ich techniczny, jakkolwiek po większej części od Niemców przyjęty, zachował w sobie jednak dosyć wyrazów miejscowych jakby w puściznie po starym górnictwie przekazanych. Gdy stanowili własną korporacją, czyli pewien rodzaj cechu, mieli w tedy i własne obrzędy i zwyczaje, teraz gdy wszystko w kluby porządku rządowego ujęto i zwyczaje te zaniedbano i wielu górników nie słyszało o nich.

Głównym świętem u górników jest doroczna uroczystość Świętej Bardary patronki ich, obchodzona w grudniu, dzień ten poświęcają naprzód nabo-

żeństwu, a później wystrojeni w świąteczne ubiory późno w noc tańcom i zabawie się oddają.

Przesady, wpływy tajemnych duchów tak powszechne w niemczech; wiara w *Koboldy* w czarodziejskie *różgi* leszczynowe, chociaż gdzie niedzie tu napotykać się daje, jednak nie jest pospolitą, i to raczej ze Szląska przeniesiona, nie miejscowa, to jednak powszechne jest mniemanie, iż najdogodniejsze pory do odkrycia min kruszcowych są, północ S. Jańska, i S. Barbary, i że wszystkie kopalne płody są własnością podziemnych duchów, którym sprzeciwić się nie należy, ale które bogobojnie poczynających lękają się, i władzę nad takimi tracą. Jak wiara ta mocno jest wkorzoną przekonało mnie opowiadanie jednego z wieśniaków w tych stronach.

Zaraz za Mzygłodem wchodzę do chaty dla ochłodzenia się, było to przed południem, czas roboczy, w chacie znajduje się tylko jeden człowiek, którego pozór największą obudzał litość. Niepokaleczony zewnętrznie a żadnym członkiem władać niemógł według woli; oczy, ręce, nogi, głowa drżały ciągle miotane konwulsyjnym kurczem.

— Jaka przyczyna waszój niemocy, zapytałem go.

— Oto, ziemia w kopalni przywaliła mnie, i już 16 lat jak cierpię, nie mogąc pozbyć się ni życia ni cierpienia moich. Spoczątku zaledwo go mogłem zrozumieć dla jąkania się przykrego, i głosu który mu był zupełnie nie posłusznym, lecz łatwo było z tą mową oswoić się. W krótko też nadeszli starzy rodzice, którzy go w chacie swój jako nieużyteczny ciężar

trzymać muszą. Ci opowiadali iż syn ich od najpierszej młodości ciągle mając stosunki z pracującemi przy górnictwie, z namiętnością do tego stanu się zabierał, uroiwszy sobie iż niezawodnie wynajdzie miny srebra, a tem samem i rodzinę swoją, i wieś w której zrodzony uszczęśliwić potrafi.

— Wszyscyśwa sie stego śmieli, mówił stary, i odradzali jak mogli, ale kiedy wej zaczął prawić o tém, to i nieraz człowiekowi szeptał bies, a kto wie może naszego Jana taka łaska spotka. On jeszcze był wyrostkiem, a już po całych dniach i nocach kopał i szukał. Raz też, był dzień Ś. Barbary, jak dziś pamiętamy, poszedł rano do kościoła i wysłuchawszy Mszy św. zabrał się z posiłkiem na cały dzień z *kilofami* (*) do lasu na górę, gdzie przez całe lato sporo jamy pogrzebał. Już dobrze się na wieczór zbierało a jego nicma i niéma. Na dworze od kilku dni mrozu nie było, ale przeraźliwy deszcz i wiatr trząś całą chałupą. Markotno nam było niezmiernie, a to wej ta staruszka babka jego, modliła się w kącie, gdy ni z tego ni z owego krzyknęła nagle, w kominie coś gruchnęło, rzuciło ogień i zaśmiało się. Jezus Marya! zawołaliśwa wszyscy razem, pewnie naszego Jana wielkie spotkało nieszczęście. Tak ci i było, ziemia go przywaliła, nazajutrz z pomocą sąsiadów wygrzebalismy i wynieśli na świat Boży. Był ci jak bez duszy i bez rozumu przez ośmnaście niedziel, powoli

(*) Górnicza motyka.

przychodził do siebie, ale pozostał jak pijany, albo opętany już szesnaście roków temu.

— Tak, przerwał kaleka, nie żał byłoby wlec inędzny taki żywot póki się podoba Panu Jezusowi, ale widzieć, mieć w rękę błyszczący kruszec srebrny, a tu cię potem *zły* (tu przeżegnał się) zatumani, to zbyt srogie dopuszczenie.

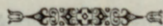
— Jakto, zapytałem — alboście istotnie odkryli pokład srebrnej rudy?

— Czym odkrył Panie? oto trzymałem w tępą rękę najczystszy kruszec, albo to go nieznam albo niewidziałem! ale w radości zapomniałem przeżegnać, w tęp naprzeciw pokazał się *czarny*, zaśmiał, dmuchnął mi w oczy, i wszystko raptem licho wzięło, a kiedym się obudził to już 18 niedziel od tego czasu było.


Odtąd nikt już do tego miejsca trafić nie mógł, ale ja wiem gdyby kto umiał tylko zakląć, to pewno znajdzie, ja przysięgnę że tam jest srebro.

Pożegnałem biedaków, a idąc wśród rzadko porośniętych pagórków tych okolic, gdy zobaczyłem gdzie pokopaną ziemię, przychodziła mi na myśl często, owa dziwna wiara kaleki, ten obłąd który jak prawdziwy szatan trzyma myśl jego przez tyle lat w swych szponach.

Ś. W. Dzichowski



BRÓŃ DO NOGI.

dy nawiasem siędę czasem
 Między kobietkami,
 Gadka pusta grzeje usta
 Strzelam żarcikami.

To zagabnę słówko zgrabne,
 To schwyczę za słowo,
 Krzepki w walce, krzeszę palce,
 Nie nałożę głową.

Lecz gdy z boku, w Twojm oku,
 Błyśnie promyk drogi,
 Żart nie lechce, śmiać się nie chce,
 Składam broń do nogi!

Żóźef Paszhowski.

WIADOMOŚĆ

○ MIEŚCIE TYKOCINIE.

1. Tykocin uważany w Ogólności.

Tykocin na płaszczynie nad rzeką Narwią, która z tąd spławną być zaczyna, i błotami niedostępnymi położone miasto, dawniej należało do Województwa Podlaskiego (1) dziś do miast Gubernii Augustowskiej policzone, stolicą jest powiatu Tykocińskiego, odległe o mil siedm od Łomży głównego miasta gubernialnego.

(1) Jeografia powszechna, czyli świat w wszystkich częściach, wydana przez X. Władysława Łubieńskiego około r. 1736 str. 424.

Tykocin niegdy miasto Królewskie z dobrami okolicznymi do starostwa tegoż nazwiska należącymi (2) w nagrodę prac i zasług Stefana Czarnieckiego (3) Wojewody Kijowskiego, a później Hetmana polnego koronnego za panowania w Polsce Jana Kazimierza, konstytucją na seymie w Warszawie za zgodą i jednomyślnym zezwoleniem Stanów Rzeczypospolitej zgromadzonych zapadłą w r. 1661 dnia 13 Czerwca, dziedzictwem nadane mu było, i odtąd Starostwo Tykocińskie z dóbr królewskich złożone, w dobra ziemskie szlacheckie dziedziczne zamienione zostało. (4)

(2) Z miastem Tykocinem nadane były folwarki i wsie, a mianowicie: Bierki, Łopuchowo, Stelmachów, Joroniszczewo, Lipniki, Siekierki, Sarniki, Złotorya, Sawino, Młynary, Jedwabne, Białystok (dziś znakomite i upięknione wielu wspaniałami gmachami miasto:) Starosielce, Bojarze, Wysoki Stok, Bojarze nad rzeką Supraśb, Zawady, Dolistowo, Radzie, Smogorzewka, Trzciano, Leśniki, Pajewo z wsiami trzynastu nazwanemi zakątki, z wszelkimi przyległościami.

(3) Stefan Czarniecki h. Łodzia pochodzący z familii szlacheckiej niezamożnego domu, urodził się we Wsi Czarniej Województwie Sandomierskiem Powiecie Chęcińskim r. 1559, a umarł we Wsi Sokolówce r. 1665 pochowany w Czarniej w Kościele tamecznym. Życie jego napisał X. Michał Erejowski S. P. z przypisaniem N. Stanisławowi Augustowi IV Królowi Polskiemu. Ostatnie dzieła tego wydanie nastąpiło w Radomiu 1830 r.

(4) Słowa Konstytucyi nadawczej przytaczają się:

•Dobrze są wiadome światu Stefana Czarnieckiego Woje-

Gdy tenże Hetman Czarniecki z Zofii Kobierzyckiej, którą sobie zaślubił, niezostawił żadnego potomstwa płci męskiej, lecz tylko dwie córki, dziedziczki sławy swej i majątku, te obiedwie za życia wyposażył, a Król Jan Kazimierz w pozostałym potomstwie wynagradzając zasługi wojownika tego, rozdał królewskiej szczyzny przez niego posiadane, dwóm zięciom jego Wacławowi Leszczyńskiemu h. Wieniawa, Wojewodzie Podlaskiemu, za którym była Konstancya, i Janowi z Ruzszy h. Gryf Jaxie Branickiemu Marszałkowi nadwornemu mającemu za sobą starszą córkę

wody ziem Ruskich odważne dzieła i zasługi, które przez wszystkie swój wiek, począwszy od lat swych młodych, aż do tego czasu Nam i Rzeczypospolitej wyświadczał, osobliwym jednak sposobem, wydzwignienia jej z tak ciężkich terminów, swoim *concurrat* mężstwem i odwagą, którego lubo sama nieśmiertelna sława *ad seram posteritatem transferret nomen*, aby jednak tak odważnych zasług niezdawaliśmy się być *ingrati*, owszem oneż ojcowskiemu przyjmując affektem, dobra nasze Starostwo Tykocińskie ze wszystkimi dworami i przynależnościami do tych dóbr należącemi, *et cum iure patronatus* za zgodą wszech stanów, *authoritate praesentis Conventus iure haereditaris* Onemuż i Jego successorom *ad perpetuam meritorum* jego *memoriam* dajemy, jak to wszystko przywilej od Nas dany obszernej wyraża *cum omnibus immunitatibus bonorum terrestrium, salvis tamen in integro fundationibus Ecclesiasticis et Hospitalis* na żołnierzy postrzelanych, *provisione annua P. P. S. Francisci Ord. Minor. de observantia Conventus Tikocinensis.*

Czarnieckiego Alexandrę Katarzynę. Wnukiem jej był sławny mąż Jan Klemens z Ruszczy Branicki Kasztelan Krakowski Hetman Wielki Koronny, ostatni z domu Gryfów Jaxów Branickich, siostrę Króla Stanisława Augusta IV. za małżonkę mający, bezdzietnie zmarłą, po którym jako bezpotomnie z tego świata zeszyłym, jak niemiej po zgasłym dożywociu żonie swjej z Poniatowskich do dni życia zapisaném, majątność Tykocińska dostała się w ręce:

1. Jana Potockiego w Boćkach Województwie Połlaskiem.
2. Felixa Potockiego czyli teraz jego sukcesorów w Tykocinie.
3. Mostowskiej z Potockich Tadeusza Mostowskiego byłego Ministra Spraw Wewnętrznych małżonki.

I z tego to powodu dziś Miasto Tykocin jest w posiadaniu dziedziczném imienia Potockich.

2. *Łolożenie Tykocina.*

Tykocin od strony północnej otacza rzeka spławna Narew, i na tej jest most długi łokci 281 na palach z drzewa, poczynający się od łądu, a ciągnący się do kempy, na której niegdy istniał Klasztor O. O. Bernardynów jak pozostałe gruzy przekonywają, i cmentarz przez wyznawców Augsburskich zajęty. Na tém moście wystawiona brama oznacza rogatkę granicy Królestwa, zaś przez tę kępę wybita jest grobla, z której wjeżdża się znowu na drugi most długi łokci

181 także na palach wybudowany, dotykający rogatki od strony Państwa Rossyjskiego i kępy drugiej w pośród której niegdy zamek wzniosł się okazałe.

Most ten drugi ułatwia przebycie Narwi zwaney starą rzeką, i na nim podobnie jak na pierwszym jest brama, oznaczająca roгатkę Cesarstwa.

Miasto leży na płaszczynie, w odległości mili jednej są zarośle które do niego należą.

O pół mili w stronie południowej, widzieć się dają w polu otwartém okopy znacznej rozciągłości, których wysokość jest znaczna, te z wielu mniejszemi połączone, wystawiają miejsce z dawnych wieków umocnione. Według podań miejscowych wały te Szwedzi usypać mieli w czasie dwókrótnej bytności swojej w Polsce, i napadów na miasto i zamek jego przedsiębranych.

3. Podział Miasta.

Tykocin dzieli się:

- a. na miasto stare, i
- b. na miasto nowe, które są przedzielone przepkopem (kanałem) wązkim, kamieniami brukowanym przez ten przepływa struga zwana *pólna*, i ma spad do rzeki Narwi. Przebycie zaś kanału ułatwiają dwa mostki murowane.

4. Rybki.

Takowych jest dwa, *piérwszy* przy kanale wprost ulic Kaczorowskiej, Złotej, Holendry, Senatorskiej,

Zagumiennęj i Sadzawki. Jest cały brukiem pokryty, formuje czworogran, obwód jego wynosi cztery morgi miary chełmińskiej. Odbywają się na nim targi i jarmarki.

Drugi w ulicy Senatorskiej wprost kościoła XX. Missyonarzy i ulic Bednarskiej, Tylnęj, Jurydyki i Białostockiej. Rynek ten podobnie jak pierwszy brukowany i teje obszerności, lecz targów na nim odbywać niewolno. Tu wznosi się pomnik Czarnieckiemu wystawiony.

Prócz tych placów publicznych jest jeszcze mały rynek (rynaczek zwany) w ulicy Choroszewskiej, wprost ulicy Poświętne, w kształcie trójkąta brukowany, lecz do odbywania targów nieużywany.

5. Rozległość Miasta.

co do powierzchni gruntu.

Tykocin posiada gruntu ciągłego ornego włók miary chełmińskiej 93, zabudowania jego, łąki, pastwiska zajmują tej miary włók 18, razem liczy włók 111. Należą do niego dwa folwarki, Stelmachowo i Lipniki.

6. Przywileje.

Miasto to przed rokiem 1661 będąc własnością narodu, miało sobie udzielone przywileje przez Mo-

narchów Polskich, a mianowicie obdarzył go nadaniem Król Władysław IV z daty 15 Lutego 1642 r. wszelakich swobód; takowe Król Jan Kazimierz w dniu 25 Lutego 1650 r. zatwierdził. Nadto starozakonni mieli przywilej przez Władysława IV w Wilnie dnia 28 Lutego 1630 r. dany na wolne ważenie i szynk wszelakich trunków.

Na takowe i tym podobne przywileje, Hetman Stefan Czarniecki uczynił w roku 1663 assekuracją, iż będą miastu zachowane, a nawet od poddaństwa mieszkańców jego uwolnił.

7. Domy.

W roku 1826 Tykocin liczył domów:

a.	Z muru	47
b.	Z drzewa	386

w Ogóle 433 (5)

W roku 1840 było domów:

a.	Z muru	47
b.	Z drzewa	393

w Ogóle 440 (6)

(5) Jeografa Steina w Warszawie u X. X Piarów w r. 1826 wyszła z druku część I. str. 256 i Obraz Jeograficzno Statystyczny Król. Pols. p. Bodeckiego D. M. w V. tablicach w Warszawie 1830. r.

(6) Wedle powziętych wiadomości z urzędu Burmistrza Miasta Tykocina.

Zatem w przeciągu lat 14 przybyło 7.

Summa ubezpieczalna tychże w Towarzystwie ogniwem:

a. Domów z muru wilości Złp. 291,650

b. Domów z drzewa wilości Złp. 248,550

Podana w ogóle na Złp. 540,200

8. Ludność.

W roku 1826 mieszkańców:

a. Chrześcian 1398

b. Starozakonnych 1777

Było razem osób 3,175

W roku 1840 liczono mieszkańców:

a. Chrześcian 1391

b. Starozakonnych 3372

Razem . . 4,763

Zatem w przeciągu lat 14

a. Chrześcian ubyło. 7

b. Starozakonnych przybyło 1595

9. Zakładnienie Mieszkańców.

Mieszkańcy ci trudnią się:

I. Rękodzielami, między temi znajdują się:

a. Fabryka Sukna. 1

b. „ Kapeluszków 1

c.	Fabryka Grzebieni. . .	5
d.	„ Płótna	2
e.	„ Garbarni . . .	2
f.	„ Cukru	1

należąca do Jana Potockiego dziedzica miasta.

II. Rzemiosłami, sprzedażą towarów wszelakich i napojów, i jest:

g.	Kupców.	5
h.	Kramarzy	25
i.	Cukiernik	1
k.	Winem handlujących. .	2
l.	Traktyerników	2
ł.	Szynkarzy soli	18

III. i w części rolnictwem.

40. Rzemieślnicy.

W roku 1840 następujący rzemieślnicy w Tykocinie istnieli.

I. Bednarzów 4, Blacharzów 5, Brukarzów 2, Ciesli 7, Farbiarzów 2, Faktorów 13, Furmanów 27, Gorzelników 2, Garnarczów 2, Gwoździarzy 2, Introligatorów 2, Iglarzów 2, Powroźników 2, Pieczętarzy 2, Szmuklerzy 6, Rzeźników 4, Rękawiczników 2, Rymarz 1, Stolarzy 2, Szklarzy 6, Szewców 60, Stelmachów 2, Szpilkarz 1, Waciarzów 3, Zegarmistrzów 2, Złotników 3, Zdun 1, Szwaczek 7, Praczek 6, Piwowarów 3, Piernikarz 1, Piekarzy 13, Ogrodników 4, Mosiężników 3, Malarzy 4, Kołodziejów 3, Kuśnie-

rzów 4, Krawców 75, Kowalów 9, Kotlarz 1, Komi-
niarzy 2, Konował 1, Katorynkarzy 3, w ogóle było
w tym roku rzemieślników w Tykocinie 360.

II. Prócz takowych znajdowało się:

Kapitalistów 8, Karczmarzów 6, Bankierów 2, Ry-
baków 20, Aptekarz 1, Cyrulików 3, Billard utrzy-
mujących 2, Wexlarz 1, Dystrybutor Tabaki 1, Han-
dlarzy końmi i zbożem 21.

11. Przychód Miasta.

Przychód z miasta Tykocina wynosił w roku 1840
Złp. 19,000.

12. Targi i Jarmarki.

Odbywa się tu siedm jarmarków, mianowicie: na
N. P. Gromniczną (2 Lutego) dni 2 trwający, na S.
Benedykt, na S. Trójcę, na S. Wincenty a Paulo,
S. Franciszek, na S. Marcin i na S. Tomasz.

Targi bywają w każdym tygodniu, w Niedzielę,
w Wtorek i Piątek, sprzedaż i kupno zboża, koni,
wołów i wszelakich produktów bywa przedmiotem
handlu w tych terminach odbywającego się.

13. Ogrody, Sady, Studnie, Spicbże i Młyny.

Tykocin niema ogrodów do spacerów, posiada
tylko sadów owocowych 6, studni 17, Szpichlerzy

nad rzeką Narwią o jedném piętrze z drzewa 4, młynów na tejże rzece 8, a wiatraków w okręgu miasta 4, a tak zwanych końskich młynów (deptaków) w mieście 4.

14. Posąg Czarnieckiego.

Zdobi i odznacza rynek główny grodu tego posąg z kamienia ciosowego Stefana Czarnieckiego z buławą w prawej ręce, na podstawie z marmuru, na której pochwalny napis w języku łacińskim z przywileju Jana Kazimierza wyjęty znajduje się.

Wysokość samego posągu Czarnieckiego w zbroi rycerskiej wynosi łokci $4\frac{1}{2}$, otoczony jest sztachetami żelaznemi, słupek zaś na którym posąg stoi, także z kamienia ciosowego jest średniej wielkości.

Wzniesiony został ten pomnik przez Jana Klemensa z Ruszczy Branickiego Kasztelana Krakowskiego, Hetmana W. Koronnego na pamiątkę swemu pradiadowi.

15. Władze.

1. Sąd pokoju Powiatu Tykocińskiego, posiedzenie w tutejszym mieście odbywa, we względzie zaś Administracyjnym podlega Kommissarzowi Obwodu Łomżyńskiego, złożonego z powiatów tegoż nazwiska i Tykocińskiego.

2. Istnieje tu Komora Celna pierwszego rzędu.

3. Urząd Burmistrza i

4. Zupa solna.

16. Szkoły.

Dawniej była tu szkoła podwydziałowa (7) i dziś miasto nie jest podobnego Instytutu pozbawione, są bowiem szkoły parafialne.

18. Kościoły, Klasztory i Ementarze.

Szczyci się Tykocin Kollegium X. X. Missyonarzy, reguły Ś. Wincentego a Paulo, którzy przy kościele swoim utrzymują parafię ze sprawowaniem obowiązków dziekańskich. (8) Kościół tutaj z muru, architektury pięknej, dwiema wieżami i kopułą w środku, miedzią pokrytymi ozdobiony, jest wspaniały i do pierwszych świątyń w kraju policzony być może, a w mieście Tykocinie za najpierwszą budowę uważać go wypada. Na jednej z wież znajdują się dzwony, a na drugiej zegar.

(7) Rocznik Instytutów religijnych i edukacyjnych w Królestwie Polskiem, Warszawa 1838, Str. 320. W roku 1827 było w szkole tej Uczniów 69.

(8) Dekanat Tykociński mieści w sobie Kościołów 10 jako to: Jabłoń, Kobylin, Płoszka, Poświętne, Piątkowo, Budki, Sokoly, Tykocin, Waniewo, i Zawady.

W Dyecezyi Chełmskiej, Obrządku Grecko-Katolickiego także znajduje się Dekanat Tykociński i zawiera Kościołów 11 jako to: Augustów, Bala-wielka Hodyszewo, Hołynka, Lubno, Lipsk, Perłun, Rygałówka, Sopotkinie, Tykocin, Wysokie-Mazowieckie.

W tyle tej bazyliki są mieszkania dla XX. Misjonarzy z muru o piętrze, zaś w bramie przy wejściu do kościoła tegoż, są dwa filary murowane, a na nich w górze nad bramą wzniesiono statuę czterech Ewangielistów z kamienia ciosowego rzeźby dawniej i ozdobnej, w samym kościele jest nagrobek Janowi Klemensowi Branickiemu Hetmanowi fundatorowi tejże świątyni z alabastru wzniesiony. Sprzęty i ozdoby wszelkie są okazałe i w dobrym stanie utrzymywane. W r. 1769 za wprowadzeniem do miasta tego Zgromadzenia XX. Misjonarzy, Jan Klemens Branicki założył i uposażył Seminarjum świeckich Xięży w tém miejscu, przeznaczwszy fundusz na utrzymanie czterech alumnów. Szczupły ten i niedostateczny zasitek powiększony został przez Rząd krajowy terazniejszego, tak iż w tym czasie utrzymywanych bywa 20 alumnów, prócz Professorów któremi są członki zgromadzenia rzeczonych XX. Misjonarzy. Hetman Branicki nadał temuż klasztorowi za fundusz folwark Popowlany, wieś do niego zarobną, młyn na Narwi, las z łąkami na wsiach Łopuchowie i Frączkach i kapitał zapewnił w summie Złp. 50,000 od którego procent pobierają i ordynaryą dla Szpitala z summą 500 złp. corocznie.

Istnieje tu także klasztor XX. Bernardynów z muru. Wprowadzenie tego zakonu do Tykocina jest bardzo dawne. Klasztor z kościołem początkowie miał na kępie w pobliżu zamku, gdzie dziś wyznawcy Augsburscy mają swój cmentarz, a gdzie gruzi miejsce gmachów tych wskazują. W końcu życia swego Król

Zygmunt August wydał był rozporządzenie, aby klasztor ten winne miejsce przeniesiony został, dla bliższego zamku.

Dzisiejszy klasztor XX Bernardynów także przez Jana Klemensa Branickiego Hetmana w r. 1756 erygowany, z nadaniem młyna wodnego na rzece Narwi, łąk w terytorium miasta Tykocina i zarośli do opału na wsi Frączkach, oraz ogrodu obszerności gruntu włóki jednej i morgów 15, z trzema sadzawkami. Klasztor ten jest murowany o piętrze, w miejscu kościoła jest wystawiona z muru także kaplica, ozdobiona kopułą i trzema ołtarzami. Oprócz nadań na erekcyą ma tutejszy klasztor przekazaną sobie sumę Złp. 50,000 na dobrach Jedwabne i pobieranie z dóbr Tykocińskich 60 korcy zboża corocznie. Takim sposobem był jego zabezpieczony został. Za miastem w stronie wschodniej jest oddzielny cmentarz dla chowania zwłok zmarłych katolików, cegłą i kamieniami obmurowany, na którym jest wybudowana z muru kaplica obszerna i kopułą ozdobna. Na tymże cmentarzu istnieją katakumby i kościца murowane. O cmentarzu Ewangelickim już się powyżej nadmieniło, takowy na kępie w miejscu w którym się wznosił początkowo Klasztor XX. Bernardynów znajduje się.

Także starozakonni mają tu kilka buźnic i domów do modlitwy przeznaczonych, jak niemniej i oddzielny kierkut. Nakoniec nadmienić tu wypada, iż nad rzeką Narwią jest z muru tak nazwany Alumnat czyli dom kwadrat z kaplicą i wejściem o jednej bramie, dla 12 wysłużonych w wojsku osób,

przez tyle dobroczynnego dla Tykocina Hetmana Branickiego założony; fundusz na ich utrzymanie jest zabezpieczony na dobrach Tykocińskich i Choroszczy. Nad tym przytułkiem nieszczęśliwych rząd krajowy opiekę swoją rozpościera.

18. Zamek.

Na wzgórzu umyślnie wśród kępy sypanem przez króla Zygmunta Augusta z muru wzniesiony, a raczej przebudowany, (zaiste starożytność jego sięgała dawniejszych jeszcze czasów) jak opisuje Gwagnin, posiadają miejsca, będąc zewsząd oblany błotami, (9) obronny, przekopami i wałami w koło otoczony, w działa i strzelbę nigdy dobrze opatrzone, mocnił nigdy posadę grodu tego, i w czasie wojen szwedzkich ważnym był punktem wojskowym, i krwawe tu często zachodziły bitwy.

Dziś z niego podobnie jak z wielu innych warowni i twierdz, zostały tylko szczątki murów, ślady przekopów i wałów w czworograny i trójkąty sypanych. Tyle wojen, oblężeń, napadów wytrzymał, tylu sławnych ludzi przeszło tędy, a czasu co wszystko niszczy, pożera i zagładza pokonać nie był w stanie! owszem, ten go pożył i w nicłość wprawił! (10)

(9) Wylewy Narwi na wiosnę szerokie, niedostępnym go czyniły.

(10) Istniał tutejszy zamek na kępie obszernej blisko włók cztery, położenie jego względem miasta było w stronie pół-

Zwaliska te samym nawet upadkiem swoim znakomite, nasuwają zwiedzającemu nieomylną prawdę: iż wszelakie utwory ludzkie prędzej czy później ulegają zniszczeniu. Można zaiste o tutejszej warowni powtórzyć:

Pożarł wszystko czas łakomy,
Mrą i ludzie, mrą i domy. (11)

nocnej za rzeką Narwią, jedną nową a drugą starą w odległości wiorsty jednej, dwoma mostami od strony południa z miastem połączone, zaś od strony północnej w kierunku wsi Tatarom pięciu mostami odłączony od łądu stałego. Otoczony był do koła wodą, a za tą błotami niedostępnymi. Miejsce istnienia jego czyli murów jego w skazują gruzy i rozwaliny, wśród tych jest plac równy między wałami, na którym dotąd istnieje studnia w kształcie sześciogranu, wewnątrz marmurem wyłożona, obfitująca w wodę zdrową i wydostarczającą. Wież, basztów, bramów, niepozostało żadnego śladu, tylko wszędzie rozwaliny i zsepiska gruzów i kamieni zalegają. W tym miejscu jest teraz Tamoźnia i straż graniczna ze strony Cesarstwa.

(11) Nader przyjemną, a zarazem ważną przysługę uczyniłby ten z uczonych któryby starożytne zamki, warownie, twierdze, gmachy świątynie z ubiegłych a odległych wieków pozostałe, opisami w jednym zbiorze alfabetycznie, lub w podziale kraju na prowincye jego, z dołączeniem rysunków ich, chociażby główniejszych podał do wiadomości potomnych, a przeto nie jeden szczegół w ustach ludu istniejący, z prawdą częstokroć mijający się sprostował, i czyny istotnie zasługujących na pamięć ludzi uwiecznił, a zarazem niejedną ciekawą okoliczność, dla dziejów już to kraju, już to miiej-

19. Zdarzenia Historyczne.

Wyliczmy teraz z porządku rzeczy, zdarzenia historyczne zasze w tutejszym grodzie i przyległym mu zamku.

I. Król Zygmunt August wkrótce przed śmiercią swoją dla panującej zarazy morowej w Warszawie

scowości tyczącą się wykrył!... Do zebrania podobnych wiadomości mamy już niemało posłużyć mogących materyałów, jakimi są szczegółowe opisy grodów, warowni, gmachów, w różnych częściach kraju istniejących, już to w piśmiech peryodycznych, a temi są: pamiętniki Warszawskie wydań Dmochowskiego, Osńskiego, Bendkowskiego, Wileński, Pszczółka Krakowska, Mrówka Poznańska, Pamiętniki historyczne: Sandomierski, Płocki, Kolumb, Czasopismo Lwowskie, Kalendarzyki polityczne, rozrywki dla dzieci, Pismiennictwo Krajowe, Przegląd Warszawski, Magazyn Powszechny, Muzeum domowe, Opisy Litwy, Podola, Ukrainy i tym podobne, Noworoczniki, Biblioteka Warszawska, umieszczone; już też oddzielnie z druku w różnych czasach wyszły jak n. p. Opisy Miast Krakowa p. Ambrożego Grabowskiego Poznania p. Łukaszewicza, Lwowa p. Chodynieckiego, Wilna przez Balińskiego, a później przez Kraszewskiego, Lublina p. Sierzińskiego, Płocka i Pultuska przez W. H. Gawareckiego, Warszawy p. Gołbińskiego, Jarosławia p. Siarzyńskiego, i Opis starożytnej Polski p. Święckiego.

W Niemczech znalazło się niemało w różnych czasach badaczów przeszłości, którzy z miłą ciekawością dla czytelnika, opisy starożytnych rycerskich zamków kraju swego z czasów feudalnych zebrali, a nawet warownie podobne w Prusiech,

w r. 1572 wąty mocno na siłach, przyjechał do Tykocina, i czyniąc rozporządzenie koło wzmocnienia tamiecznego zamku, polecił Staroście miejscowemu Łukaszowi Górnickiemu, (12) aby Mnichy mający

w Szląsku, w Szwajcaryi, w Saxonii, w Bawaryi i. t. d. z głębokiem śledzeniem tych pamiątek opisane zostały. Niebądźmy pośledni w tym przedmiocie naukowości, i jak przyswajamy sobie rozmaite wynalazki od okolicznych ludów, tak zapatrujemy się na ich zamilowanie przeszłości i szczątków jakie im przodkowie w puściźnie zostawili.

(12) Górnicki Łukasz Starosta Wasylkowski i Tykociński rodem z Krakowskiego, mąż nauką, dobrem obywatelstwem i sposobem myślenia, wyższy nad osoby i przesady wieku swego. Urodzony około roku 1530 (lat temu 311) wychowanie szkolne odebrał w Akademii Krakowskiej, które przyjętym w ówczas zwyczajem w obcych Akademiach kończył. Dalsze ukształcenie i wprawę dwory możniejszych mu dały. Los dobry Górnickiemu zdarzył że się dostał na dwór Samuela Maciejowskiego Biskupa Krakowskiego, wówczas kanclerza W. koronnego, którego dom był cnoty i obywatelstwa szkołą. Po jego zejściu w domach wyższego znaczenia jako to: u Zebrzydowskiego Biskupa Krakowskiego bawił. Od tego przeszedł na dwór Zygmunta Augusta, któremu do pisania listów był podręcznym. Ten to Król język polski do używania w pismach urzędowych podniósł. Czytając nim pisane od Augusta do Panów rad listy niektóre, daje się poznać obfitość myśli, dobitność i jasność mowy Górnickiego. Umarł Zygmunt August r. 1572 dobroczyńca Górnickiego, bo od niego Starostwem Wasylkovskim i Tykocinskim był obdarzony. Górnicki z żoną swoją Broniewską z domu Chorażego Przemyskiego córką, osiadł we wsi Lipnikach do sta-

klasztor w pobliżu zamku na inne miejsce koniecznie przenieśli się, chcąc ich klasztor znieść dla zamku. (13)

II. Słabym wielce Król ten z Tykocina przybywszy do Knyszyna, (14) tamże umarł dnia 7 Lipca tegoż

rostwa należącej, tam w ustroniu wiejskiem używając słodyczy domowego pożycia, ziemiaństwu i naukom się oddał. Dzieła jego piśmienne są następujące:

1. Dzieje w Koronie Polskiej od r. 1538 do r. 1572 w Krakowie r. 1567 wydane.

2. Rozmowa o elekcyi o prawie o obyczajach polskich, podczas elekcyi Zygmunta III. r. 1616 przez synów jego Łukasza i Jana wydana.

3. Dworzanin Polski w Krakowie 1566.

4. Rzecz o dobrodziejstwach Seneki wzięta w Krakowie r. 1593 w Drukarni Łazarzowej.

5. Daemon Socratis czyli rozmowa złodzieja z diablem r. 1624.

6. Wierszem przełożona Tragedya Seneki Troast w Krakowie 1589 r. w Drukarni Łazarzowej, przypisana Piotrowi Wiesiołowskiemu Sekretarzowi J. K. Mości.

(13) Kroniki Bielskiego wydania Gałęzowskiego Księgarza V. czyli T. VII. stronnica 249, klasztor którego Zygmunt August na inne miejsce przenieść rozkazał, był O. O. Bernardynów, po którym tylko pozostają gruzy i cmentarz.

(14) Knyszyn odległe o mil 2 od Tykocina miasto podług opisu Gwagnina ozdobiono pałacem Królewskim, z ogrodem wielkim i zwierzyńcem kanałami poprzeryzanym. Zygmunt August w mieście tém z upodobaniem przebywał i polowaniem w przyległych lasach często bawił się. Żal i tkliwa pamięć Barbary żony, w sercu Króla tego zacnego nigdy niewyga-

roku, przeżywszy lat 52 wieku swego, a że w tém mieście jako wszędzie natenczas w Polsce wiele ludzi umierało, przez co z dworzan wielu od ciała królewskiego oddalało się, przeto toż ciało przewieziono do Tykocina z rozkazu rad koronnych i litewskich przybyłych do Knyszyna. Gdy zaś Zamek Tykociński, gdzie wszystkie skarby królewskie złożone były, dla wymarcia załogi pieszej powietrzem, źle był strzeżony, przeto Stany w czasie bezkrólewia zgromadzone, poleciły Piotrowi ze Zborowa Wojewodzie Sandomirskiemu i Janowi z Tomic Kasztelanowi Gnieźnieńskiemu, aby wedle potrzeby tenże zamek zabezpieczyli. (15)

III. Gdy w roku 1573 zjechali się do Warszawy na Konwokacyą, tak Senatorowie jako i Posłowie od rycerstwa na dzień 6 Stycznia, od panów Litewskich przybyli posłowie w osobach: Ostafeja Wołłowicza Kasztelana Trockiego, Pawła Paca Kasztelana Witebskiego, między innemi żądaniami od panów Rad swoich umieścili, aby bez nich nic w Tykocinie nieruszano, ani tam otwierano, zatem polecono Wołłowiczowi z Kasztelanem Chełmińskim opatrzenie tego grodu. (16)

śły, przez całe życie od jej zgonu, czarne suknie najczęściej go okrywały, a wszystkie jego pokoje w Knyszynie, kirem wybite były na znak żałoby, po nieodżałowanej nigdy małżonce. T. II. Str. 310 Pamiętników o Królowej Barbarze p. Balińskiego w Warszawie 1837 i 1840 u J. Glücksberga.

(15) Kroniki Bielskiego księga VI czyli F. VIII str. 20.

(16) Tenże str. 29

Z tego okazuje się iż wówczas zamek Tykociński był składem znacznych skarbów.

IV. Zwłoki Króla Zygmunta Augusta r. 1573 dnia 10 Września z Tykocina najuroczyściej do Krakowa przeprowadzone zostały (17) przy wielkim zebraniu się Senatorów, stanu rycerskiego, księży i ludu.

V. Po zejściu tego monarchy, Stany państwa naznaczyły siostrze jego królownie Annie, na utrzymanie 2,000 złp. na miesiąc i dochody starostwa Warszawskiego, Łomżyńskiego, Tykocińskiego, Bielskiego, i Wiskiego. Działo się to r. 1574. (18)

VI. Za panowania Władysława IV Króla Polskiego, Krysztof Wiesiołowski wielki Marszałek Xięstwa Litewskiego postanowił wyfundować szpital na 12 żołnierzy szlachty w wojsku zasłużonych, w mieście Tykocinie, którego on podówczas był starostą. Tym celem dobra swoje dziedziczne Dolistów i Radzie, w Województwie Podlaskiem, a ziemi Bielskiej leżące, temuż szpitalowi przeznaczył, i one urzędownie w Kancellaryi wielkiej koronnej, pomienionemu szpitalowi zapisał; dozór szczególny nad tymże, wielkim koronnym Hetmanom na zawsze poruczając, onymże zasłużonych, ranami w bitwach poniesionemi okrytych, lub podeszłym wiekiem na

(17) Programą tego przeprowadzenia znajdzię się w Pamiętniku Sandomierskim z r. 1829 F. II. str. 441.

(18) Panowanie Henryka Walezego i Stefana Batorego p. Albetrandego w Warszawie w Drukarni Zawadzkiego 1823 r. F. I. str. 45.

służbie wojskowej strawionym, osłabionych żołnierzy, szlachty w tymże szpitalu umieszczać zupełną moc nadał. Urząd zwierzchniczy nad w mowie będącym instytutem najbliższy po Królu i wielkim Hetmanie koronnym, z mocy pozwolenia sobie od Rzeczypospolitej udzielonego, do ostatnich życia swego dni, w osobie swojej a naprzyszłość po zgaśnięciu swym życiu, w osobach Starostów Tykocińskich, czasowo będących, a wtenczas istniejących, jako z bliska na życie i obyczaje umieszczonych w szpitalu tym żołnierzy patrzyć mogących, ustanowił, z tym atoli wyraźnym obowiązkiem, iż oni tych tylko do szpitala rzezonego żołnierzy przyjmować będą mocni, których Hetman wielki koronny za zasłużonych uznawszy, zanominuje. Podobnież wewnętrzną administracją, iuż to szpitala w mieście Tykocinie, swym kosztem wymurowanego, już to dóbr Dolistowa z wsią Radzie, na utrzymanie tegoż szpitalu i w nim umieszczonych żołnierzy przez siebie zapisanych, przy tych samych starostach Tykocińskich pozostawił, z tym obowiązkiem iż oni z największą wiernością i przemyśłem jako dobrzy ojcowie familij pomienionemi dobrami zarządzać, żołnierzom w szpitalu umieszczonym, przeznaczoną pensją regularnie co kwartał z góry opłacać, budowle wszelkie tak do gmachu Szpitalem Tykocińskim zwanego, należące, jakoteż i w dobrach onemuż zapisanych znajdujące się w całości i w dobrym porządku utrzymywać, należytość Wikaryuszom Kościoła Dolistowskiego z dóbr tychże przypadającą opłacać, i nakoniec co trzy lata Kom-

missarzom przez Króla wyznaczonym z administracyi swęj rachunki składać są obowiązani. (19)

Fundacya ta zabezpieczoną i potwierdzoną została Konstytucyą Sejmu koronnego Władysława IV. wr. 1633 w Krakowie, pod tytułem: Szpital Tykociński. (20)

Szacowna ta ofiara z dóbr własnych przez czcignego męża dla ulgi cierpiącej ludzkości uczyniona, niestety! przez nadanie później Tykocina i Starostwa tegoż nazwiska Stefanowi Czarnieckiemu celu swego arcyhwałebnego, na który przeznaczoną była, niedoszła, i mimo sprawiedliwej reklamacyi familii fundatora niegdy Krzysztofa Wiesiołowskiego W. Marszałka W. Xięstwa Litewskiego, niepamięci jest oddana!

(19) Obszerny i uzasadniony wywód fundacyi Krzysztofa Wiesiołowskiego W. Marszałka W. Xięstwa Litewskiego w Tykocinie, jest w prośbie do Prokuratorcyi Jlnęj Kró. Pol. przez sukcesora fundusz czyniącego tegoż imienia Krzysztofa Wiesiołowskiego Obywatela i Członka Towarzystw uczonych pod datą 20 Grudnia 1821 r. zanesionęj, wyluszczonej.

(20) Volumen Legum III. fol. 813 w te słowa:

• Fundacyą szpitala żołnierskiego w Tykocinie, którą W. Krzysztof Wiesiołowski Marszałek nasz nadworny W. Xięstwa Litewskiego na majątności swęj dziedzicznej w Województwie Podlaskiem, nazwanej Dolistowie uczynił i o-
 • neż w Kancelaryi Naszęj W. koronnej personaliter przy-
 • znał, za prośbą onegoż, a zgodą i konsensem wszech Sta-
 • nów we wszystkich punktach in toto approbujemy i że-
 • by pomienione dobra, ani in toto, ani in parte, na ża-
 • dną inszą rzecz przez Nas, ani potomki Nasze obrócone
 • niebyły, mocą tego Seymu in perpetuum warujemy.

Czy urządzony w Tykocinie przez Hetmana Branickiego tak zwany Alumnat dla 12 wysłużonych żołnierzy z funduszem na dobrach Tykocińskich i Choroszczy przeznaczonym, odpowiada fundacyi Krzysztofa Wiesiołowskiego, nie jest wiadome piszącemu, i do badań jego nie należy.

VII. W roku 1657 dnia 17 Stycznia, jak opisuje Samuel Pufendorf (21) Hetmani Litewscy Sapięha i Gosiewski, miasto Tykocin na Szwedach, w czasie ich napadu pierwszego na kraj Polski opuszczone, odzyskali. Naglony do poddania się dowódca Szwedzkiej załogi 500 ludzi wynoszącej, na zamku Diterik Roia (Dieterich Reie) wroczaczy zapaliwszy prochy, siebie, garnizon i część zamku na powietrze wysadził. (22)

VIII. W czasie powtórnego najazdu Szwedów Karol XII w r. 1703 twierdzę Tykocińską zdobył, którą później Polacy odzyskali, przy klęsce zupełnej ze strony opierających się w zamku Szwedów, poniesionej. (23)

W zapasach dopiero przytoczonych wojennych, warownie tutejsze w swoich uzbrojeniach wiele szkody poniosły.

IX. W roku 1705 dnia 1 Listopada Król August II. po odbyciu podróży z niebezpieczeństwem życia przy-

(21) W dziele swoim *Historia gestarum Caroli Gustavi*.

(22) Opis starożytny Polski p. Święckiego Wyd. II. z r. 1828 T. I, str. 445.

(23) Żaluzki w dziele *Epistolae familiares* T. IV. str. 440.

był do Tykocina w towarzystwie trzech tylko osób (24) także dnia 3 tegoż miesiąca ustanowił, czyli raczej wznowił Order Orła Białego z napisem: *za wiarę, prawo i Króla*, którego medale z wizerunkiem swoim, wiernym sobie przyjaciółom rozdał. (25)

(24) Jeografia wschodniej części Europy czyli opis krajów przez wielorakie narody Słowiańskie zamieszkałych przez Stanisława Platera w Wrocławiu u Korna r. 1825 str. 187 i 187.

(25) Po zalaniu Polski przez zwyciężkie wojska Karola XII. kiedy Augusta zmusił do ustąpienia z kraju, Król ten przedsięwziął niebezpieczną do Tykocina podróż, w towarzystwie 3ch tylko osób dla widzenia się z Piotrem W. Imperatorem. Już w pobliżu miasta ujrzał że mocny oddział Szwedów zastępował mu drogę, w tak groźnem niebezpieczeństwie szuka bezpieczeństwa dla siebie w dworze Ziemiańszczyzny Polskiego. Przybywa spieszenie, ale jakież było zadziwienie Augusta, gdy ujrzał w osobie gospodarza (którego nazwiska dzieje nam niezachowały) jednego z najzaciętszych nieprzyjaciół swoich, pomieszany zaledwo zdoła wymówić « żądam schronienia, Szwedzi wokół » kiedy wspaniały odpowiedział Ziemiańszczyzna:

« Najjaśniejszy Panie! lubo wam nieprzyjazny, gdy żądasz » przytulku, niezawiedzisz się bynajmniej. Żądam wszystkiego » a ręka i serce jest na usługi Waszej Królewskiej Mości. Nie » obawiaj się niczego, po moim chyba trupie, dostaną Szwedzi » waszą osobę » Jakoż niemniej dotrzymał słowa, i gdy minęło niebezpieczeństwo Król August udał się do celu podróży swojej. *Kaz. Wł. Wóycicki w Artykule Gościnność.*

W rozwinięciu postanowienia swego w roku 1703 Statuta Orderu tego przepisał. (26)

Pamięć czynu tego uwieczniają trzy medale z tego powodu wybite. (27)

(26) Królowie Polscy dawniej rozdawali łańcuchy złote z orłem białym i godnością kawalerską, przy koronacjach i uroczystościach radosnych zwyczajem w całej Europie używanym, aż do Zygmunta III, zatem starodawność orderu orła białego nie wywodzi się od r. 1705 lub r. 1713 lecz albo od Przemysława I. albo od Władysława Łokietka. Ci którzy temu ostatniemu przypisują ustanowienie orderu tegoż, powiadają że na weselu syna swego Kazimierza III. z Anną Gedyminówną był wprowadzony. Równość i niedostatek wyraźnych statutów przyczyny były podobno, że zaniedbano order orła białego. Wszakże gdy Władysław IV. o innym Niepokalanego poczęcia Najświętszej Panny zamysłał orderze, jakoby się ordery z równością szlachecką w Rzeczypospolitej niezgadzały, zaniechać musiał zamiaru tego. Dzieje Króla Polskiego przez I. S. Bandkiego Wyd. II. w Wrocławiu u Korna 1820 r. T. II. str. 491—492.

(27) Jako to: *Pierwszy* S. G. Głowa bez żadnej ozdoby z prawej strony z napisem D. G. August II. Rex Polon. Elector Saxon: u dołu imie snycerza H. P. Groshart.

S. O. krzesło tronowe nad którym korona, a obok niej z obu stron po jednym orle, z pod korony zwieszona wstęga orderowa z wiszącą spinką gwiaździstą, a we środku gwiazda, na której wyrazy: *pro fide, rege et lege*, w około *Restaurator ordinis aquilae albae*. W średnicy 32 linii, złoty, ważący 26 dukatów.

Drugi, jest podobny poprzedzającemu srebrny, ważący dwa luty, w średnicy 22 linii.

X. W tymże samym czasie Król August II, z Cesarzem Piotrem W. zjechawszy się w Tykocinie, stałą przyjaźń i pomoc wzajemną ponowili, i ztąd obadwa Monarchowie do Grodna udali się. (28)

XI. W tymże roku 1705 szlachta pod protekcją Cesarza Piotra W. tu zebrana, zniosła manifest przeciw elekcyi Stanisława Leszczyńskiego na tron Polski nastąpionej. (29)

XII. W roku 1809 w czasie opanowania Warszawy przez wojska Austriackie, rząd ówczasowy objęty Radą Stanu, przeniósł się do Tykocina, gdzie cztery tygodnie przebywał, aż wojska nieprzyjacielskie z Warszawy w dniu 1 Czerwca tegoż roku ustąpiły.

Obraz niniejszy miasta Tykocina co do główniejszych szczegółów skreślony, daje czerpać przekonania

Trzeci S. G. Popiersie w zbroi w lewą patrzące, ze wstęgą orderową wiszącą z ramienia lewego, nad głową glob ziemski, w około: D. G. Fridericus Augustus Rex Poloniae et Elector Saxon.

S. O. Rozpostarta sama wstęga orderowa z wiszącą gwiazdą. W pośrodku zaś ósmioro kończąca gwiazda, na której są wyrazy *pro fide, rege, et lege. Restaurator ordinis Aquilae Polonicae.* Wszrednicy 23 linii, srebrny, wążący 2½ lata.

Spis medalów polskich p. Felixa Bentkowskiego w Warszawie 1830 r. str. 104 i 105.

(28) *Historya Książąt i Królów* krótko zebrana przez Teodora Wegę w Wilnie u Zawadzkiego 1824 r. str. 348 i *Ryz Historji Polskiej* p. Józefa Miklaszewskiego w Warszawie 1829 r. str. 365.

(29) *Święcki* w opisie Polski z r. 1828 T. I. str. 446.

nie, iż dla położenia swego nad rzeką spławną wśród równin gruntu klasy II urodzajnego co do plonu żyta i jarego zboża, łąk i pastwisk, jak niemniej łatwości posiadania drzewa do budowy i opału, miejscem jest dogodnym dla mieszkańców do zakładania fabryk siły wody do działań swoich wymagających zdatnym, zaś będąc miastem granicznym z Cesarstwem, posiada sposobność do handlu, jakoż nie można zaprzeczyć, iż Starozakonni w liczbie przewyższającej Chrześcian tu osiedli, znaczny handel na różne przedmioty prowadzą, w ogólności uważając, sposób do życia dla mieszkańców Tykocina, jest dostatecznie zabezpieczony.

Wincenty Hipolit Gawarecki.



100

GOŚCIE.

MAMA

Skaczcie, dziecieczki z radości:
Mieć będziecie miłych gości.

DZIECI

Czy Salusia i Juliś ze wsi powrócili?

MAMA

Nie Juliś, nie Salusia, a jednak wam mili.

DZIECI

Któż taki?

MAMA

Nie pytajcie, bez tej ciekawości
Dosyć, że ulubionych mieć będziecie gości.

Milczą dzieci, cierpliwie czekają tej chwili,
Aż upragnieni goście nareszcie przybyli.

Co za radość niespodziana
Biegnie gromadka kochana
Lubych gości biegnie witać
Szczęście w oczkach można czytać.

O ja rozumiem uciechę tych dzieciak,
Są to Dziadek i Babka z pod Kościelnych chatek,
Z tych niskich białych domeczków
Przyjęto ich za kumeczków,

Rodziców chrzestnych nazwanie im dano

A skoro przyjdą czy wieczór czy rano

To dzieciacki wybiegają,

Na szyję im się wieszają,

Ten z jabłuszkami, ten z gruszczyką,

Masz Dziadeczkę, masz Babeczkę!

Dziadek i Babka aż płaczą z radości

Boże—mówią—błogosław Panu i Jejmości

Że w młodziecne serduszka tę miłość wpoili

Że paniątka nie będą ubogim gardzili.

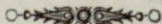
Niech Anioł stróż pilnuje tych kochanych dzieciak,

Niech tych co i my starzy doczekają latek.

Wszyscy się poplakali, płakali z radości

Zawsze z otwartym sercem witali tych gości.

Stanisław Jachowicz.



SONNET.

POETY ANGIELSKIEGO ROSCOC DO SWOICH KSIĄŻEK,

KIEDY MUSIAŁ JE SPRZEDAĆ DLA ZASPOKOJENIA
WIERZYCIELI.

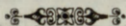
Kto z przyjaciółmi musi rozstać swemi
Tą tylko myślą ciężką żalność słodzi,
Że znów mu przyjdzie gdzieś spotkać się z niemi,
Znow w ich uściskach swe smutki nagrodzi.

Tak ja was rzucam, rzucam bez wzruszenia,
Wy światła dawce wy wielcy mężowie!
Ach! jak mi lube są chwil tych wspomnienia,
Którćm je z wami przepędzał w rozmowie.

14*

Może nim rok ten, nim ten dzień przeminie,
I ja zobaczę blask lepszego słońca;
Duch mój się wolny wzniesie w tej krainie,
Gdzie wieczna mądrość, panuje bez końca.
Tam się znów z wami wielcy przyjaciele
Spotkam, lecz nigdy już się nie rozdziłę.

Ant. . . Gł.





Zamek Jazłowiecki.



ZAMEK JAZŁOWIECKI.

(z rycina.)

Zamek ten obronny między rzekami Strypą i Hnicrolą położony, w bliskości granic Multan, był gniazdem sławnego i bitnego rodu Jazłowieckich. Na początku XV. wieku zasłynęło to gniazdo dzielnych wojowników, i o wszystkich można powiedzieć, co wyrzekł jeden z historyków o ostatnim tego rodu zmarłym bezpotomnie w 1607 za Zygmunta III.,— że bitwy były dla niego igraszką, obóz domem, końsiedzeniem, odzieniem żelazna zbroja, tańce z Tatarami zabawą.

Zaden z pisarzy nie zachował nam najlżejszego obrazu tego Zamku, który tyle szturmów wytrzymał, tyle burz brzemiennych piorunami był świadkiem.

Przed rokiem 1444 wspominają dzieje pierwszego tego rodu Michała Jazłowieckiego. Potomek jego Wacław za Jagiełły wojownik, pogromca Tatarów, później pustelnik na puszczy.

Ale ze wszystkich tego rodu, dzielnym pomysłem wślawił się za Zygmunta III Mikołaj Jazłowiecki Starosta Sniatyński. Kiedy horda krymskich tatarów zajęta była najazdem Węgier i Siedmiogrodu, Jazłowiecki postanowił wpaść do Krymu, zniszczyć Tatarów w ich gnieździe, pomścić się krzywd polskich, i Krym opanować. Zwabia poczet śmiałych junaków nadzieją bogatego łupu, wpada do Krymu z dobranym rycerstwem ale w niebezpieczeństwie opuszczony, zdradzony, nieprzeżył zawodu i hańby. Myśl wielka godna pomnika, nieznalazła wsparcia u Zygmunta III. Gdyby się była udała, od ilużby klęsk zbawiła.

Pamięć piastuna wielkiego pomysłu, wpyłe zapomnienia została, a gniazdo jego — zwaliska smutne.

Na jego synu Hieronimie zmarłym bezpotomnie, ród Jazłowieckich wygasł: jaśniejąc w dziejach przeszło półtora wieku. Zamek przeszedł wraz z licznymi włościami w obce ręce, opuszczony niszczał, na ruinach omszonych, nosząc jeszcze nazwę rodu sławnego.



O PRZYJAŹNI I PRZYJACIOLACH.

Wielu bardzo pisali o przyjaźni, a naprzód Cicerero, a na ostatku u nas podobno w owym traktaciku wydanym w Dobromilu, co to go poczciwy Żukowski w Wilnie przedrukował; dla tego zapewne że teraz nikt już traktatu o przyjaźni niepotrafi napisać, chyba zbierając o niej wieści, jak o malarstwie u Greków i Rzymian, jak o wszystkich rzeczach zatraconych. Pytam się, kto widział temi czasy żywą przyjaźń i żywych przyjaciół? Pojmuję doskonale nienawiść, miłość, namiętność, szacunek, przywiązanie, ale co to się zowie przyjaźń?

Czy to ten spokojny nałóg, co przywiązuje dwóch ludzi do siebie, jak konia i capa razem w stajni stojących?

Czy to utwor zgodności charakterów?

A dowiedziona jest rzeczą, że zgodnych charakterów ludzie na śmierć się z sobą nudzą i sobą gryzą.

Czy to harmonia charakterów? Pytam się gdzie ją znajdziesz?

Przyjaźń jaką nam odmalowali starożytni, przyjaźń Oresta i Pilada, to połączenie i poświęcenie dla siebie, to namiętne ukochanie wzajemne, ta gotowość na wszystko; przyjaźń taka dziś należy do krainy w której żyją gryfy, fenixy, centaury.

Przyjaźń ta znajduje się u nas malowana, pisana, kłamana, ale żywej nie masz. Nawet zważcie, że jej teraz wcale już nieopisują poeci i pisarze, tak w nią nie wierzą.

Cóż to teraz przyjaciel?

Przyjaciel, to narzędzie, posługacz, powiernik, szkatułka, kuchnia, co chcesz, przyjaciel, to ten z którym będąc sobie bez ceremonii, karmisz go najgorszym, poisz najkwaśniejszym, witasz niegrzecznością, żegnasz szyderstwem; przyjaciel to ten co się za nic nie gniewa i daje sobie jeździć po nosie. Przyjaciel jeszcze to ten co ci pochlebia, przyjaciel co plotki znosi, przyjaciel co ci pieniędzy pożycza (ale nie swoich) ach! i wieluż jeszcze!

Wszystko to przyjaciele.

Teraz przyjaciel przetłómaczony na nowożytnie języki, co do słowa, znaczy—narzędzie. Do czego? Ró-

źnie bywa użyty, ale zawsze to narzędzie tylko, do zabicia czasu, do zrobienia interessu, do wyszukania pieniędzy, czasem do zbałamucenia żony nawet. W przyjaźni terażniejszej jest poświęcenie także, ale z tą różnicą, że dawniej poświęcano się dla przyjaciół, a teraz przyjaciół się poświęca.

Wielka rzecz poświęcić przyjaciela, kiedy ich korpami, jak ekonomów na służbę, stręczy ci się po ulicach. Stracisz jednego, masz na to miast dziesięciu. Za drugą wizytą, za trzecim listem, niezawodnie już przyjaciel. Biedny Puszkim narzekał na przyjaciół, o i czemuż lepiej i sprawiedliwiej, nie oburzał się na przyklepienie tego imienia, do istot bez duszy, jak pła-skorzeźby, albo złamaną starożytną kolumną, do lepianki pastuszczej! Tak dziś sponiewierano to imię?

Wyidealizowano miłość nowszemi czasy, a zbłociono imię przyjaźni, tak że na prawdziwego przyjaciela trzeba by imienia nowego. I zważcie jakto zawsze język maluje historią czasów: mówi się *prawdziwy przyjaciel*, bo najwięcej jest nieprawdziwych a nie można bez śmieszności powiedzieć *prawdziwy kochanek*, bo kochanek każdy prawdziwy, choć może nie na długo.

W towarzystwie prezentuje się zwykle każdego gospodyni domu, tem:—mój przyjaciel, pan...

—Dawnoś go poznał?

—Wczoraj wieczorem.

Oczewiście musi się nazwać przyjacielem, bo jakie mu dać imię! przyjaźń to szeroki chomąt na wszystkie konie, choć komu karku nadetrze, — cóż to szkodzi.

W miarę jak cywilizacya postępuje, przyjaźń i gościnność znikają. Będą to wkrótce dwie cnoty bajeczne, których szukać trzeba będzie u dzikich ludzi, u barbarzyńskich narodów. Znamię wieków—miłość własna, intronizowana w sercu i w głowie, której nikt się już nie wstydzi, której wszyscy wszystko poświęcają, uczyniła przyjaźń niepodobną. Co dziś obchodzi najbardziej człowieka? juściż nie pozyskanie przyjaciół, nie zarobienie na szacunek, na spokojność sumienia, — ale pozyskanie jak największej sumy, dobrego bytu, majątności, bogactwa. Zawsze ceniono złoto od niepamiętnych czasów, ale nigdy tyle co dziś. Dawniej przynajmniej poeci i filozofowie zwali je podłym kruszczem.

Dziś nawet poeci tego niepotrafią, chyba z starej szkoły i to przez czyste naśladownictwo bez uczucia.

Przyjaźń to była cnota innych zupełnie czasów, czasów bohaterskich, czasów poświęceń i heroizmu, bo przyjaźń nie ostoi się bez ofiar, a dzisiejsi ludzie nie pojmują ofiary, chyba upewniwszy się, że za nią wróci podwojony kapitał.

Nic darmo, — stoi na chorągwi wieku napisano. Wszyscy popychają się, rwą, biegną, pędzą, padają, roztrącają;—ku nabyciu fortuny. Jestże tu czas myśleć o przyjaźni, i obciążać się przyjacielem. Dawniej także robiono fortuny, ale spokojnie, powolnie, rachunkiem, oszczędnością, — dziś prędko albo nigdy. Starosta lub Kapucyn. I na co się zda przyjaciel, gdy rachub i widoków powierzyć nie można, gdy na ich utajeniu często zależy wygrana?

Ilekróć słyse mówiących o przyjaźni, o przyjacio-
 łach, zawsze się rozśmieję, jest to stara lokucja, któ-
 rą posłyszysz w ustach tych co jeszcze mówią o Apol-
 linie i Muzach; młode pokolenie, nawet w wieku
 przyjaźni, już jęj nie pojmuje, już potrzeby jęj nie
 czuje, nie rozumie słodyczy. Za sto lat zastanawiać
 się będą, czy przyjaźń istotnie exystowała kiedy, i
 czy tylko nie jest ona zmysleniem czystem.

J. J. Kraszewolu.

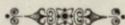


CHŁOPEK.

W szarawej sukmance, w czapce barankowej
Szedł Walek z rodzicem raz do Częstochowej
Bo kiedy dziecina ciężko chorowała
Matula ją Matce Najświętszej oddała.
Do miejsca świętego szli o suchym chlebie,
Niedbali o ciało, myśleli o niebie,
Nasz chłopek pocziwy ceniąc przedsięwzięcie,
Post, szlub uczyniony spełnić umie święcie.
Szli polem i lasem, godzinki śpiewali
Miasteczka i wioski w przechodzie mijali,
I na Jasnej-górze stanęli w kościele
Pobożnego ludu zastali tam wiele.

I serce im rosło patrząc na te dziwy,
 Jak wraca nie jeden uzdrowion szczęśliwy.
 I padli na twarze, i Boga błagali
 Dobyli grosiwa, ubogim rozdali
 Kupili ofiarki, złożyli na tacy
 I z sercem wesołym wracali biedacy.
 I niechże kto powie lud prosty bydlęta,
 O zajrzyjcie w serca jest tam iskra święta
 Jest czucie głębokie jest cnota prawdziwa
 Tylko ją szarawa sukmana zakrywa.

Stanisław Jachowicz.



Jak niezachwiany człowiek
 Wzrostem od powieści
 Do zawieszonych powieści
 Pod okropnym niezachwianym
 Błędem się z ciekawym życiem
 Między słabością i losem
 Przeszło dla niego technost
 Ciwilo co wiesz z nim ugięty
 Jest boleścią i kryzysem
 Przeszło tylko jest zachwianym
 N przyszedł się sam pisać
 I bez nim xroni przyszedł słoty
 Koczny życie w ród boleści

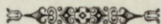
DUMANIE.

☉ jak nieszczęśliwy człowiek
Bezustanku od powicia
Do zawarcia swoich powiek,
Pod okropnym nieszczęść ciosem,
Błąka się z ciężarem życia,
Między słabością i losem.
Przeszłość dla niego tęsknotą,
Chwila co wraz z nim upływa
Jest boleścią i zgryzotą,
Przyszłość tylko jest szczęśliwą;
Z przyszłością się samą pieści,
Lecz nim zgoni przyszłość złotą
Kończy życie wśród boleści.

Czasem słodycz się nawinie,
Słodycz jak ta róża biedna,
Co wśród grobów się rozwinie,
Na cmentarzu—sama jedna!

O ty straszny gromów biciem
Do którego się podnosze,
Coś mię skarał moim życiem,
Nim się nieszczęścia podwoją,
Ach powróć moje rokosze,
I oddaj mi nicość moją.

A. S.



Całun, choćby się rozwiał,
Słójce jak w tębie białej,
On wódz przelotny się rozwiał,
Za ciemnością — i tam jedni!

O ty straszny, gromow biczem,
Ile białego się podoba,
Cóż nie stałiś w moim życiu,
Kim się nie okazałiś podwójnie,
Ach, powróć mi, powróć,
I oddaj mi mój mój!

WIEŚNIACZKA

12

WIEŚNIACZKA

Wieloletni wędrowniacy są
Wieloletni wędrowniacy są
Wieloletni wędrowniacy są
Wieloletni wędrowniacy są
Wieloletni wędrowniacy są
Wieloletni wędrowniacy są
Wieloletni wędrowniacy są
Wieloletni wędrowniacy są
Wieloletni wędrowniacy są
Wieloletni wędrowniacy są

13

LEGENDA
O KOŚCIELE KATEDRALNYM
W KOLONII.

PRZEZ

KAROLA KORWELLA.

LEGENDA

O KOŚCIELE KATEDRALNYM

W KOLONIE

WYDAŁ

KAROLA KORWIECZA

LEGENDA
OKOŚCIELE KATEDRALNYM
W KOLONII.

Wspaniały pomnik architektury gotyckiej wieków średnich, kościół katedralny w Kolonii, lubo niedokończony, obudzał podziwienie i uwielbienie powszechne. W roku 1842 Najjaśniejszy Król Pruski Fryderyk Wilhelm IV, postanowił przyprowadzić do końca budowę tego przepysznego gmachu, szczerą ręką wyznaczwszy na ten przedmiot znaczne summy. Tak po kilku wiekach zaniedbania, dokonaniem będzie to wielkie dzieło. Dziś przeto, kiedy uwaga powsze-

chna zwrócona jest na nie, spodziewamy się okazać
czytelnikom naszym przysługę, podając piękną Le-
gendę o kościele katedralnym w Kolonii, wyjętą z Wy-
cieczek nad brzegi Renu, jednego z celniejszych spół-
czesnych pisarzy francuzkich Alexandra Dumas, któ-
rego twory wysoką wziętość w całej Europie po-
zyskały.

Wspaniały pomnik architektury gotyckiej wieków
średnich, kościół katedralny w Kolonii, lubo nie-
kolejony, obudził podziwianie i uwielbienie poraz-
czne. W roku 1812 Najjaśniejszy Król Pruski Fryde-
ryk Wilhelm IV, postanowił przynosić do koń-
ca budowy tego przepięknego gmachu, ktorzyby
wymagaliby na ten przedmiot znaczne sumy. Tak
po kilku wiekach zaniedbania, dokonano wreszcie
wielkie dzieło. Dni przeto, kiedy naga powst-

I.

Engelberg Arcybiskup, przewany Świętym, pierwszą powziął myśl, około roku 1225, wzniesienia katedralnego kościoła w Kolonii; lecz dopiero następca jego Konrad Hochsteden, zamierzwszy około 1247 roku przyprowadzić tę myśl do skutku, wezwał najpierwszego budowniczego miasta i rozkazał mu dźwignąć pomnik, któryby w architekturze kościelnej przewyższył wszystko, cokolwiek najpiękniejszego dotychczas znajdowało się. Dla dopięcia celu tego, oddawał mu do wolnego szafunku skarbiec kapituły, jedną z najbogatszych na całym świecie, i kopalnie marmurów w Drachenfels, najwyższej z siedmiu gór.

Było to oświadczenie takiego rodzaju, jakie zmysły prawie odbiera artyście; ten więc którego wezwał czcigodny pasterz, wyszedł z pałacu arcybiskupiego, powątpiewając jeszcze czyli istotnie dano mu polecenie tak chlubne: wszelako uwierzyć musiał, gdyż tego samego dnia Konrad nadesłał mu trzos pełen złota na opędzenie pierwszych wydatków.

Architekt do którego się udał szczodry pasterz, był skromny jak człowiek genialny; przedsięwziął zatem zwiedzić najpiękniejsze kościoły Niemiec, Francji i Anglii, wprzód nimby rozpoczął budowę w Kolonii. Poszedł przeto do arcybiskupa i prosił o zezwolenie na podróż. Konrad udzielił pozwolenie lecz pod warunkiem, iżby architekt powrócił po upływie roku. Artysta błagał, ale nadaremno, o kilka miesięcy więcej; rok tylko mógł otrzymać, tak gorąco bowiem pragnął Arcybiskup przyprowadzić swój zamiar do skutku.

Po upłynionym roku powrócił architekt mniej pewny siebie niżeli kiedy odjeżdżał. Nie wahał się bynajmniej w mistycznym pomysle swojego dzieła: to jest postanowił że kościół mieć będzie dwie wieże, dla przypomnienia iż chrześcjanin obie ręce wznosić powinien ku niebu; że mieć będzie dwanaście kaplic na pamiątkę dwunastu apostołów; że zbudowany będzie w kształcie krzyża, ażeby wierni nie zapominali ani przez chwilę o znaku swego odkupienia; że chór ma być nieco więcej pochylony ku stronie prawej niżeli ku lewej, gdyż Jezus Chrystus umierając, skłonił głowę swoją na prawe ramię; wreście że oś-

tarz wielki oświecać mają trzy okna, ponieważ Bóg jest we trzech osobach, a wszelkie światło od Boga pochodzi. Lecz to wszystko było, iż tak rzekę, duszą owego pomnika; zostawało jeszcze ciało jego, kształt zewnętrzny, to jest widzialne przetłumaczenie owej myśli religijnej, tak potężnej w wiekach średnich, która życie nadawała granitowi: formy tej właśnie szukał architekt z rana, wieczorem, w każdej godzinie dnia i wszędzie, gdziekolwiek się znajdował.

Raz po południu, kiedy ciągle rozmyślając nad swoim planem, niepostrzegłszy się wyszedł za mury miasta i przybył w miejsce przechadzki zwane bramą Franków, usiadł na ławce, i laseczką kreślić zaczął na piasku facyaty i profile gmachu katedralnego, zacierając wszystkie wprzód niżeli je ukończył, bo wszystkie wydawały mu się niedoskonałemi i miernemi, obok wspaniałego pomnika jaki aniołowie budowali w jego wyobraźni; nareście, po wielokrotnych próbach, udało mu się dojść do pewnej całości, pełnej wielkości i majestatu, na którą już spoglądał z niejaką radością, gdy usłyszał po za sobą następne słowa ostrym wyrzeczone głosem:

—Brawo! przyjacielu, wybornieś oddał katedrę Sztrasburską.

Architekt obrócił się i ujrzał stojącego za sobą, z głową niemal opartą na jego ramieniu, małego staruszka ze spiczastą brodą, z zapadłemi a iskrzącemi się oczyma, z uśmiechem szyderskim na ustach. Ubrany był w czarny kaftan, który tak mu przylegał do ciała, że możnaby mniemać iż uszyto go ze skóry, wy-

chudlejszego jeszcze niżeli on murzyna. Stawiać się w podobnej postaci niemógł staruszek obudzić w architekcie żywej sympatii: ale ponieważ postrzeżenie jego było trafne, i gdy artysta przekonał się, iż mniemając że tworzy nowe dzieło, powtarzał tylko to co utkwilo w jego pamięci, nie broniąc przeto swego utworu, odpowiedział z westchnieniem: Prawda. Potem zatarł na piasku rysunek i zaczął nowy. Lecz zaledwie laseczka skreśliła na ruchomej tablicy pierwsze linije innej budowy, tenże głos wrzaskliwy, przy tymże samym szyderskim uśmiechu, zawołał:

—Przewybornie! właśnie to jest katedra w Rheims.

—Tak, tak—rzekł z cicha artysta—i lepiejbym uczynił gdybym tu pozostał i nic niewidział, bo niemasz prawdziwego twórcy, jedno Bóg.

—I szatan—pomruknął staruszek głosem takim, iż artysta zdrzął cały.

Ale ponieważ jedna i wiekuista myśl go zaprzętała, zatarł znowu nieszczęśliwe linie, niezwracając uwagi na metaliczne brzmienie owego głosu, i wziął się znowu do pracy. Tak się zajmował przez kwadrans, zachęcany mile przez sąsiada, który mu szeptał do ucha: Dobrze, bardzo dobrze, wybornie! w tém nagle go zapytał:

—Musiałeś, jak widać, wiele podróżować?

—A to czemu?

—Bo przebiegłszy Alzacyą i zwiedziwszy Francją, powróciłeś przez Anglią.

—Któż ci to powiedział?

—Rysunek tego kościoła, to jest katedry w Kantorbery.

Artysta wydał głęboki jęk. Krytyka małego staruszka była okropna, ale sprawiedliwa. Zatarł więc nogą rysunek; potem, w zapędzie niecierpliwości, obrócił się do staruszka, i podając mu laseczkę, rzekł:

—Hola, mój mistrzu, ty który jesteś tak dobrym krytykiem, czy niemógłbyś połączyć przykład z teorią i okazać z kolei co sam umiesz?

—Chętnie, — odpowiedział staruszek z ustawicznym uśmiechem, biorąc do rąk laseczkę.

Architekt chciał mu ustąpić swego miejsca, lecz on, skinieniem głowy oświadczywszy iż nie trzeba, oparł się jedną ręką o ramię artysty, a drugą, bez podpory trzymając w powietrzu, kreślić zaczął na piasku nowe rysy, tak śmiało, a zarazem tak wytworne i poprawne, że artysta zawołał:

—Ach! widzę dobrze, że jesteście bracia.

—Powiedz raczej, — odrzekł urągliwie staruszek — że jesteś uczniem, a ja mistrzem jestem.

—Gotowem to przyznać — odpowiedział artysta z dobrą wiarą prawdziwego geniuszu; — lecz trzeba abym wprzód widział coś więcej niżeli pojedyncze linie. Szczegóły są niczem, ogół wszystko stanowi.

—Dobryś, możnaby z ciebie co uczynić — rzekł staruszek; — lecz mi się niechce więcej zrobić.

—Dla czego? zapytał architekt.

--Bo przyswoiłbyś mój plan.

—Masz więc także budować kościół katedralny?

— Spodziewam się.

— A gdzie?

— W Kolonii.

— Jak to? mój kościół?

— Twój?

— Mój, bezwątpienia.

— Tak, jeżeli przygotujesz plan?

— Przygotuję.

— I ja także: Konrad Arcybiskup wybierze jeden z dwóch.

Architekt zbladł.

— Ach! ach! — zawołał nieznajomy urągając się, — to cię w kłopot wprawia, kolego; lękasz się aby ci niekazano zwrócić trzos złota, dany przez arcybiskupa, a które wyjąwszy sto talarów, rozszafowałeś na niepożyteczną podróż po Francji i Anglii!

Architekt spójrzył wkoło siebie, widział że wieczór nadchodzi, i że jest sam na sam ze staruszkiem.

— Słuchaj — rzekł — niewiem zkąd się dowiedziałeś że mi pozostało jeszcze sto talarów z zadatku jasnie oświeconego Konrada; lecz dokończ rysunku któryś zaczął, a te sto talarów będą twoje.

Staruszek parsknął od śmiechu, i dobywając z kaptana skórzaną sakiewkę, rozwiązał i pokazał artyście że pełna była dyamentów, z których najmniejszy miał wartość przynajmniej tysiąca talarów w złocie.

Architekt westchnął głęboko, widział bowiem że niemasz sposobu przekupienia tego człowieka; stał więc osłupiały i przerażony, mimowolnie bowiem uznawał wyższość w nieznajomym architekcie, dziwną

i niezaprzeczoną wyższość pod względem sztuki. Tymczasem staruszek przydał niedbale do zaczętego planu kilka nowych linii tak przecudnie śmiałych, że architekt przekonał się iż zginie, jeśli mu przyjdzie walczyć z podobnym człowiekiem. Wtedy w uniesieniu szaleństwa, postanowił gwałtem wydrzeć to czego pozyskać niemógł pieniędzmi, i gdy staruszek zatrzymał się znowu i poglądał nań z swoim drwiącym uśmiechem, architekt porwał go za ramię, i przykładając mu sztylet do piersi, zawołał:

— Starcze! dokończ planu, albo umrzesz!

Zaledwie wyrzekł te słowa, a wnet pochwycony wpół, rzucony na wznak, przyciśnięty kolanem na piersiach, ujrzał własny sztylet wymierzony ku gardłu swemu,

— Ach! ach! — rzekł wtedy staruszek urągając się — przekupca i morderca! dobrze, dobrze; jest przecie jak widzę obfite żniwo dusz na tym świecie.

— Zabij mnie — zawołał artysta — ale się nieurągaj.

— A kiedy ja cię zabić niechcę?

— Oddaj mi tedy swój plan.

— Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

— A jakim?

— Wstań naprzód — rzekł staruszek, puszczając swego nieprzyjaciela, którego dotąd przygniatał i oddając mu sztylet; — tak rozmawiać niewygodnie, usiądźmy.

I dziwny staruszek usiadł na końcu ławki, założywszy nogę na nogę, ręce złożone wsparłszy na kolanie, patrzył na biednego architekta, który zawsty-

dzony wstawał, i otrząsając kurz z odzieży nieruszał się z miejsca.

— Zbliź się tu— rzekł starzec;— widzisz że nie pamiętam urazy.

— Ale któż jesteś?— zawołał architekt.

— Kto jestem? dobrze więc, powiem.

Artysta postąpił o krok jeden naprzód, ciekawość bowiem przemagała nad trwogą.

— Słyszałeś— rzekł staruszek— o wieży Babilońskiej, o ogrodach Semiramidy, o Kolizeum?

— Słyszałem— odpowiedział architekt, siadając obok niego.

— Nuże: ja to je budowałem.

— Jesteś więc szatanem?— krzyknął biedny artysta porwawszy się z miejsca.

— Do usług twoich— rzekł szatan z swoim wiekui-
stym naigrzaniem.

— *Vade retro!* zawołał architekt przeżegnawszy się.

Śmiech zaczęty skończył się na zgrzytnięciu zębów; błyskawica błysnęła, ziemia się rozstała, i zły duch zniknął.

II.

Architekt powrócił do domu i zastał biedną swoją podeszłą matkę, czekającą nań z wieczerzą. Ale niechciał siadać do stołu, a wzięwszy ołówek i papier, zaczął, nie odpowiadając na nalegania matki,

probować czyli się nie uda zatrzymać na papierze o-
we przelotne rysy, które się tworzyły pod laseczką
szatana.

Dobra niewiasta płacząc udała się na spoczynek;
od czasu powrotu z podróży, niepoznawała swego sy-
na, tak bardzo był niespokojny i zafrasowany, a ta
niespokojność i frasunek nader zmieniły jego wzglę-
dem niej postępowanie.

Architekt przepędził noc całą na kreśleniu rysunku
i zmyzywaniu. W tym planie tajemniczym, którego czę-
stkę tylko dojrzał, znajdował się charakter fantastycz-
nej śmiałości, jakiego on osiągnąć nie zdołał. We
dnie, zmęczony rzucił się na łożę; ale sen, zamiast
przyniesienia odpoczynku, nową dla niego był ka-
tuszą. Obudził się na powrót obłąkany, i biegł do
kościółka świętego Gereona, do którego szczególnie
miał nabożeństwo.

Przyszedłszy zatrzymał się przed facyatą gmachu.
Była to mała i ciężka bazylika romańska z jedynastego
wieku, wzniesiona przez Arcybiskupa Annona na miej-
scu dawnego kościoła świętej Heleny, podobniejsza
raczej do grobowca niżeli do świątyni. W ówczas nie
mógł nie pomyśleć o różnicy jaka zachodziła pomię-
dzy wysmukłymi wieżami i wieżyczkami, śmiałą ko-
lumnadą, które się tworzyły pod czarodziejską lasecz-
ką szatana, a mięszką budową bizantyńską, którą miał
przed oczyma. Zapomniał więc zupełnie że chciał
modlić się, i szedł prosto niewiedząc dokąd dąży, po-
grążony w jedyną nieodstępną myśl swoje.

Tak błąkał się dzień cały; wieczorem, nieprzypominając którymi szedł drogami, ani też mogąc zdać sobie sprawy jakim sposobem tam się znalazł, ujrzał się za bramą Franków, blisko ławki na której siedział wczora. Noc już zapadła; nikogo niebyło na przechadzce, jeden tylko człowiek, podobnie jak on znajdował się za murami miasta. Był to staruszek mały. Za pierwszym rzutem oka poznał go artysta i zbliżył się do niego.

Stał on u wału, i laseczką stalową rysował na murze. Każdy pociąg był linią ognistą, która gasła powoli, tak iż w miarę jak się posuwał plan wspaniałą część najdawniej zaczęta niknęła i gasła, niepodobna więc było oku uważnie postępować za nowymi liniami, ani też pamięci zatrzymać dawniejsze. Architekt ujrzał tym sposobem rozwijający się przed sobą w najdrobniejszych szczegółach fosforyczny kościół katedralny, który po chwili niknął wśród ciemności, a niepodobna było utkwić w pamięci ogółu.

Westchnął przeto głęboko.

— Ach! ach! to ty jesteś— rzekł szatan obracając się— czekałem na ciebie.

— Jestem— odpowiedział architekt.

— Wiedziałem, żeśmy się z sobą niepokłócili. Patrz, przerobiłem nieco plan. Co mówisz o tej facyacie?

I wodząc znowu laseczką po murze, skreślił potrójną bramę katedry ognistój.

— Prześliczna! zawołał architekt, nietając nawet swego uniesienia.

— A o tej wieży? mówił dalej szatan rysując.

- Najwspanialsza!
- A o tej nawie?
- Przecudowna!
- Ha więc! twoje to wszystko, jeżeli zechcesz.
- I czego żądasz w zamianę?
- Twego podpisu.
- I oddasz mi swój plan?
- Na wieczną własność.
- Uczynię wszystko czego żądasz.
- Jutro więc, o północy.
- Jutro, o północy.

Szatan zniknął tak iż niewiadomo było w którą udał się stronę, a architekt powrócił do miasta.

Matka czekała go podobnie jak wczora, sama nie także nie jadła. Architekt siadł do stołu, co z razu uspokoiło nieco biedną kobietę; ale postrzegła wkrótce że syn posłusznym był jedynie potrzebie fizycznej, umysł zaś jego daleko błąkał się od ciała, i żadnego niebrał udziału w tém co drugie czyniło.

Co raz głębiej pogrążony w myślach, architekt wstał od stołu i udał się do swojej komnaty; matka nie śmiała iść za nim, ale usiadła na progu, ażeby znajdować się blisko syna, jeśliby on czego potrzebował.

Przez czas niejaki słyszała jak wzdychał i modlił się; lecz że w tém nic niebyło strasznego, niewchodziła do syna. Potém układał się na spoczynek. Długi czas niespokojnie przewracał się na łożu; potem nastąpiła chwila cichości, a po niej jęki i wzdychania. Nareszcie zdało się jej jakoby kłócono się w komnacie, słychać było hałas walki i krzyki przytłumione.

Zdawało się jej że syn woła o ratunek. Weszła wtedy mniemając iż się passuje ze zbójcą. Był sam jeden i tylko przez sen krzyczał z całej siły: Nie, nie, szatanie! nie będziesz miał duszy mojej!

Na to straszne imię biedna matka uczyniła znak świętego krzyża na czole śpiącego, co go nieco uspokoiło; potem ukląkłszy u łoża modliła się przed pięknym o żywych kolorach obrazem Matki Boskiej, który darował jej synowi pielgrzym przybyły z Konstantynopola. Im dłużej się modliła, tym sen architekta stawał się spokojniejszy; a gdy skończyła, oddech jego był czysty i cichy jak dziecięcia.

Nazajutrz wstał spokojny, i usiadłszy u okna dla odetchnięcia świeżem powietrzem, ujrzał wychodzącą matkę w żałobie; postrzegła go i zbliżyła się ku niemu.

—Dokąd wychodzicie tak rano, matko? zapytał—i czemuś ubrana w żałobę?

—Dziś bowiem rocznica śmierci twego ojca, idę do kościoła świętego Gereona dać na mszę świętą za dusze w czyscu będące.

—Biada! biada!—rzekł ścicha architekt—niemasz ani mszy ani modlitwy, któreby wydobyć mogły duszę moję z przepaści, w jaką ona będzie wtrącona.

—Nie zechcesz—li pójdziesz ze mną? zapytała dobra niewiasta.

—Nie, matko; lecz jeżeli spotkacie starego ojca Klemensa, proście go żeby mię odwiedził; święty to mąż, chciałbym zasięgnąć jego rady względem sumienia, które mię czyi niespokojnym.

— Niech cię Bóg wspiera w dobrém przedsięwzięciu, synu mój; bo, albo się bardzo myślę, albo wróg człowieka krąży około ciebie.

— Idźcie matko, rzekł architekt.

Odeszła dobra niewiasta, artysta zamyślony siedział u okna. Po chwili ujrzał starego ojca Klemensa, idącego ku jego domowi. Zamknął więc okno i czekał.

Wszedł stary zakonnik; był to, jak powiedział architekt, nie tylko święty mąż, ale mąż uczony który wydarł ze szponów czarta wielką liczbę dusz bliskich zatracenia. Lecz ponieważ żył w ustawicznym stanie niewinności i czystości, jakkolwiek niezmysłoną miał chęć szatan odpłacenia się za złe które mu on czynił, zawsze to było niepodobieństwem; i jakkolwiek gwałtowne były zapasy które Klemens wytrzymać musiał ze złym duchem, zawsze wychodził zwycięzcą: tak dalece iż szatan zbyt często opaliwszy swe szpony o świętego męża, od dawnego już czasu dał mu pokój, i dopuszczał mu spokojnie zasługiwać na raj.

Dla tego też był on tak biegłym w sprawach podobnego rodzaju, iż za ledwie rzucił okiem na architekta, widząc rysy jego twarzy znużone i wynędzniałe, z oblicza poznał stan duszy i zawołał:

— Synu mój! złe cię myśli osiadły.

— Tak, tak — rzekł architekt — tak, bardzo złe myśli, ojcze mój; dla tego cię zaprosił abyś mi dopomógł je walczyć.

— Opowiedz mi wszystko, mój synu, — rzekł zakonnik siadając.

— Wiecie ojcze że dostojny Arcybiskup Konrad polecił mi budowę kościoła katedralnego.

— Wiem o tém, i niemógł on znaleźć godniejszego nad ciebie architekta.

— Owoż co was omyła, ojcze — odpowiedział architekt, zniżając głos jakby zawstydzony upokarzającym wyznaniem do którego, zmuszała go prawda; — układałem plany na plany i może znajdowały się między nimi niektóre godne miast drugiego rzędu, jakimi są Wormacya, Dusseldorf lub Koblenc; ale ten kto przygotował plan godny naszego miasta Kolonii — mówił dalej architekt z westchnieniem — jest kto inny, nie ja, mój ojcze.

— Ach! ach! — zawołał ojciec Klemens — czyliż niema sposobu opłacenia go złotem?

— Dawałem mu wszystko co mam, a on odpowiedział pokazując mi sakiewkę pełną dyamentów.

— A czy niema sposobu odebrać mu go gwałtem? rzekł zakonnik, który pragnąc aby Kolonia stała się królową Renu, uniósł się mimowolnie za granice miłości chrześcijańskiej.

— Chciałem mu go wydrzeć siłą, mój ojcze; ale zgniótł mię jak dziecię, i własny moj sztylet do piersi mych przyłożył.

— A zatem ustąpić go niechce pod żadnym warunkiem?

— Pod jednym tylko, ojcze.

— A jakim?

— Abym mu oddał duszę moję.

— Ależ tym drugim architektem musi być szatan ?

— Tak jest, szatan.

— I mówisz — rzekł zakonnik nieokazując trwogi na straszne imię powtórzone przez artystę, — że ten kościół uczyniłby Kolonią cudem Niemiec ?

— Uczyniłby ją królową świata całego, mój ojczu.

— Jezu! — zawołał mąż święty składając ręce i podnosząc oczy ku niebu. A potem obracając się do architekta, zapytał:

— Czy bardzo dbasz o duszę swoją ?

Architekt spojrział na zakonnika bez zadziwienia, rozumiał bowiem, sam będąc gotowym do sprzedania wieczności, ile wieczność drugiego małej być musi wagi w oczach człowieka, który widzi, iż za cenę tej wieczności jego miasto stałoby się najpiękniejszym na świecie.

— Ojczu mój — rzekł — bez wątpienia dbam o duszę moją, jako o dar który pochodzi od Boga i który chciałbym powrócić Bogu; gotów atoli jestem poświęcić ją na ofiarę, jeżeli ta ofiara uczyni mię pierwszym architektem na całym świecie.

— Wolałbym — rzekł zakonnik — iżbyś tę ofiarę złożył Bogu nie zaś sobie samemu. Lecz, jakażkolwiek bądź skłania cię do tego pobudka, ponieważ religia korzyść ma ztąd odnieść, przyjdę ci w pomoc. Strzeż się wszakże najbardziej pychy, bo pycha cię zgubi.

— A więc — zawołał architekt — mógłbym mieć planie idąc na potępienie ?

— Może.

—Jakim sposobem, mój ojcze? mówcie co prędzej
—Probowałeś przekupstwa i gwałtu; zostaje ci jeszcze chytrość.

—Chytrość, mój ojcze? Czyliżście zapomnieli że Pismo święte nazywa szatana chytrym?

—Ach! ach! jakkolwiek jest on przebiegłym—rzekł zakonnik—nie pierwszyć to raz iż przy pomocy Bożej, biedny zakonnik weźmie nad nim górę. Święty Antoni, który przez całe życie miał sprawę z nim czyliż w końcu nie tryumfował? Czyliż święty Barnaba nie ścisnął mu nosa rozpalonemi szczypcami? Wreszcie, magistrat miasta Akwisgranu czyliż nie dał mu duszy wilka zamiast duszy człowieczej?

—Prawda—odpowiedział architekt.

—Dobrze więc—mówił dalej zakonnik—idź, wyspowiadaj się i przyjmij kommunię w kościele Świętego Gereona, a kiedy będziesz w stanie łaski, powiem ci co masz czynić.

Architekt poszedł za ojcem Klemensem, spowiadał się i komunikował. A potem, gdy już przyjął był ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa, zakonnik zaprowadziwszy go do swój celi, dał mu relikwią, której świętość i moc okazały się przez liczne doświadczenia, jakie z nią czynił.

—Bierz, synu mój—rzekł—bierz tę relikwią, i dziś wieczorem, kiedy szatan pokazywać ci będzie plan piekielny, weź go jedną ręką jakbyś chciał lepiej mu się przypatrzeć, gdy tymczasem on drugą trzymać go będzie; wtedy dotknij mu ręki tą relikwią, a jakkolwiek wielką miałby chęć zatrzymania planu, rę-

czę ci że puści. Nie trwóż się w ówczas niczém, będzie wył, będzie groził, rzucał się na wszystkie strony w koło ciebie, śmiało staw mu przed oczy relikwią i niczego się nie lękaj. Bóg jest mocniejszym niżeli szatan, i szatan pierwszy się zmorduje.

—Ale, mój ojcie—rzekł architekt—kiedy już mieć nie będę relikwii, może szatan powróci i kark mi skręci?

—Nie, dopóki będziesz w stanie łaski; lecz strzeż się grzechu śmiertelnego.

—A więc—zawołał architekt—jużem zbawiony, mój ojcie; bo nie jestem ani obżarty, ani zazdrośny, ani łakomy, ani leniwy, ani gniewliwy, ani nieczysty.

—Zapomniałeś pychy, synu mój; strzeż się pychy: ona zgubiła najpiękniejszego z aniołów, ona i ciebie zgubić może.

—Będę czuwał nad sobą—odpowiedział architekt, —z resztą udam się do ciebie po radę, mój ojcie.

—Niech cię Bóg prowadzi, dziecię moje—mówił sicha starzec dając mu błogosławieństwo.

—Amen — rzekł architekt i powrócił do siebie; a resztę dnia przepędził na modlitwie.

O umówionej godzinie udał się na miejsce wskazane przez złego ducha, ale pusto wszędzie, nikogo nie było, ani starca, ani dziecięcia, ani żywej duszy. Artysta przechadzał się czas niejaki samotnie, lękając się iż czart niedotrzyma słowa. Wtém północ wybiła. Z ostatnim dźwiękiem dzwonu, ozwał się pełny i mocny głos za architektem: — Owoż jestem!

Artysta zadrżał obracając się, niepoznawał bowiem

głosu, z którym się był oswoił. W istocie, nietylko szatan zmienił głos, ale i postać. Nie był to już staruszek z iskrzącymi się oczyma, z brodą spiczastą, w czarnym kaftanie; ale piękny młodzieniec od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, kształtnej postawy, dumnego oblicza, czoła szerokiego i bladego, na którym znajdowały się jeszcze ślady grotów niebieskiego ognia. Trzymał w jednym ręku plan, a w drugim umowę. Artysta cofnął się wstecz, tak go olśniła piękność piekielna.

—Ach! teraz cię poznaję—rzekł—i niemasz potrzeby powiedzieć mi swe nazwisko: ty jesteś czartem pychy.

—Dobrze więc—zawołał szatan—widzisz żem cię nieoszukał; czy gotów jesteś?

—Tak jest—odpowiedział architekt;—ale wprzód nim podpiszę, pokaż mi plan. Płacąc tak drogo powinienem wprzód widzieć co kupuję.

—Słusznie—rzekł szatan;—patrz.

I rozwijając plan pokazywał go, ale nie puszczał z ręki.

Architekt uczynił wtedy tak, jak mu Klemens kazał postąpić. Pod pozorem, że chce przypatrzeć się zbliska, wziął pargamin za sam koniec dolny, gdy tymczasem szatan trzymał go u góry, i kiedy przy blasku księżyca pozerzał plan oczyma, przemknął drugą rękę pod spód, i relikwią świętą dotknął ręki diabła, w której ten trzymał plan kościoła.

Szatan oparzony aż do kości, z wielkim krzykiem poskoczył wstecz, zostawując szacowny rysunek w ręku architekta.

—W imię Ojca i Syna i Ducha świętego—zawołał artysta, czyniąc znak krzyża relikwią—odejdz precz szatanie!

Ten wydał ryk okropny.

—Książd ci to poradził; kościelnać to zdrada, nowy to koncept nikczemnego tego mnicha.

—W imię Ojca i Syna i Ducha świętego—mówił architekt ciągle powtarzając znamię krzyża.

—Poczekaj, poczekaj—rzekł zły duch—jeszcze nie koniec wszystkiemu.

W teje chwili ujrzał architekt przed sobą ogromnego lwa, który bił ogonem swe boki, a z roztwartą paszczą i zębami wyszczerzonymi, zbliżał się aby go pozrzeć.

Ale artysta nie uląkł się lwa; nadaremno wściekłe zwierzę jeżyło swoją grzywę i skakało wkoło niego, ten mu ciągle pokazywał relikwią, tak iż odpychany ustawicznie lew cofać się zaczął. Architekt korzystając z tej chwili uczynił znak krzyża. Potwór wypuścił ryk okropny i zniknął.

W tej chwili usłyszał architekt wielki łoskot skrzydeł nad swoją głową. Ogromny orzeł spuszczał się nań z wysokości nieba, a długością rozpostartych skrzydeł zasłaniał księżyc; ale niewątpił artysta iż to zły duch uderza nań pod nową postacią, a jedną ręką przyciskając do piersi plan, drugą świecił królowi ptaków relikwią.

Wtenczas działo się toż samo z orłem co i ze lwem. Polatawszy w około architekta, sprobowałszy zabić go skrzydłami, porwać w swe szpony, pokaleczyć

dziobem, szatan zrozumiał iż na nic się nic przyda ta nowa postać. Olbrzymi ptak wydał krzyk i zniknął.

Architekt mniemał że już skończył sprawę ze swoim wrogiem, gdy w tém ujrzał jakąś masę poruszającą się wśród ciemności. Wąż nadzwyczajnej wielkości toczył tysiączne swe pierścienie i sycząc posuwał się ku niemu; potrzykroć wspinał się wokoło architekta, zamykając go troistym kołem łuskowatego cielska, a podnosząc drgającą głowę, ognistemi oczyma wypatrywał miejsca gdzieby utkwic pałające żądło, które mu wychodziło z paszczy; ale poprzednie natarcia oswoiły artystę z tą fantastyczną walką, a talizman święty, co go zachował od lwa i orła, ocalił teraz przed zjadłością węża, który przeraźliwie syknąwszy, zniknął.

Wtedy szatan stanął znowu przed architektem w pierwszej swojej postaci.

—Dobrze więc—zawołał—jestem zwyciężony, a ty tryumfujesz, dzięki twojemu Bogu, twoim kapłanom i twoim zakonnikom. Ale kościół który mi skradłeś skończonym nie będzie, a imię twoje, które pragniesz uczynić nieśmiertelném, pójdzie w niepamięć i zapomnienie. Bywaj zdrów, strzeż się abym cię niezaskoczył w grzechu śmiertelnym.

To rzekłszy szatan, rzucił się z miejsca na którym stał aż ku samemu Renowi, i zniknął w nurtach jego z piskliwym szelestem, jaki wydałoby rozpalone do czerwoności żelazo.

Uradowany architekt powrócił do domu, gdzie nań czekali matka i ojciec Klemens. Opowiedział wszyst-

ko jak się stało. Biedna niewiasta płakała i żegnała się; dobry zakonnik ręce zacierał i przyklaskiwał swemu podstępowi. Artysta powtórzył mu ostatnie słowa szatana.

—Dobrze więc!—rzekł zakonnik—czart jest poczciwszy niżelim się spodziewał, bo cię ostrzegł zawczasu; teraz do ciebie należy czuwać nad sobą, i odpychać od siebie wszelki grzech śmiertelny. Po raz ostatni mówię ci, strzeż się pychy.

Artysta przyrzekł iż pilnie czuwać będzie nad sobą, a zakonnik wyszedł z powrotem do klasztoru, zostawując go jako najszczęśliwszego na całym świecie. Matka odeszła także, w połowie rozumiejąc tylko co zaszło, ale szczęśliwa, bo syn jej był szczęśliwym.

Pozostawszy sam jeden artysta, nie opuszczając planu, którego omal co własną duszą nieprzyplcił, ukląkł i długo się modlił, dziękując Bogu za wsparcie jakie ten mu zesłał; potem udał się na spoczynek położywszy plan pod poduszkę i zasnął, a we śnie widział swój kościół katedralny.

Nazajutrz z samego rana poszedł do Arcybiskupa, który zaczął się niecierpliwie zbytnią jego powolnością, i pokazał mu plan. Konrad oświadczył że nic zgoła niestracił na przydłuższém czekaniu, i otwierając skarby kapituły, dozwolił artyście czerpać z nich pełną dłoń.

Tegoż dnia architekt założył fundamenta katedry, a że od dawnego już czasu mnustwo robotników dobywało marmury u łona góry Drachenfels, niebrakło przeto materiału; ujrzano zatem wkrótce podno-

szącą się z głębi ziemi ogromną vegetacyę kamienia, jakby chciały szybkiego rozwinięcia się przed blaskiem słońca.

III.

Trzy miesiące już upłynęły, z każdym tygodniem gmach posuwał się coraz wyżej, gdy jednego piątku architekt, zagłębiając się w swą pracę, aż do samego wieczora nic nie jadł, i powracał do domu wygłodniały. W tym spotkał burmistrza, znanego ze swych wyborczych biesiad. Szedł on właśnie od architekta, którego chciał prosić na wieczerzę wraz z dwoma burmistrzami Mogunckim i Akwizgrańskim, sławnymi z wesołości spółbiesiadnikami; a niezastawszy go udawał się w te strony, gdzie zawsze można go było znaleźć. Architekt wymawiał się tym iż matka uprzedzoną nie jest; ale burmistrz i słuchać niechciał, powiadając iż sam z nią mówił o tem, tak iż lubo najmocniej się bronił przymuszony był wreszcie architekt iść z burmistrzem. Ten go wprowadził do jadalnej sali, w środku której wznosił się stół zastawiony najwyborniejszymi potrawami, drobiem i zwierzyną.

Architekt, jakeśmy powiedzieli, umierał z głodu; ujrzawszy przeto tak wspaniałą wieczerzę wieszować zaczął sobie że poszedł z burmistrzem; lecz siadając do stołu, przypomniał że dziś właśnie piątek, święty dzień postu, w którym mniej wolno niż w każdy dzień

inny oddawać się grzechowi obżarstwa. Zmówiwszy przeto modlitwę, nic innego brać niechciał, jedno kawałek chleba i szklanę wody, usuwając od siebie najwyborniejsze pieczyste i doskonałe wina;—bo jak sam powiedział, niebył obżartym.

Trzej zaś burmistrze, pozywali wszystkie te mięsiwa, niebojąc się Boga ani czarta, żartując przez całą biesiadę ze skromnej wieczerzy biednego architekta.

Nazajutrz architekt wziął się znowu do swój pracy, a że niezbywało ani na pieniądzach, ani na ludziach, z każdym dniem kościół katedralny podnosił się coraz wyżej. Od czasu do czasu artysta rozmyślał o pogroźkach złego ducha; lecz za każdą razą gdy o tém myślał, w bojaźni czerpał nowe siły do oporu pokusom, a że budowa katedry postępowała zwykłym trybem, spodziewał się więc że się nie spełnią piekielne przepowiednie.

Około tegoż czasu, Innocenty IV. Papież, rodem Genuńczyk, chciał wystawić w Rzymie pałac jednemu ze swych synowców, a że miasto Kolonia słynęło z biegłości budowniczych swoich, prosił zatem Konrada Arcybiskupa o architekta. Konrad zalecił Ojcu Świętemu bardzo biegłego człowieka, któremu zamyslał był razą jednego powierzyć budowę katedry, a uczynił to w mniemaniu, iż sprawi przez to wielką przykrość architektowi kościoła, z którym przed kilku dniami miał lekką sprzeczkę; lecz ten całkiem oddany swój pracy, wieszował sobie iż wybór niepadł na niego, odjeżdżającego spóźnionego uściskał, życząc

mu szczęśliwej podróży; bo, — jak sam powiedział, zgoła nie był zażdrośnym.

Katedra zyskiwała na tej pogodzie jego umysłu. Artysta żył jedynie dla swego gmachu; wszystek jego czas upływał pośród kamieni, sam zajmował się rzeźbą tych części, które wymagały delikatności i wykończenia. Ze swojej strony Arcybiskup, lubo oziębły dla architekta, szczerze go wynagradzał, tak iż artysta marząc o wielkiej sławie imienia swego, gromadził nieskąpo grosza: po ośmnastu miesiącach liczył już przeszło 6,000 złotych, co na owe czasy składało piękną sumę.

Ale jednego dnia gdy powrócił do domu, matka oddała mu list z czarną pieczętką: siostra zawiadomiła go o śmierci męża, który umierając zostawił ją z trojgiem małych dzieci bez żadnego majątku. Biedna kobieta zakończyła list prośbą o wsparcie na utrzymanie swjej rodziny.

Artysta posłał jej swoje 6,000 zł: — bo, jak sam powiedział, niebył wcale łakomym.

Katedra ciągle rosła; architekt zdawało się że ją obrał za swe mieszkanie; o świcie już się tam znajdował, a często noc nadeszła zanim ją opuścił. Miał atoli pod rozkazami swemi wielu dość zręcznych na których mógłby zdać wykonanie ważniejszych robót; skreśliwszy przeto dokładny rysunek, powierzył jednemu z nich drzwi boczne pełne przecudnych arabesków. Robotnik ten zamknął się jakby w warsztacie z desek aby mu nieprzeszkadzano. Architekt szanował tę samotność, i ufny w jego biegłości, czekał nim spa-

dnie zasłona. Nadszedł ten wielki dzień. Robotnik zdjął rusztowanie; ale nadzieja architekta omyloną została; niektóre części drzwi nie odpowiadały należycie okazałości całego gmachu, sam więc postanowił przerobić owe drzwi, chociaż to wymagało przynajmniej sześć miesięcy pracy; a zamiar ten nie go niekosztował:—bo jak sam powiedział, nie był zgoła leniwym.

Od czasu zaczęcia budowy, a już blisko czterech lat upłynęło, artysta nieopuścił ani jednego dnia żeby sam niedołądzał robotników, żeby własnymi oczyma nieprzekonał się czy każdy szczegół planu wiernie był wykonany; tak dalece iż zdawało mu się niepodobieństwem żyć gdzieindziej jak w pośród swych kolumn i arkad. Trafiło się iż jednej nocy złodzieje, nie wiedząc iż po zapłaceniu dniem przedtém robotników, nie było w domu jego ani grosza, zakradli się i nieznalazszy pieniędzy powetowali sobie na odzieży architekta i zabrali nawet ubiór, który on zdjął z siebie udając się na spoczynek i położył na krzesle u łoża; nazajutrz ujrzał iż niepodobna mu wstać dla braku odzieży. Kazał więc przywołać swojego krawca, który mu obiecał przygotować zupełny ubiór na wieczór tego samego dnia, a przyniósł go dopiero we trzy dni, tak iż nieszczęśliwy architekt musiał zostać w łożu siedmdziesiąt dwie godzin. Gdy więc po tak długim oczekiwaniu krawiec przyniósł ubiór, wymówił mu to architekt, ale z umiarkowaniem, jak przystało na człowieka poważnego i niepopędliwego—bo, jak powiedział nie był gniewliwym.

Tym czasem szerzyła się wieść iż nowe cudo ma świat z bogacić, łatwo bowiem widzieć było z tego co już zrobiono czém będzie ów gmach po ukończeniu; tak dalece iż jak na pielgrzymkę wędrowano tu z Francyi, Niemiec i Flandryi. Częstość ci wszyscy pielgrzymi zwiedziwszy kościół ciekawi byli widzieć architekta; kiedy powracał z tąd, nieraz spotykał gromady cudzoziemców czekających nań, ażeby oglądać tego kto posiadał tyle odwagi i geniuszu iż mógł się spodziewać doprowadzenia do skutku podobnego przedsięwzięcia. Pomiędzy pielgrzymami znajdowały się także i pielgrzymki, i zdarzyło się że jedna z nich tak wielką zapaliła się namiętnością ku naszemu architektowi, iż najęła dóm przy ulicy wiodącej z mieszkania jego do katedry; kiedy więc przechodził idąc lub powracając, zawsze ją widział u okna z uśmiechem mu się przypatrującą, dopóki wzrokiem sięgnąć mogła. Ciągnęło się to całe trzy tygodnie, a gdy jednego wieczora powracał do domu, upuściła mu pod nogi bukiet kwiatów, który trzymała w ręku. Artysta podniósł bukiet, i niemyśląc nic złego, wszedł w dom aby go oddać komu w pierwszej izbie; ale, traf zdarzył iż nie było nikogo ze służących, sam przeto musiał wniknąć na pokoje pięknej nieznanym, która go przyjęła w komnacie wonnościami napełnionej i słabo oświetlonej, co bywa niebezpieczne dla serc niebędących pewniemi siebie. Wszedłszy tu niepodobna było architektowi cofnąć się zaraz. Piękna pielgrzymka prosiła go aby wypoczął przez chwilę, lecz zaledwie usiadł, oświadczyła mu iż przybyła tu dla oglądania

katedry, lecz że architekt zatrzymuje ją od miesiąca w Kolonii; i powtarzając te słodkie słówka, zarzuciła piękną rękę w koło jego szyi, a przykładając usta swe do jego ust wycisnęła jedno z owych długich, palących pocałowań, które prześlizgają się z ust do serca. Ale architekt powstał natychmiast rumieniać się i dał jej długą a wymowną naukę o potrzebie hamowania pokus cielesnych, i potem niebacząc na jej łzy i prośby, odszedł;—bo jak sam powiedział, niebył nieczystym.

Sześć prawie miesięcy upłynęło od tego wypadku: natłok ciekawych pomnażał się z każdym dniem, facyata bowiem była już ukończona zupełnie, a chociaż jedna wieża doszła tylko dwadzieścia jedną stopę wysokości, druga miała już przeszło sto czterdzieści i okazywała czem będzie, skoro dójdzie do zakreślonej dla siebie wysokości to jest pięciuset stóp; lecz im dalej posuwała się budowa katedry, tym bardziej myśl że nigdy ona nie będzie skończona i że imię jego pójdzie w niepamięć, dręczyła artystę; postanowił przeto uprzedzić tę obawę, z liter imienia swego ułożyć balustradę mającą otoczyć szczyt wieży: tym sposobem imię jego uderzać będzie wzrok wszystkich dopóki stanie gmachu i pospołu z nim żyć będzie. Taką myśl powziąwszy, artysta był spokojniejszy i przedsięwziął od dnia jutrzejszego zacząć wprowadzać ją w wykonanie.

W chwili gdy ten zamiar ułożył, Arcybiskup wezwał go aby mu pokazać rozmaite relikwie jakie otrzymał; architekt zszedł z wieży i udał się na pałac, gdzie

zastał jaśnie oświeconego Konrada rozradowanego, bo odebrał z Medyolanu głowy Trzech Króli, Kaspra, Melchiora i Baltazara, w drogich koronach ze szczeręgo złota, ozdobionych dyamentami i perłami. Architekt ukląkł pobożnie przed relikwiami świętymi, odmówił modlitwę i podniosłszy się winał serdecznie pasterzowi tak bogatego i cudownego podarunku.

— A jeszcze otrzymałem od cesarza Carogrodu — rzekł Arcybiskup — daleko szacowniejszą rzecz, niżeli to wszystko.

— Doprawdy! — zapytał artysta — cóż, może odrobionę drzewa krzyża świętego, znalezione przez cesarzową Helenę?

— Coś jeszcze lepszego.

— Może koronę cierniową oddaną w zastaw przez cesarza Baldwina?

— Jeszcze więcej.

— Cóż więc takiego?

— Plan najpiękniejszego gmachu, jaki kiedykolwiek był wzniesiony.

— Ach! ach! — rzekł architekt uśmiechając się wzgardliwie.

— Plan który zostawia tak daleko za sobą wszystkie inne plany, jak słońce za sobą gwiazdy zostawia, wszystkie bowiem inne plany są dziełem człowieka, a ten jest utworem samego Boga, który go zesłał przez anioła swego Salomonowi.

— Macie więc plan kościoła Jerozolimskiego — zawołał architekt.

— Tak jest.

— Ciekawy jestem go widzieć.

— Podnieś tę zasłonę — rzekł Arcybiskup wskazując palcem na tkaninę pokrywającą plan.

Architekt podniósł skwapliwie i ujrzał niebieski plan, który jednym rzutek oka objął we wszystkich jego szczegółach.

— I cóż — rzekł Arcybiskup — co mówisz o tym planie?

— Ba! — odpowiedział architekt — mój lepiej mi się podoba.

W tej samej chwili piekielny śmiech zabrzmiał w uszach architekta: poznał on śmiech szatana; uniknąwszy sześciu grzechów śmiertelnych, wpadł nareszcie w grzech pychy.

Architekt co tchu poskoczył z pałacu do kościoła świętego Gereona, gdzie spodziewał się znaleźć ojca Klemensa; lecz Klemens umarł w nocy gwałtowną uderzony apoplexyą. W chwili gdy mu powiedziano o tem, usłyszał powtórnie śmiech szatański który go był przeraził, a dreszcz ogarnąwszy wszystkie jego członki przeniknął aż do serca i ściał je lodem.

Zebrał atoli swoje siły, a że niedoświadczał bólu fizycznego, odzyskał powoli odwagę i postanowił wrócić do katedry, spodziewając się że zapał jaki znajdował za każdym razem kiedy zbliżał się do swego dzieła, rozegna resztę trwogi zatajonej w głębi jego serca.

Artysta zapuścił się w rozległe mury swego kościoła, ale uczuł wkrótce że mu brakuje powietrza i doświadczał duszenia jakby w grobie; wyszedł za-

tęm na sam szczyt wieży, z kąd zwykle przypatrywał się całemu ogółowi robot.

Żadna niezaszła zmiana, każdy był przy swojej robocie i pilnie pracował aż do godziny odejścia; wreszcie wybiła ta godzina gdy dzień zbliżał się ku wieczorowi. Architekt słyszał jak robotnicy odchodzili śpiewając, uradowani ze swego dnia. Został wtedy sam jeden według zwyczaju, bo zawsze, jakżeśmy mówili, powracał on ostatni.

Słońce zachodziło majestatycznie, oświecając już tylko najwznioslejsze dachy. Wkrótce rzeka i miasto pograżyły się w zupełną pomrokę; lecz jeszcze niejaki czas szczyt wieży, który wszelako dosięgnął ledwie połowy swojej wysokości, oblewała światłość, i artysta wśród jej promieni, rozmyślał z dumą, że kiedy wieża dosięgnie zakreślonej wysokości, podobna będzie do płonącej latarni morskiej. Nakoniec słońce opuściło powoli szczyt kamienny, i architekt uważał iż czas już zstąpić na dół.

Ale nadaremno szukał przystawionej drabiny, już jej nie było.

Wypadek ten nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, gdyż który z robotników mniemając że architekt odszedł, mógł odjąć drabinę; wszelako, w okolicznościach w jakich architekt się znajdował, niespokojnością go to nabawiło, naprzód, według swego zwyczaju lekko posilił się na śniadanie, a będąc wezwanym do Arcybiskupa około godziny drugiej, zapomniał całkiem o obiedzie. Głód przeto doskwierać mu zaczął; przytęm był to miesiąc Październik, nocy chłodne:

szukał więc sposobu zejścia z wieży, ale jakkolwiek był zręczny, zupełne było niepodobieństwo. Zaczął przeto wołać o pomoc, ale zanim chwycił się tego środka, więcej godziny strawił na niepożytecznych usiłowaniach, ulice już były puste, a głos jego, o czém on sam nie umiał sobie zdać sprawy, stał się tak okropnym, iż mała liczba przechodzących którzy go słyszeli, zamiast zatrzymania się przyspieszali kroku, strwożeni nocnym i nieznanym krzykiem.

Architekt przeto uzbroić się musiał w cierpliwość. Szczyt wieży był płaski i otwarty. Na domiar nieszczęścia około godziny jedynastej, straszliwa powstała burza. Niepodobna było zasnąć, artysta musiał siedzieć, gdyż od czasu do czasu tak gwałtowny wiatr uderzał, że stojącego, ponieważ niebyło poręczy, zrzuciłby z wieży: burza wzmagała się coraz silniej.

O pół do dwónastej rozciągnęła się ona nad Kolonią, słysząc się dał odgłos piorunu. Niekiedy błyskawica która zdawała się przedzierać aż do ostatecznych głębokości niebios, roztwierała owo morze chmur, i na chwilę objaśniała miasto i rzekę fantastycznym blaskiem. Zdawało się naówczas architektowi, że miasto przybrało postać lwa, chmura orła, a rzeka węża.

O trzech kwadransach na dwónastą wszystkich ów ocean wyziewów pędzony wichrem gwałtownym ku katedrze, zatrzymał się na jej szczycie, podobnie jak niekiedy chmury osiadają na wierzchołkach gór. Architekt ujrzał się wtedy w samym środku burzy.

Pioruny grzmiały u jego ucha, błyskawice krzyżowały się do koła.

Skoro północ wybiła, dał się słyszeć gwar osobliwszy i nieznany; nieznośny zapach siarki rozszerzył się wszędzie, i kiedy zegar na kościele świętych Apostołów uderzył raz ostatni, śmiech tak dobrze znajomy artyście dał się słyszeć. Architekt obejrzał się i znalazł przed sobą szatana.

Teraz, on był w mocy swego nieprzyjaciela.

Architekt zrozumiał że jest zgubiony, niepodobnym było uciekać. Ale gdy szatan wyciągał rękę ku niemu, cofnął się na krok wstecz, co mu dało czas do odmówienia aktu skruchy i żalu za grzechy. Szatan postrzegłszy że dusza jego powtórnie wymknie się mu z rąk, poskoczył ku niemu, i dotknąwszy się go palcem, strącił z wierzchołka wieży.

Ale jakkolwiek szybkim było to poruszenie, mollanditwa miała dość czasu dla dojścia do tronu Boga, i kiedy zły duch rzucił się za swoją ofiarą aby ją porwać do piekła, ujrzał tę duszę na ręku dwóch aniołów niosących ją do nieba.

Szatan przez chwilę pozostał w osłupieniu, potem rzuciwszy się w ślad za posłańcami niebieskimi, przebiegł koło nich z szybkością wichru, cisnąwszy raz jeszcze tej biednej duszy owe słowo, które tak udręczyło jej ciało: »Nieznany! nieznany!»

Rzeczywiście spełniła się przepowiednia szatana: przerwana budowa katedry pozostała w tym stanie, w jakim ją zaskoczyła owa noc nieszczęśliwa, bo kiedy kończyć ten gmach chciano, niepodobna było

znaleść planu, a jakkolwiek troskliwie były poszukiwania uczonych, nie odkryto już nigdy nazwiska architekta.

Biedna dusza wie w niebie że zapomniano o niej na ziemi;— a to jest karą jej pychy.



BIEDNY GEŚLARZ.

II.

Czegóż ja się wciąż tak smucę?
Wciąż posępną dumkę nucę,
Zbiedy w biedę wieczny goniec,
Tu nie koniec—tu nie koniec.
Zawsze jakiś wróg z uboczy,
Stroi do mnie żółte oczy,
Nową boleść w sercu budzi,
A mój żal już wszystkich nudzi.
Już—już—milczę;—żał mój skrucę.
Czegóż bo ja wciąż się smucę?

2.

Albo ludziom wszystko powiem,
Co mi cięży tu ołowiem;
Powiem ludziom jak z chłopięcia
Wzięła bieda mnie w objęcia,
I wodziła mnie pod boki,
Iak świat długi i szeroki
Po bezdrożach bilem głową.
Niechaj ludzie rzekną słowo,
Gdzie ostoja—niech się dowiem,
Wszystko, wszystko ludziom powiem.

3.

Aj, nie powiem,—nie—zamilczę,
Ludzie mają gardła wilcze;
Cudzej biedy bujną strawo,
Ej! lubią się tuczyć krwawo.
Ale któż mnie tam zawiedzie
Gdzie chcą ulżyć cudzej biedzie?
Śmiać się tylko, szydzić—zgoda:
Albo gadać—i to moda.
Lecz ich leki—zęby wilcze,
Oj! nie powiem nic, zamilczę.

4.

O! jakbym ja kochał ludzi!
 Gdy me lato bieda studzi,
 O jakże mi żal serdecznie
 Że ja muszę wdychać wiecznie,
 Że ja nie mam tu nikogo
 Z kim bym życie prześnił błogo.
 O! u innych—to to nietak!
 Szczęście płynie jak przez przetak,
 Bo za niebem świat nie zmudzi,
 O! jakbym ja kochał ludzi!

5.

Ludzie, ludzie!—oj! ziemiacy,
 Hodujemy was—śpiewacy
 Tém co serce rodzi w bolach
 I kwiląca—myśl w niedolach.
 Hodujemy—sami głodni
 A wy zawsze ślepi, chłodni,
 Jeszcze się nam dziwujecie,
 Kiedy żal nasz głosim w świecie,
 Jednej czystej lzy żebracy!
 Ludzie, ludzie!—oj! ziemiacy!

6.

My czarujem duch w zadumie,
A świat woła że rozumie,
Że rozumie w martwem słowie,
Czego język nie wypowie.
Mamże wszystkim rozpowiedzić
Jak się musim duszą biedzić,
Jak zpalających lez ogniska,
Słaba, cicha pieśń wytryska.
Mamże głosić w ciemnym tłumie,
Jak czarujem duch w zadumie?

7.

Biedneż, biedne my śpiewaki
My zaklętę Boże ptaki,
Między niebem i padolem,
To gołębiem to sokołem
Bijemy się skrzydełkami,
Ale przepaść wciąż pod nami.
Struta strzała nas ustrzeli,
Byśmy górą nie lecieli,
Zakrwawiony spadasz taki...
Biedneż biedne, my śpiewaki.

8.

Oj! nie powiem ja nikomu,
Czego u mnie smutno w domu,
Czego wzdycham i boleję,
I usycham i lzy leję.
Ach! biednyż ja gęślarz, biedny
W wielkim świecie, tak sam jedny,
Jako mogę żal mój koję,
Bo ja swoje—ludzie swoje.
Jak mi ciężko ujść rozgromu
Oj! nie powiem ja nikomu.

9.

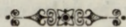
Dumo, dumo—czarownico!
Dajno folgę ty—psotnico;
Taż to ja twój syn rodzony,
Snem—pieszczony, lżą—karmiony.
Lub ze wszystkim mnie owładaj,
Albo w ucho wypowiedaj,
Jakto ludzie robią w świecie,
Że nie zawsze plączą przecie!
Mów, gdzie dobre gwiazdy świecą,
Dumo, dumo czarownico!

Darmo, darmo!—wciąż się smucę
Wciąż posępną dumkę nucę,
Z biedy w biedę wieczny goniec.
Tu nie koniec—tu nie koniec.
Zawsze jakiś wróg z uboczy,
Stroi do mnie żółte oczy,
Nową boleść w sercu budzi,
A mój żal już wszystkich nudzi
Niechaj nudzi!—ja się smucę,
Wód do źródła nie zawrócę.

Wiktoryn Zieluński.



SZWAJCARYA POLSKA.



I.

PIERSKOWA SKALA.

(z ryciną).

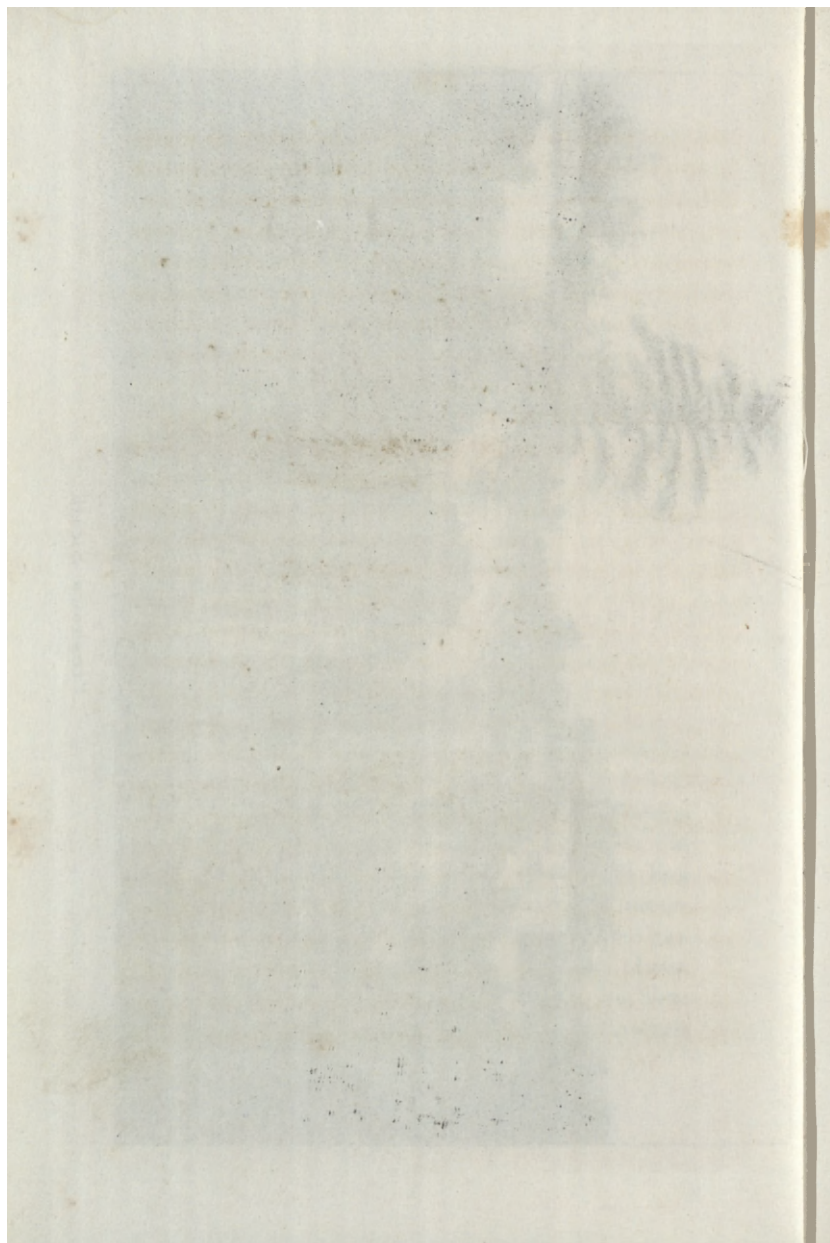
Przed laty — nie pamiętam roku, ale to wszystko jedno, bo piękność dzieł przyrodzenia nie tak prędkiej ulega zmianie jak ludzie i ich utwory. Przed laty więc, powóz mój i lubego mi towarzystwa zatrzymał się dla chwilowego spoczynku pod cieniem odwiecznej lipy we wsi zwanój Przeginia. Stąd już niedaleko zaczynały się owe czarowne okolice strumienia Prądnik zwanego do których dążyliśmy, i które niemniej słusznie mogą być nazwane Szwarcaryą Polską, jak Skały Turyngii Szwajcaryą Saską. Jechaliśmy od jałowych



Praskowa Szkoła



Preskowa Skala



i dzikich piasków Olkusza kryjących zazdrośnie w głębi stepu swego, srebro i inne kruszce; od zwalisk Rabsztynu co to jeszcze z dzielnością opierają się coraz silniejszym działaniom powietrza i czasu. Ale tam wszędzie, oko zmęczone i zasępienie jednostajnym widokiem pustyni, tu miało spocząć na wspaniałym obrazie jaśniejącej wszystkimi wdziękami natury! Drzeliśmy z niecierpliwości, bo cel naszych trudów podróży, nagroda tylu dni najnudniej wśród piasków i po karczmach przebytych—Pieskowa Skała, owa głośna Pieskowa Skała, była tuż, może nawet o pół mili. Przeginia jest już wsią należącą do tego zamku. Ale gdzież są skały, owe pożądane skały? pytali jedni drugich towarzysze wędrówki. Rozłożyste konary drzew ocieniających drogę wśród wsi, zasłaniały nam widok całej prawie okolicy. Wtém czy instykt czy chęć wejścia w rozmowę z wieśniakiem którego chałupa stała zaraz na wzgórkach za drzewami, zawiodły mię na miejsce otwarsze. Lecz jakież było nas wszystkich zadziwienie, kiedy niespodzianie przed wzrokiem naszym rozwinął się w dali między czarnymi massami lasów, szereg wysokich i siwych murów jakiegoś starożytnego miasta. Spółwędrownicy moi, wszyscy mieszkańcy polistych równin Lechii, lub napływowych gór Litwy, spoglądali po sobie z podziwieniem niemogąc przypomnieć jaki by to gród dawny mógł leżeć wtój stronie. Przeszło jednak złudzenie, za bliższym rozpatrzeniem się i w krótkce radośny okrzyk wszystkich wędrowników, powitał skały nieznane od nich, a odćmnie dawno już widziane, i to

na obcej ziemi między obcego rodzaju ludźmi. Spiesznie opuściliśmy Przeginią, i w kwadrans może byliśmy już wśród najpiękniejszych młodych buków, które same prawie jedne, ze swoją jasną korą i żywą a połyskującą zielonością swych liści, tworzyły obszerny i dziwnie wesoły las, dotąd od toporu nietknięty. Dobre pół godziny wystarczyło na przebycie go pieszo, ale niewiedzieć ile czasu potrzeba byłoby, żeby się dosyć nasycić pięknosciami tak rozkosznego gaju. Mały wąwóz wśród gąszczu kończył drogę wynurzającą się z lasu, która coraz to głębiej w dół się spuszczała. Wychodząc z niego, nagle i ściana skalista pod którą szemrzał strumień, i owa maczuga Herkulesa, słowem wszystkie dziwnej postaci głazy — stanęły razem przed zdumionymi oczyma. A nawet nieco opodal za nimi w lewo, sędziwy ów zamek *Pieskowa Skala*, wznosił niekształtne swe mury i wieże, na stromej wspierając się skale. Las Bukowy z któregośmy dopiero co wyszli, wieńczył w półkole z drugiej strony całą tę wąską dolinę. Pierwszy widok tego miejsca był zachwycający; a wpatrywanie się w szczegóły cudnego krajobrazu, jaki był przed nami, coraz większe odsłaniało piękności. Prądnik ów jasny i żywy strumień, który i nazwisko swe wziął od prędkości swego biegu, płynie po zielonych łąkach od wsi Sułoszowy, dalej jeszcze za zamkiem położonej, gdzie się już kończą i skały i nadzwyczajne widoki. Przeszedłszy mostek na Prądniku, droga lewym brzegiem jego wijąca się prowadziła nas długim kołem wśród całej doliny na drugą stronę zamku,

którego przesłicznemu położeniu dowolnie się nadziwować można było. Stała tuż przy drodze nad głowami podróżnych, jakby na straży zamku i doliny, owa dziwotworna skała u spodu wązka, zaledwo kilka łokci obwodu mająca, ale na 60 stóp wysoka i buławą cztery kroć grubszą u wierzchu zakończona. Jakis zapamiętały klasyk, chciał jej dać nazwę, maczugi Herkulesa, i książki ten dziki wynalazek powtórzyły; tak, jakby grecki Bohater swojskim być miał mowie i obyczajom Lechickim! Niebaczny! zapomniał że nasz rodowity Krakus, który także zapewne pałąk zabił smoka w jaskini Wawelu, miałby większe prawo do okrycia sławą swego imienia i czynu tej dziwotwornej skały, jak ów obcy nam Herkules. Ale próżne są wymysły uczonych; lud prosty i prawdziwy w swych uczuciach jak samo przyrodzenie, nazywa ten osobliwszy głaz, *Skałą Sokolą*. Nie wiem wprawdzie skąd to powstało, niemniej jednak pewną jest rzeczą, że o maczugach Herkulesa żywa dusza tu nie słyszała. Piękny Prądnik, ocieniony sadzonymi koło drogi dwa jeden po drugim drzewami, tworząc stawy porusza młyny i obmywa opokę na której wznosi się zamek. Ale ja miałem krótszą drogę dla dostania się do jego murów. Obok owiej Skały Sokolej, wychodzi z boku stromej góry, inny daleko mniejszy ale niemniej spadzisty głaz, na którym myśl pobożna przedostatniej dziedziczki hrabiny Wielopolskiej zostawiła piękną chrześcijańską pamiątkę. Stoi tam krzyż z ciosu ze stosownym napisem, jakby świadek wśród tej dzikiej i samotnej doliny, dawniej

wiary ich mieszkańców. Za tym głazem wążka i skalista ścieżka wspina się coraz śmielej na wierzchołek opoki, którą zamek w większej części zalega. Udałem się na nią, i ogarnawszy wzrokiem stamtąd nową piękności otaczającą mnie okolicę, stanąłem prędko przed pierwszą bramą tego warownego przedlaty a dotąd ożywionego jeszcze gmachu. Cześć imieniowi Wielopolskich dotychczasowych właścicieli tego miejsca, że dotąd pomimo nieestosownej już do czasów i potrzeb obecnych rozległości, starożytny zamek Pieskowej — Skały, wytrzymuje natarczywość tylu wieków, i wygodne swe komnaty otwiera gościnnie znużonym wędrownikom. Doznałem tego przyjemnego uczucia, wychodząc zaraz z pierwszej bramy na obszerny dziedziniec, otoczony późniejszymi już budowlami, w głębi którego dopiero na urwiskach opoki ukazywał się, górujący nad to co go otaczało ponury i samotny zamek. Na samym wstępie spotkano mię z tém, że wszystko i zawsze z rozkazu pana, stoi otworem dla przybywających w celu podziwiania i nasycania się widokiem tak pięknej okolicy. I niedługo potem całe nasze towarzystwo rozkładało swoje łomoki w kilku wielkich pokojach na drugim piętrze, i z niecierpliwością rzucało się do okien, oglądając z takiej wysokości widziany wprzód z głębi doliny krajobraz. I w rzeczy samej nic wspanialszego być nie mogło, jak ujrzeć z pod szczytu prawie tego starożytnego gmachu, roztoczoną u stóp jego po nad strumieniem Prądnika, i najwyższą zielenością umajoną łąkę, którą obrzeżał z jednej strony

wieniec bukowego lasu, a z drugiej zamykał rząd fantastycznych głązów. W głębi samej tuż pod murami zamku drobniały przedmioty dla oka z takiej wysokości, a patrzący cofał się nieraz mimowolnie na widok przepaści. Ale z innego znowu okna inny obraz, zupełnie różne czynił wrażenie. Spojrzawszy od dziedzińca przed dawnym zamkiem w półkole szeroko budowlami obwiedzionego, widać było wielkie stajnie do których przez drogę pod mostem prowadzącą wchodziło; nad niemi wznosiły się obszerne wozownie i składy, dalej mieszkania służby zamkowej i łowieckiej, aż do bramy, na której zieleniał się ogród dosyć wysokimi drzewami porośły. Dalej w okrąg zamykały obwód dziedzińca jednopiętrowe oficyny, niegdyś zapewne dla licznych gości, dziś dla Rządcy dóbr i Wójta Gminy przeznaczone. Inny wazki ogródek w wydrążeniu dawniej fossy, i most o którym mówiliśmy, kiedyś oczewiście zwodzony, oddzielał prawdziwy zamek od nowszych zabudowań. Prześronna i głęboko sklepiona brama wiodła na czworokątny nierównych boków dziedzińiec, otoczony od samego dołu przez dwa piętra w górę krzyżankami wmnogie arkady wiązanemi. Tu się znajduje owa nadzwyczaj głęboka studnia, wykuta do głębi samej opoki, skąd długo, długo i cierpliwie trzeba ciągnąć wodę: gdzie rzucony kamień za kilkanaście minut ledwie daje znać, że się dotknął jej powierzchni. Na przeciw tak głębokiej studni, pod jedną z dolnych arkad są drzwi do kuchni, jakiej już teraz w żadnym, choćby i najzamożniejszym domu niezobaczyć. Ku-

chnia ta jak dobra stodoła, woły w niej całe pieczono, a roje strzelców i osoczników zebranych staroświeckim obyczajem około ogniska, przesadzonemi baśniami o swojém myślistwie, osładzały kucharzom mozolną ich pracę. — »Dawne to już czasy mój panie” — odezwał się głos chrapliwy stojącej za mną zgrzybiałej już staruszki. »Było tu huczno i suto przed laty, za nieboszczyka pana Hieronima Wielopolskiego. O! pamiętam ja co się to działo — ja byłam młoda, a mąż mój służył za masztalerza. Kiedy pan tu na jesień z myślistwem przybywał, zbierało się tu ludzi jak maku, z rana i wieczór trąbki się odzywały, a ogary i charty ledwo na tym wielkim dziedzińcu zmieścić się mogły. A co państwa z różnych stron! jakie stoły później na pokojach! Bo też mówiąc prawdę i nieboszczyk pan był osobliwym człowiekiem. Zobaczycie na górze w pokojach jak sztucznie wyrabiał stolarskie statki, i jaki piękny po nim pozostał stolik. Znał się on jeszcze i na czarach, latał szybko nie tylko po polach ale i po skałach, bo zawsze nosił z sobą mostek jakiś dróciany który z jednego głazu na drugi zarzucał. Nie jeden to w owe czasy widział i mnie opowiadał. Ale to wszystko nic jeszcze, — odezwała się po chwili przestanku staruszka, — w porównaniu do tego, kiedy Król Poniatowski był tu przyjmowany. O! to już bardzo dawno, ale ja ten dzień dobrze pamiętam, bo tego zapomnieć niemożna kto raz widział. Już pan w ówczas nie żył, a pani niewiem gdzie była. Jacys inni państwo uproszeni od niej tu przybyli, a z nimi wiele pięknych pań i

orderowych panów. Król konno przyjechał a lud ze wsi i my ze dworu kwiaty mu na drogę rzucaliśmy. Bito z armat, wszyscy gospodarze z Wielmoży i Sułszowy z żonami i dziećmi poszli wieczorem do tańca na tamtym dziedzińcu, a bramy zamkowe i obie drogi co stąd na dół pieszo i powozem prowadzą, jasne były jak słońca od kagańców i lamp rozmaitego koloru. Po tej uroczystości cicho być u nas zaczęło, mały już potem był dwór, i ja się od niego oddalałam. . . . młodość przy kłopotach gospodarskich prędzej przeszła, i teraz gniotą mię późne już lata." Tu ciężko westchnęła staruszka, a ja powracałem na górę przypatrywać się bliżej wewnętrznym częściom gmachu. W całym zamku liczą sto pokojów, a z tych sześćdziesiąt znajduje się na obu piętrach pod krużgankami, to jest w tej części, która w XVI już wieku do pierwiastkowego zamku przydaną została. Na pierwszym piętrze zaraz od wnijścia jest nader wielka sala gdzie wielkie stoły w czasie uczt zastawiano. Ściany jej ozdobione staroświeckimi przodków Wielopolskich wizerunkami, obudzają w każdym przychodniu poważne wspomnienia czasów ubiegłych. Nie wiem dla czego nad kominem zawieszony portret Hektora ulubionego psa Hieronima Wielopolskiego. Właściwsze byłoby dla niego miejsce w pokoju pana, do którego całe życie był przywiązany. Obok tej sali jest pokój bawialny gdzie są portrety wielu pięknych kobiet, wielu zajmujących postaci mężczyzn z tegoż samego domu Wielopolskich; ale nazwiska ich i życie były dla nas zagadkami,

których rozwiązać odzwierny niepotrafił. Z jednym tylko portretem przedostatniej właścicielki tego miejsca poznaliśmy się bliżej. Była to żona Hieronima, koniuszyna koronna z domu Potocka starościanka Trembowelska, która w późnym wieku życie pamiętne dla mieszkańców Pieskowej Skały dobroczynnością skończyła. Dalej idzie obszerny pokój sypialny adamaszkim wybity, z dwóma równoległymi gabinetami. Wszędzie sprzęty staroświeckie, porządnie utrzymane, a między nimi osobliwszy klawikord i misternej roboty biórka. Przeszedłszy potem wiele innych jeszcze komnat i korytarzy, wstąpiliśmy do kaplicy poświęconej św. Michałowi. Pięknie zachowana i ozdobna tak się otwiera na przyległy jej krużganek, że cały dwór dawniejszego właściciela tak liczny, mógł wygodnie mszy słuchać. Idąc w głąb gmachu znaleźliśmy się w najdawniejszej części zamku, która sięga jeszcze wieku możnej rodziny Szafranców, co go pierwsza posiadała. Tu się znajduje nisko sklepiona komnata, gdzie było dawniejsze oratorium, dalej nieco więzienie, skarbiec, słowem wszystkie atrybucyje feudalnego zamku i obronnej na dawną taktykę twierdzy. Co większa! pomiędzy tém wszystkiém, w zakęcie dosyć ponurego korytarza, ukazuje się otwór w skale stanowiącej posadę murów, do głębokiej pieczary zwanéj *Dorotką*. Tu miano niegdyś wtrącać występnych którzy na karę głodu skazani, okropną ale w całej Europie do końca XIV wieku używaną śmierć ponieść musieli. Cóż takiego zawiniła owa Dorota z rodu Toporczyków? którą jej herbowi rycerze aż

do śmierci w tej ciemnej jaskini przed światłem słonecznym ukrywali. Stare kroniki piszą że sławni owi Toporczykowie tak miłowali dobrą sławę rodu swojego, że każdego do herbu swego należącego sami karali. Ich Dorota o jakieś nieprzyzwoite sprawy była posądzoną, tak twierdzą prawda, ale może to miłość jaka zapamiętała przywiodła do upadku, może tylko do nieposłuszeństwa nieszczęsną dziewczę! My co niemamy owego hartu średniego wieku rycerzy, co jesteśmy łagodniejsi w wyrokach na postęпки piękniejszej jeżeli nie słabszej od nas płci, cokolwiek bądź niemożemy się zgodzić na sprawiedliwość tak straszliwej kary dla kobiety. Powiadano nam że ta pieczara dzieli się na dwie części, do niższej w daleką głębię jest jeszcze węższy otwór, niż ten któryśmy widzieli. Lecz zapomnijmy o tak przerażających pamiątkach, oglądajmy weselsze, chociaż wcale nie dramatyczne. Ominawszy wiele jeszcze komnat najstarszego zamku, gdzie opoka służy nieraz za ścianę, a na niej porosłe drzewa zwieszonemi konarami zakrywają przepaścisty wąwóz pod oknami: zwiedziliśmy jeszcze pokoje zwane chińskimi, pracownią Hieronima Wielopolskiego, w której owe misterne sprzęty z drzewa wyrabiał. Tu zawieszono są portrety jego i Łowczego który przy nim całe życie cudów myślistwa dokazywał. Są jeszcze i tureckie pokoje dawnymi gobelenami pokryte; wszędzie krzesła i kanapy niebogate, ale dawnością swą i kształtem szacowne. Wróciwszy do gościnnych pokojów gdzieśmy nocować mieli, znaleźliśmy odźwiernego i jego żonę u-

rzządzających nam łóżka; ale chociaż już wszystko było gotowe i znużeni po kilka razy dawaliśmy im dobranoc, poczciwi jednak ludzie ociągali się z wyjściem. Nakoniec sama odźwierna tajemniczą jakąś postawę przybrawszy, odważyła się szepnąć do ucha żebyśmy byli ostrożni, bo w tych górnych pokojach bardzo często włóczą się mary i niezwyčajnym szelestem i głuchym jękiem zakłócają sen spoczywających.— Te osobliwie drzwi, wskazując na jedne rzekła ze wstrętem, są niebezpieczne, i te radzę stołem i krzesłami zastawić mocno.— Może to upiór pokutującej Dorotki błąka się szukając ratunku?— O nie, odpowiedziała skwapliwie bojaźliwa kobieta. Tam gdzie Dorota i ci co po niej w tym lochu męczeni byli, chodzą po korytarzach o północy, w tamtej stronie zamku nikt się z nas po zmierzchu niepokazuje. Na to już ani memu mężowi, ani staremu stolarzowi który wszystko wie co tu się od wieków dzieje, odwagiby nie stało. Ale my mamy w podejrzeniu jeden straszny portret kobiety brzydkiej i niegodziwej, jak powiadają starzy ludzie tutejsi. Jeżeli się nie lękacie przejdźcie ze świecą, mówiła coraz ciszej, za te drzwi które macie zastawić na noc, i spójrzycie tylko, byle ostrożnie, na obraz co wisi tuż przy nich na lewo, a potem powiecie czy nasz domysł niema słuszności. Słuchając tej rady ruszyliśmy na obejrzenie sąsiedzkiego pokoju i podejrzany ów portret zaraz się ukazał. Rzeczywiście trudno jest znaleźć okropniejszy wyraz w obliczu kobiety. Z pod zakrytego do połowy czoła jakąś czarną osłoną, wyglądało dwoje oczu

pełnych złości i krwią zabiegłych, twarz czterdziestoletni już wiek okazująca, czerwona i nabrzmiała, a cała fizygnomia szkaradna. Zapomniawszy o upiorach, żałowałem pięknych twarzy wieśniaczek na innych bliskich portretach będących, które niestety, jakem się potem dowiedział pod jej srogim i niegodnym dozorem w tym zamku żyć musiały. Sen wkrótce skleił nasze powieki tak silnie, że pomimo wszelkich przepowiedni i przestroż odźwiernych, ani widzieć, ani słyszeć żadnych już strachów nie mogliśmy.

Nazajutrz kiedym się jeszcze raz na pożegnanie przypatrywał zachwycającemu położeniu Pieskowej Skały, przesunęły mi się w pamięci dzieje tego starożytnego zamku, który jeżeli nie własnym znaczeniem to przynajmniej potęgą rodzin co go posiadały, zasłużył na wielokrotną wzmiankę u wielu naszych kronikarzy. Początki samego zamku sięgają może XII. wieku, bo już zaraz na początku XIII, w jednym swoim przywileju wymienia go Władysław Łokietek (1). Była to wówczas własność królewska i dopiero dla bojaźliwej polityki ostatniego z Piastów tron polski zasiadających, przeszła na dziedzictwo szlacheckie. Ludwik ów znakomity dla Węgrów monarcha, a słaby i niedbały król

(1) *Ambr: Grabowski* w zajmującym piśmie swoim: *Kraków i Okolice jego*, wyd. 3, Kraków 1836 str. 260, przywodzi autentyczny przywilej tego króla w r. 1315 w Sandomierzu pewnemu Mikołajowi na wójtostwo we wsi Sułoszowy przyległej Pieskowej Skale wydany, gdzie zamek ten, może od Niemca pisarza nazwany jest *Peskenstein*.

dla Polaków, chcąc odebrać zamek Bełzki od Litwinów którzy go opanowali, obległ go na czele Węgrów i polskiego rycerstwa. Wśród zaszczytów między wojskami obu niechętnych sobie narodów niezgody rycerz jeden polski znakomitego rodu a jeszcze znakomitego męstwa i znaczenia między swojemi, Piotr Szafraniec z Łuczyc, raniony został w twarz od pewnego Węgrzyna. Niewczesna owa przygoda wśród wojennej wyprawy zakłopotani mocno Ludwika, mało już i tak wpływu na umysły Polaków mającego. Ci byli daleko liczniejsi od Węgrów, oburzenie się było wielkie, domowa wojna we własnym obozie groziła zniweczeniem oblężenia. Sam więc król osobiście zajął się pogodzeniem Szafranca z temi co go obrazili, a na utwierdzenie zgody nadał mu prawem dziedzicznym zamek zwany *Pyeschowa Skala* (2); wszakże dar ten zasługami walecznych potomków rodu tego dostatecznie krajowi zapłacony został. Syn jego Piotr z Pieskowej Skály Szafraniec Wojewoda krakowski stawając dzielnie na czele własnej chorągwi w Grumwaldzkiej potrzebie, to karcąc dumę Krzyżacką pod Tucholą (3), to nakoniec zmuszając ich do traktatu, takiej wziętości nabył u Władysława Jagiełły że mu

(2) *Bielski* pod r. 1376 str. 249 dawn. wyd.—*Naruszewicz* ks. VII str. 96 wyd. Mostows.—*Niesiecki* IV 197—Mylny więc jest wniosek późniejszych pisarzy, jakoby zamek ten dopiero od dziedzica jej Piotra Szafranca, przez zdrobnienie pieś zwanego, piesiowej czyli Pieskowej Skály nazwanie otrzymał.

(3) *Długosz* Lib. X. p. 242 i 296.

i ziemię podolską odjętą Książęciu Swidrygajłowi wrząd oddał, i nowemi dobrami Secemin w r. 1410 udarował. Jednakże obaj ci Szafrancowie mężowie rycerscy ciągle zatrudnieni walką z nieprzyjacioły, większą połowę życia w obozach trawiając, niemieli czasu myśleć o wygodniejszem mieszkaniu w Pieskowej Skale, ani potrzeby utwierdzać jeszcze mocniej zamku przy rosnącym bezpieczeństwie wewnątrz kraju. Umieli oni przestawać na kilku sklepionych komnatach przymknionych do skał i wieży, co samotnie wznosząc się na opoce dawała opiekę poziomym chałupom robotników wsi okolicznych. Tam złożywszy twardą przyłbicę, spoczywali po znojach wojennych, tam ohotnie czekali wezwania królewskiego do nowej wyprawy. Dotąd jeszcze pierwiastkowy ten za mek, tam gdzie jest wieża, a skała nie jednej izbie za ścianę służy, od strony drogi w wąwozie ku górze spinającej się, łatwo rozróżnić można od nowszej iobszerniejszej części ku Prądnikowi położonej. Ale nakoniec przyszedł czas, że następcy surowych XIV wieku wojowników, nietracąc bynajmniej rycerskiego ducha, zapragnęli jednak większych wygod i pod łagodnym niebem włoskiej krainy nabrali gustu do wykwintniejszych budowli u siebie. Stanisław Szafraniec Wojewoda Sandomierski, przystawiając w r. 1586 do starożytnego przodków zameczku nowe mury od strony strumienia, jest istotnym tworcą gmachu jaki w dzisiejszej przestronności widzieć się daje (4). Tymczasem po dwówiecznym z górą pano-

(4) *Paprocki herb. Rycers.* str. 57.

waniu na Pieskowej Skale zamożnej i znakomitej rodziny Szafranców, przyszedł jak na wszystko na świecie, i na nich koniec. Jędrzej Szafraniec syn Stanisława Starosta Lelowski a jak Niesiecki powiada serdeczny junak na nieprzyjaciół za buławy Mieleckiego, żonaty z Barbarą Rzeszowską herbu Wąż zszedł bezpotomnie, i dobra jego w ręce różnych krewnych poprzehodziły. Już nawet i on nie mieszkał ciągle w zamku od ojca wzniesionym, przekładając pobyt w Seceminie, gdzie także ojciec sławne szkoły dla młodzi wyznania Kalwińskiego założył. O tém to Jędrzej zachowała się dotąd w Krakowskiem następująca legenda.—

W Krassowie jednej z kilkunastu wsi dobra Seceminskie składających, mieszkał w drewnianym dworze tenże sam ostatni z Szafranców. Starożytny zamek, cały i opatrzony ale nie zamieszkaany czerwienił się o podał na wzgórzu (5). Wszyscy wieśniacy skoro już zmierzcho obchodzili go zdaleka, bo wiedzieli że pan ich nawet w dzień tylko, i to ze starymi sługami zwiedzał jego piękne pokoje, ale oddawna już niechciał go nigdy zamieszkać jak bywało za ojca, woląc w ciasnym mieścić się dworze. Nie wszyscy wiedzieli przyczynę, a domysłów było bez liku. Stary bezdzietny Szafraniec rozpiął wcześniej bogate swoje mienie między bliższych i dalszych pokrewnych, wzbudzając między niemi tajemną zawiść

(5) Teraz ani śladu jego niema, tylko miejsce gdzie stał i podanie o jego bytności pozostało.

mimowolnie. Secemin ze swojemi wsiami przeznaczony był Michałowskiemu dziedzicowi Słupi. Przyjeżdżał on nieraz odwiedzać starego Szafranca w Kraśssowie, skarbiąc łaskę bezdzietnego dziedzica, u którego też zawsze gościnne przyjęcie znajdował. Raz Michałowski znalazłszy kilka osób we dworze na noc pozostałych, a nie chcąc dla burzliwej pory wracać do siebie, postanowił nocować w zamku. Próżno go przestrzegał Szafraniec że tam niema nigdy spokojności, że tam duchy zmarłych mieszkanie założyły: próżno mu potem coś szeptał staruszek do ucha i żarliwie namawiał do zaprzestania zuchwałego zamysłu. Wszystko nic nie pomogło, Michałowski był także swojego czasu junak, a zawsze dzielny wojak i w najdzwyczajnej sile swojej mocno zaufany. Wszedłszy jednak do swojej sypialni w zamku, obejrzał wszystkie drzwi czy dobrze były zamknięte, a potem położył się w łóżku. Na stoliku stał obyczajem staroświeckim krucyfix, przy którym paliły się dwie świece i leżała para długich pistoletów; wierny pies w nogach spał na dywanie, a hajduk w drugiej izbie spoczywał na ławie. Wkrótce chrapanie jego głośno obito się o ściany obu tych przestronnych komnat. Michałowski nie domówił jeszcze zwyczajnych swoich pacierzy, gdy raptem wielki szelest powstaje, otwierają się ztrząskiem drzwi mocno zamknięte i cztery żałobne postaci odziane w czarne kapy, z pochodniami w rękę, niosą trumnę i stawiają na środku. Odwraca się wieko a Rycerz od stóp do głów ciężko uzbrojony z wybladłym obliczem powstaje w groźnej postaci. Zrywa

się na ten widok Michałowski, sięga za pistolet i chce wypalić do występującego z trumny rycerza — ale skałka ognia nie daje, pies rzuca się na widmo, lecz silnie wiekiem uderzony upada skowycząc. Rycerz straszliwe podnosi ramię i grobowym głosem zapytuje Michałowskiego: «Co robisz tu w moim dziedzictwie?» Przerażony pomimo wrodzonej sobie odwagi Michałowski, krzyczy na hajduka — na próżno, hajduk śpi jak zabity. Wtenczas Michałowski zrywa się z łoża i ucieka, ale Rycerz ująwszy go żelaznymi rękami, zdusić usiłuje, pomagają mu ci co byli w kapy ubrani. Bójka trwa kilka chwil zapalczywie, nakoniec silny choć zbity wymyka się z niej Michałowski, wpada do stajni i na koniu uchodzi do Słupi, gdzie we trzy miesiące z ran i śmiertelnego przestrawu umiera. « — Wieść długo krążyła między spadkobiercami Szafrąncami, że to zarządca dóbr jego niesumienny i przekupny człowiek był twórcą tej niegodziwej sceny, którą życiem przypłacił odważny nawet i w sprawie Rycerskiej doświadczony człowiek.

Ale wróćmy do dziejów Pieskowej Skały któreśmy dla tej powieści na chwilę przerwali. Po wygaśnięciu zasłużonego w Polsce imienia Szafrąnców, obszerne ich dobra jakieśmy wyżej namienili, weszły do różnych domów z niemi spokrewnionych. Do spadkobierców głównie należeli Wielopolscy jednegoż rodu z Szafrąncami i tegoż samego herbu *Stary-koń* używający. Na ich dział przypadł właśnie zamek Pieskowa Skała ze wsiami które go otaczały. Za świadectwem Niesieckiego już w r. 1661 Jan Wielopolski Kasztelan

w ówczas Wojnicki, a potem Wojewoda Krakowski, pisać się miał z Pieskowej skały. (6) Co większa zasłużony ten w kraju, a dla rozumu i powagi bardzo wzięty mąż, sprawując od Jana Kazimierza posełstwo do Ferdynanda Cesarza, w r. 1656 uczyniony został hrabią S. P. R. na Pieskowej Skale. Tymczasem niewiedzieć z jakiego znowu powodu zaraz po tej epoce liczne dowody przekonywają, że Michał Zebrzydowski Wojewoda i Starosta Krakowski był posiadaczem Pieskowej Skały, zamek wielkim nakładem zupełnie odnowił i powiększył, i sam wręście życie w nim roku 1667 zakończył. Niemożna wątpić o prawdzie tego, bo wiadomość o tym dziedzicu zostawił nam jeden z celniejszych dziejopisów naszych siedemnastego wieku, Wespazyan Kochowski (7) który nawet w innych pismach swoich, wierszem ozdobę i umocnienie zamku w Pieskowej Skale wystawiał. (8) Prócz tego i sam Zebrzydowski nie zapomniał zostawić pamiątki że był odnowicielem tego starożytnego gmachu, tak prawie jak go teraz widzimy. Herb Zebrzydowskiego Radwan i żony jego Maryi z Stadnickich Srzeniawa, wykute są w kamieniu tuż przy bramie zamkowej. W połowie XVII wieku Szwedzi podczas pierwszych swoich odwiedzin w Polsce, zawitali także do dziedzictwa Zebrzydowskiego i zamek osadzili dla utrzymania w podległości okolic Kra-

(6) Tom IV str. 508.

(7) Climacter III p. 275.

(8) Fraszki p. 98.

kowa. Może to od ich pobytu zostały otwory pod samym szczytem, gdzie jak dotąd podanie zostało, mieściły się warty, dla spostrzeżenia zdaleka co się dzieje około zamku. W sto lat po Zelrzydowskim pierwszy dopiero Hieronim Wielopolski koniuszy koronny o którym tyle już prawie powiedzieliśmy, polubiwszy rokoszne mieszkanie w Pieskowej Skale zaczął jej budowę rozszerzać. Do właściwego zamku zajmąwszy plac obszerny nowe mury powznosił stosownie do potrzeb liczego dworu i myślistwa. W takiej już był postaci ten zamek, kiedy go Stanisław August zwiedził w r. 1787 w dniu 4 Lipca i oglądając dalsze jego okolice, dwa dni tam zabawił.

Zegnąc Pieskową Skagę przysłała mi jeszcze na myśl największa a przynajmniej najmiłsza jej ozdoba. W XVI wieku, wtenczas kiedy Szafraniecowie liczyli do swych włości, to zachwycające miejsce, mieszkała tu Zofia Oleśnicka, która wpływem wdzięcznych wrażeń pięknego przyrodzenia co ją otaczało, tém dzielniej umiała podnosić myśl swą do Boga. Tu składała rymy lubą natchnione prostotą które naszych czasów aż doszły w książce mającej napis: *Pieśń nowa w której jest dziękowanie Panu Bogu wszechmogącemu, że malutkim a prostakom raczył objawić tajemnice królestwa swojego.* (9) Pieśń ta podzielona na strofy, w naczelnych głoskach każdej zawiera litery składające nazwisko tkliwej i pobożnej

(1) w Krakowie Łazarz Andrysowicz wybijał, AMDLVI (r. 1556).

rymotwórczyni: *Zofia Oleśnicka z Pyskowej Skaly*. Szkoda że niemamy więcej szczegółów o niej! Za naszych czasów, nie mieszkała wprawdzie, ale zwiedziła czarowne to ustronie inna kobieta, której dusza również była czułą na piękności tego miejsca, ale która siłą i wdziękiem swojego pióra dzielniej i pożyteczniej wpłynęła na żyjącą dziś społeczność! Zaczyna autorka Pamiątki po Dobrej Matce, zostawiła nam także w swoich nieoszacowanych pismach zajmującą wzmiankę o Pieskowej Skale.

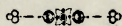
Михаѣл Убаіўшч.



UŁOMEK Z ALFONSA LAMARTIN.

☉ kiedyż ją zobaczę gdy w nocnym spoczynku
Troskliwie nad dzieciną schyli się jak matka,
Kiedyż u śnieżnej piersi uwiśniesz jej synku,
I ssać będziesz jak pszczołka ssie słodczye zkwiatka.
W cieniu odwiecznej lipy gniazdo im uściele,
Tam gdzie wokoło rzeka bystre nurty toczy,
O nie dojdą przewrotni do nas przyjaciele,
Ani kiedy zazdrośne wysłędzą nas oczy.
Z tego źródła goryczy ja ich nie napoję,
Wktóre trucizny ludzka mądrość namięszala,
Nauki ojc ów usta udziela im moje,
Wielbic Boga to będzie nauka ich cała.
W dziedzictwie im zostawię, gdy już dojdę końca,
Co biedne zostawiają swym dzieciom ptaszyny,
Gniazdo, owoc opadły, czyste w źródle płyny,
I moje miejsce blaskiem oświecone słońca.

Stanisław Jachowicz.





SAMUEL ZBOBOWSKI

UŁOMEK Z ALFONSA LAMARTIN.

• Kiebyś ja zobaczę gdy w nocnym spoczynku
Trasnąć nieśmiódł dziecięcy schylił się jak matka,
Kiedyż u siebiej pierś uwiśniesz jej synku,
I ssac będziesz jak pszczołka ssie słodycze z kwiatka.
W ciebie odwiecznej liny gniazdo im uściele,
Tam gdzie wokół rzeki bystre nurty toczy,
O nie dojdą przewrotni do nas przygniele,
Imi kiedy zazdrości wyśledzą nas oczy.
Z tego źródła goryczy ja ich nie napoję,
W które trucizny ludzka mądrość namięzala.
Nauki oje dla was udzielił im moje,
Wizellin może co będzie nauka ich esła.
W dziedzictwie im zostawię, gdy już dojdę końca,
Ca błędne zostawiają swym dzieciom ptaszyny,
Gałązki, wrony opadły, czyste w źródle płyny,
I moje miejsce Muskiem odwiecznym słuska.

Michał Jachowicz.



SAMUEL ZBOROWSKI.



SAMUEL ZBOROWSKI.

I.

Dnia 18 Lutego 1574 roku wyległ cały Kraków na powitanie nowego Króla, który już w *Balicach* nowował. A był to król pierwszy *Elekcyjny*, w bezkrólewiu obrany, po wygaśnięciu rodu Jagiełłów. Senatorowie, duchowieństwo, rycerstwo, szlachta, mieszczanie i wieśniacy, zalegli obszerne do około pola.

Arcybiskup Gnieźnieński rozpoczął poczet witających Henryka Walezjusza. Wiódł on 200 Hussarzy swoich tak strojnie i bogato przybranych w axamity,

złoto i srebro, że oczy olsnęły od blasku proporców. Sam z Biskupami Płockim i Poznańskim, jechał w świetnej kolebce, którą poprzedzał kanonik z krzyżem. Za tymi Arcybiskup Lwowski, otoczony pocztem zbrojnych. Biskup Kamieniecki ze świetnym gronem dworzan. Senatorowie, wojewody, rycerstwo rzuciwszy po świeżym pogrzebie Zygmunta Augusta łaźne kaptury, nie litując kosztów sadzili na przepych. Purpura, drogi złotogłów, sukna *Atalickie* i *Frygijskie*, pruskie atłasy, aksamity gładkie i wzorzyste użyto na stroje. Szlachta, rycerstwo, dobrało dzielnych koni, bogatych pancerzy. Mieszczanie krakowscy w przepychu nieustępowali Senatorom, bo używali dobrego bytu.

Zaległy pola hufce panów całej Polski. Tu Hussarze lśnili złotem, a od tarczy i proporców blask odbija: chrzęszczą skrzydła sępie na barkach, łabędzie, jak śnieg białe, zdobią wielu tarcze. Tam poczty liczne strojne po włosku, na każdym aksamit podbity kunami, sznurami srebrnymi haftowany, a każdego droższy ubior jak szubka króla francuzika. Kozacy w pancerzach srebrnych, ze złotymi sajdakami w licznych stoją szeregach: brzmia trąby i surmy że *świat drzy*, boć i w bębny jak *grom* kołatali.

Stoi i Litwa strojna ze swymi panami, i sławny wójt Wileński *Rotundus*. Wojewodowie Malborski i Pomorski wiedli swoje poczty w niemieckim z aksamitu stroju. Posłowie ziemscy, szlachta konna, za tymi krakowianie wystawili stu jezdnych w zbrojach, i 4000 pieszych także w zbrojach lśniących.

W pośród świetnego zgromadzenia narodu, stanął z poczem swoich Hussarzy *Wapowski* kasztelan Przemyski, nieprzeczuwając iż wkrótce godzina śmierci dla niego uderzy.

Oczyszczono Zamek Krakowski, świeciły się w gmachach ściany przybrane nadobnie: a jedwabne szpalery złotem haftowane rozwieszono w rozleglejszych komnatach.

Przy rzeniu koni, przy chrzęście zbroi, i cichego gwaru tylu tysięcy, Biskup Myszkowski powitał króla Henryka, przy końcu mowy wyrażając aby strzegł sprawiedliwości, pochlebcom bronił ucha, a żył po bożnie.

Patrzył z radością Walezy na ten naród, któremu miał panować, na te tysiące nieprzeliczone zbrojnych, szlachetnego i mężnego oblicza rycerzy, których rzędy, pancerze, przyłbice, tarcze i oręż tyskały drogim kamieniem, złotem i srebrem: a ogrom tych bogactw rozsypanych hojnie po szatach i zbroi tylu tysięcy, zdawał się mówić zdziwionym francuzom, że łatwo im będzie o złoto i srebro, że na polskiej glebie muszą się rodzić obficie.

Starzy wojownicy nasi patrząc na te gromady nieprzeliczone mówili sobie: »Weźmy to jeno co tutaj widzimy, a zastawimy się Turkowi, ba i każdemu.»

Przy tym narodzie licznym zbrojnym i strojnym z takim przepychem, dziwnie odbijała drużyna francuzików przeziębłych. Wlekli się za swoim królem skurczeni, wybladli od mrozu, chuchając w palce, to na mułach, to w *karach*, to po dwóch na koniu.

I okazał się Henryk Walezy, w atlasowej czarnej szubie, podbitej rysiami, na białym koniu. Szli przed nim dwaj książęta, *Niverni* i *Dumeński*, hrabia *Guiza* i *Mirandola*, przedniejsi francuzi; każdego prowadzili dwaj Wojewodowie.

Czterdziestu gaskonów z rusznicami, i sześćdziesiąt Szwajcarów z halabardami waksamit żółty i zielony przybranych, otaczało Henryka. Dobosz przed nimi bębnił i piszczałka świstała.

Rajcy krakowscy rozwinęli baldachin złocisty nad głową Króla. Biła godzina pierwsza po północy, kiedy się zbliżył do bramy *Florijańskiej* którą wjechał do Krakowa. Zajaśniał gród stary, rozwidnił ciasne ulice tysiącem światła: zagłuszają słuch trąby, bębny, huk dział, wrzawa i odgłosy radośne tysięcy. Zwiększa się ciżba, a tłumy ciekawych po dachach, murach, uczepteni rękoma, oczy ciekawie wlepiają w poważny obchód.

Henryk wstępuje do kościoła Panny Maryi, musi słuchać *oracyi*: na bramach tryumfalnych orły *głogotają*. Zbliży się do zamku, wita go grzmot dział, odgłosy dzwonów licznych, a między tymi wydatniejsze poważny, silny głos Zygmuntońskiego dzwonu, jakby jęczał za rodem Jagiellów. Rycerz konny płonie cały sztucznym ogniem: drzy *Wawel* przez pięć godzin ciągle: a Walezy idzie całować kości świętych, odwiedza potem starą Annę Jagiellonkę z ukłonnością i dopiero zmęczony zasiada do wieczerzy. (*)

(*) M. Strykowski: Przesławnego wyjazdu do Krakowa Henryka Walezyusza 1575.

II.

Po burzliwej koronacji, pierwszą zabawę rozpoczął Henryk u Zborowskich, zaproszony na wesele, gdzie zastał mnóstwo panów i gości. Przez dwa dni raczono wspaniale Króla: była to bowiem rodzina świetna w dziejach narodu, bogactwy usługami dla kraju, słynna że ze swego łona dzielnych wojowników wydawała: dla hojności i gościnności zwana *kuchnią chudych pacholków*. (*) Tu Samuel Zborowski, który na wjazd Henryka zdążyć niemógł, okazał zgromadzonym sto koni swoich Hussarzy, tak strojnie z przepychem przybranych, że wszyscy z podziwieniem towarzystwo to wspaniale oglądali.

Nazajutrz francuzi na znak przytomności króla, wśród zamku wzniesli chorągiew wyniosłą, dziedzińiec wysypano grubo piaskiem, aby w gonitwach nie szwankowało rycerstwo. W około utkwiono 24 kopii, dla dwudziestu czterech rycerzy co się potykać mieli, między temi była jedna Samuela Zborowskiego, nosząca na stojącej obok tarczy napis, iż ktobykolwiek życzył, byle równy w urodzeniu i godności, gotów jest za zdrowie Króla skruszyć z nim kopiją.

O samym zmroku, sługa Jana Hrabi Tęczyńskiego Kasztelana Wojnickiego, *Janasz Kroata* idąc tamędy, wyrwał kopią Samuela, zabrał z sobą, mówiąc że z Zborowskim spotykać się będzie. Ten w prze-

(*) Rękopism Biblioteki Żaluskich.

konaniu, że Tęczyński na pogardę służalca swego wysłał, przetrzymał ze sług swoich szlachcica *Moszczyńskiego*, aby z Kroatą skruszył kopiję; sam zaś Tęczyńskiego przez poufałych na pojedynek wyzwiał. Napróżno Tęczyński uroczyście zapewniał, że czyn Kroaty był bez jego wiedzy i woli, gdy mimo to Zborowski w obec Króla w senacie wyzwanie powtórzył, wtedy zbliżywszy się do Samuela rzekł: »Dosyć usprawiedliwiałem się przed tobą, że ani z rozkazu, ani z wiedzy mojej, kopija twa przez Kroatę wyrwaną była, lecz jeżeli i, na tym nieoprzestajesz zaraz gotów będę do boju, zaczekaj tylko chwilę aż sekundanta poszukam.» Dawszy sobie obadwa ręce, Tęczyński udał się do domu swego aż przy wałach będącego, aby się do walki przygotować.

Król Henryk z senatu idąc, zatrzymał się, chcąc widzieć walkę Kroaty z Moszczyńskim. Gromada ciekawych napełniła zamek: walczący w całym pędzie wypuściwszy konie uderzyli o siebie: Moszczyński tarczę Kroaty, nieobraziwszy samego, przeszył na wylot: Kroatą znizywszy kopiję przebił kulbakę, i ugodził go w łędźwie, a nieprzystając na tym, dobył z pod kolana pałacza, chcąc ranę powtórzyć, gdyby go krzyk Węgrów nie zatrzymał: zastanowiony tym upomnieniem, schował szablę i na bok odjechał.

Rozjątrzony porażką swego Zborowski, porwał ostry czekan, skoczył do Kroaty, i byłby go zabił, gdyby przytomni niezatrzymali ciosu. Król to widząc, posłał Marszałka koronnego ażeby wszyscy zapaśnicy, pod utratą życia i sławy natychmiast oddalili się

z zamku. Mimo to Zborowski gonił za Kroatą, aż dla uniknięcia zabójstwa Firlej Marszałek wielki koronny, w bezpieczne go miejsce z zamku uprowadzić kazał. Wszyscy zagrożeni rozkazem króla opuścili podwórze zamkowe. Sam tylko Samuel ostatni i już prawie nad wieczorem wychodził, zionąc przekleństwa to na króla broniącego mu przystępu, to na Kroatę, to nakoniec na Tęczyńskiego, że tak długo się opóźniał.

W tej chwili na samym wyjściu z zamku, spotyka Tęczyńskiego z znacznym orszakiem dworzan, wszczy-na się kłótnia między wchodzącymi i wychodzącymi: przeciwnicy dopadają koni, i na dziedzińcu między kościołem a mieszkaniem Królowny Infantki Anny Jagiellonki, już pędzą do walki, gdy *Wapowski* kasztelan Przemyśki, dawniej w nieprzyjaźni żyjący ze Zborowskim, wpada w pośrodek godzących na siebie, i wraz ugodzony śmiertelnie czekanem w głowę upada.

Niémasz żadnej pewności że cios ten zadała *Wapowskiemu* ręka Samuela. M. Bielski wyraża „uderzył *Samuel* *abo* *śluga* *jego* (*) Strykowski pisze: „*Wapowski* z *Zborowskiego* strony ranion zmarł;” to tylko pewna że w tłumie od stronników *Zborowskiego* odebrał ranę. Zobu stron sładzy dobywszy oręża powiększyli zamieszanie, gdy piechota *Tęczyńskiego* z kilku rusznic dała ognia, okrzyk powstaje że *Zborowski* w nogę raniony; na ten huk lud z miasta do bramy zamkowej cisnąć się poczyna.

Król przewidując niebezpieczeństwo, bramy zawrzeć

(*) Kronika p. Wyd. 1597 str. 708.

rozkazał, a nie wiedząc powodu rozruchu wpadł w podejrzenie, iż to spisek na niego zmówny z francuzami różnowiercami. Uzbroić się więc swoim poleca, sam przywdziewa zbroję, a gdy się do pokoiw jego gwałtownie dobijano, drzwi na ściężaj rozkazuje otworzyć, gotując się do wypadnięcia na zbuntowanych. Ale miasto spodziewanej napaści, ukazał się (gdy Zborowski odjechał w miasto) Tęczyński, z liczną drużyną swoich, niosąc na lamparciej skórze Wapowskiego zbroczonego. Ranny głośno na niegodziwość i wielkość zbrodni zanosi skargę: oburzeni Posłowie ziemscy i Senat żądają kary, król przyrzeka winnych ukarać surowie.

Wapowski z ran ciężkich umiera: śmierć ta rozjątrza umysły więcej. Krewni zmarłego i Tęczyński z jednej, Zborowscy z drugiej strony przychodzili do króla z żaleniami lub usprawiedliwieniem. Ujrzano i żonę zabitego z domu *Maciejowską* Kasztelanową Przemyską, z małym synem na ręku, i sama i otaczające ją matrony i słudzy w grubiej żałobie, wiodącą maryl śmiertelne. Zatrzymał się orszak pogrzebowy przed zamkiem, weszła nieszczęsna wdowa na pokoje królewskie, żale swe szerząc i z płaczem o sprawiedliwość wołając.

Henryk w mniemaniu że wpływowi Zborowskich najwięcej wybranie swe był winien, za niemi skłaniać się zdawał, jakoż gdy cała ta sprawa wytoczyła się przed Senat, i każdy z Senatorów zdanie swe wyuruzył: Król wyrok taki ogłosił.

• Zważywszy iż w wniesionej przed Nas Wielmożnego
 • Wapowskiego Kasztelana Przemyśkiego, przeciw Sa-
 • muelowi Zborowskiemu sprawie, zdania Senatorów
 • tak były przeciwne, iż je pogodzić trudno: że strony
 • przeciwne sobie prawa, to jest, jedna 1507 druga 1539
 • artykuł przytaczały; zapatrzwszy się że zabójstwo nie
 • umyślnie lecz z przypadku, i w tumulcie popełnione
 • było, stanowimy: iż Samuel Zborowski z Królestwa
 • Polskiego, W. X. Litt, i hołdownicznych nam państw
 • na zawsze wygnanym będzie, z zabranieniem na skarb
 • majątku jego, bez utraty jednak czci i sławy: jakoż
 • tegoż Samuela Zborowskiego niniejszym wyrokiem
 • za Banitę ogłaszamy i aby starostowie przez woźnych
 • publicznych za takiego ogłosić go kazali, stanowimy.

HENRYK KRÓL.

Przeczytany wyrok oburzył wszystkich: Zborowscy mieli go za surowym, Wapowscy zbyt łagodnym. Żadna strona nie dziękowała, a wdowa zabitego zala-
 • ną łzami ztorzczyła Henrykowi. • Jeżeli tak na mężo-
 • bojców masz być sprawiedliwym (wołała wychodząc)
 • niechże ten twój wyrok będzie ostatnim.

Prymas odezwał się głośno, iż pierwszy raz widzi że ze sprawy kryminalnej zrobiono cywilną. W całym kraju wyrok ten powszechną zgrozę wzniecił: a w Krakowie po wszystkich ulicach na bramach nawet zamkowych, przylepiano szarpiące króla paskwile: (*) ztąd częste pojedynki między francuzami i polakami.

(*) Albertrandy. Rękopism biblioteki Żaluskich. »Sprawa P. Samuela Zborowskiego.«

Solikowski pisze że *Pibrak* ogłaszający wyrok królewski, ostatnie słowa od *infamii* Samuela Zborowskiego uwalniające, z domysłu swego przydał. Dobra mu zabrano, ale oddaniem ich bratu a przez tego synowi Samuela, wróciły do niego napowrót. Kara więc Zborowskiego skończyła się na wydaleniu go z kraju.

Opinia uniesiona litością za wdową, widząc krew Wapowskiego rozlaną, biła przeciw Samuelowi Zborowskiemu—ale nikt dowieść nie mógł iż on był zabójcą kasztelana Przemyskiego. Dekret ten w kierunku tej opinii wydany, słusznie rodzina Zborowskiego za srogi uważała: Tęczyński i Wapowscy cios śmiertelny w tumulte zadany kasztelanowi z zaciętością przyznawali ręce samego Samuela, wszakże w całym toku tej nieszczęsnej sprawy, żadnego przekonywającego dowodu nie stawili na to.

III.

Zborowski posłuszny wyrokowi wyjechał zaraz z Polski, i na dworze Stefana Batorego Wojewody Siedmiogrodzkiego przebywał, dopóty dopóki nieobranym został Królem Polskim po ucieczce Henryka Walezego. Temu pobytowi Samuela przypisuje Bielski, wyniesienie Stefana na tron Polski. (*)

(*) Kronika Pol. 1597 str. 708 »I to była najpierwsza okazja królowania (Stefana) tu jego»

Wraz z Batorym wraca do kraju w orszaku króla: a gdy Gdańsk opór stawia, Rycerstwo pod buławą z tegoż rodu Jana Zborowskiego, przywodzi gród ten warowny i zamożny do posłuszeństwa. W tej wyprawie miał udział Samuel, później odznaczył się chlubnie pod *Toropcem* i *Wielkimi Łuki* (*) za co mu publicznie Jan Zamojski na Sejmie dziękował. (**) Przebywanie na dworze Stefana, wpływ jaki rodzina Zborowskich wywarła w poparciu elekcji tego króla—przyjmowanie jakiego na dworze doznawał Samuel Zborowski i udział jaki miał w wyprawach za co podziękowanie odbierał, już w osobie jego banicyją zatrzeć musiało.

Niedługo wszakże, Samuel dwór królewski opuszcza, czy oziębłością Stefana zrażony, czy widząc przewagę wpływów innych osób—dość iż musiał mieć ważne powody dla których się usunął. Nieprzyjaciele jego którzy nawet po śmierci odzierać go nieprzestawali z poczciwości, głosząc Samuela jako zbrodniarza, niestawili dowodów żadnych któreby zdradę Zborowskiego dowodziły.

Powziął on myśl podburzenia kozaków, i na ich czele zdobyć dla siebie panowanie w Wołoszech. Bartosz Paprocki (herby Rycerstwa Polskiego 1584) mówi że Niżowi kozacy znając go mężnym, hojnym, a dobrej sławy chciwego wybrali na Hetmana.

(*) Rękopism archiwum króla Stanisława Augusta.

(**) Rękopism biblioteki Załuskich.

Wyprawę tę Samuela skresłę wedle podania Paprockiego.

•Zniemałym poczem sług swoich i hajduków puścił się *Dnieprem*, a jakkolwiek go Zaporozcy kozacy zapraszali do siebie, on tylko dary bogate im posłał a sam pośpieszył dalej. Stefan Batory groźne wysłał rozkazy do kozaków żeby się nieważyli łączyć z Samuelem. Kiedy nieudało mu się *Putywl* zamek obronny opanować, puścił się rzeką *Samarą* gdzie gniazdo było tak zwanych *Kozaków-rzecznych*, co żyli się tylko zdobyczą z łowów i rybołówstwa. Ale choć mu wszyscy uderzyli czołem, nie zatrzymał się Zborowski, i spieszył do pokolenia kozaków bitnych co między progami (porohy) mieszkali.

•Te progi (wyróża B. Paprocki) są z wielkich skał przez które woda jakoby kędy z wysokich grobli spada, a sami kozacy z nich w czółnach się spuszczały po linach.”

Zaledwie Zborowski stanął u *Jawolżanego* uroczyska, między progami, kozacy widząc hajduków chcieli bójkę rozpocząć, uważając go jako nieprzyjaciela, ale przez posłów zatargi skończył, i gdy oświadczył że chce z nimi złe i dobre cierpieć zarówno, i jednakowo swoje szczęście podzielać, posłałi ośmdziesięciu swoich towarzyszy, którzy go przez dwanaście porohow przeprawili. Była to straszna przeprawa tak że z siedmdziesięciu szlachty polskiej co go otaczało oprócz hajduków, wielu ułężnionych opuściło chorągiew Zborowskiego. Przybywszy w siedzibę Zaporozców ledwie począł im hetmanić i przedsięwziął

wyprawę, trzysta koni ze swego hufca od szarańczy traci, i wielu towarzyszków co dotknięci puchlizną dalej spieszyc nie mogli.

W pochodzie spotyka posłów kozackich z *Uroczyska* zwanego *Tomakowski-Ostrów* zapraszając go jako Hetmana do swojej siedziby, a siedziało w niej 20,000 bitnego pokolenia. Powitany radośnie, wśród gęstych wystrzałów z rusznic, odebrał buławę hetmańską. Ruszył na nowo pod Putywl, ale kozacy w pośród uskarżeń jakiej niewoli doznają od panów polskich, i niewdzięczności za usługi swoje, niechcieli dalej postąpić dopóki im niewyjaśnił celów, co później zamysła.

Zborowski zmuszony wykrył dopiero zamiary swoje, pokazał im listy Hana Tatarskiego z Perekopu, co jeszcze w domu swoim odebrał z niemałymi dary, i nadzieją zostania Wojewodą Wołowskim: wtedy zaraz wysła więźnia Tatarą zżądaniem, aby Han dotrzymał teraz obietnicy swojej, i wyznaczył na miejsce rozmowy wspólnej rynek na uroczysku *Karajteben*, gdzie Tatarzy z kozakami wszelakie targi miewali. Na umówionym miejscu zastał już posłów Hana, którzy ofiarowawszy mu w imieniu jego dwanaście rumaków strojnie przybranych i trzy szaty z złotogłowia, a z nich jedną włożywszy na Zborowskiego, oświadczyli że Han przyjmuje go za syna swego, i przyrzeka obietnicy dotrzymanie na księstwo Wołoskie: ale zarazem żądał aby tak jako przyrzekł dawniej do Persyi z nim jechał. Zborowski obawiając się zdrady, ażeby trucizną lub zasadzką niebył zgładzony, wy-

mówił się z tego posłom, którzy przy odjeździe, padali mu do nóg wedle zwyczaju swojego. Zaledwie ta wiadomość rozbiegła się między kozakami, wnet jedni z nim chcieli jechać, drudzy odgrązali że opuszczą jego chorągiew.

Gdy w śród tego rozruchu, Zborowski nazwyczajony do dawania rozkazów, surowo odezwał się, oburzeni kozacy chcieli podług obyczaju swego, przepasawszy go mocno wstanie, piasku w zanadru nasypać i zatopić w wodzie. Niedługo powrócili posłowie Tatarscy z wielkim orszakiem, mając tysiąc koni z dary wielkimi, wozy i wielbłądy. Żądali od niego aby bezwzględnie z nimi jechał do Persyi, i konia z bogatym rzędem podali Zborowskiemu. Już chciał wsiadać, gdy kucharz jego *Michał* rzekł do niego z płaczem: *«Panie mój już cię podobno więcej niezobaczę, jest szczyka dobra, proszę najedź się na drogę. Zborowski głodny dał się namówić, a tymczasem zażądał od Murzów przysięgi dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Lecz gdy wzbranił się jej złożyć, kozacy gwałtem porwali go między siebie, zanieśli na czajki, i ztąd rześnym ogniem powitawszy Tatarów, sami go do swojej zawiedli siedziby, gdzie z radości niewymówniej, że go napowrót widzą między sobą, strzelali, śpiewając pieśni przy odgłosie kobzy. Wkrótce od brańców którzy z hordy uciekli dowiedział się, że gdyby był razem z posłami wyruszył, niechybnie więźniem by Hana pozostał. Przebiegły Tatarzyn znów przysyła posły, ażeby kozaków Niżowych wstrzymał od napści na ziemię Tatarską, przyrzekając mu i da»*

ry dla kozaków i chorągiew na ziemię Wołoską. W tym Zborowski odprawiwszy posła myślał co czynić? Droga go do *Moskwy* i *Persyi* ominęła. Posła więc do *Piotra* Hospodara Wołoskiego aby mu się w obietnicy uścił, a obietnica była takowa. Miał dać 500 koni Zborowskiemu jeśliby szedł na północ, a jemu żeby dał pokój, bo go już była wieść doszła, że się przeciwko niemu gotował. Tę obietnicę zrobił mu Wołoszyn kiedy mieszkał w *Złoczowie* na zamku swoim. Wysła więc do Wojewody Wołoskiego dworzanina swego z jednym z mołojców, dając mu czasu do czterech niedziel. Wśród tego zbiegli więźniowie od Tatarów, donoszą że wielkie stada Tatarskie są w pobliżu, i wsie ich podemknęły się do Dniepru: bo tam wsie takim kształtem budowane, jak budki owczarzy co na kółkach wszędy je włóczą, a gdy o trwodze usłyszą, zaprzągłszy do tych chat przewoźnych uciekają co najdalej. Kozacy słysząc to, widząc łatwą a bogatą zdobycz, zbierają się do napaści: ale Zborowski pomnąc że mógłby ojczyznę swoją na wojnę narazić, łamiąc pokój z królem i koroną zawarty, dla wstrzymania ochoczych do łupieży kozaków, rozdał między nich konie, szaty swoje, sprzęt rycerski—resztę surowością odgromił, czekając posła swego z Wołoszczyzny daremnie.

Dla dostania soli wysłał stu kozaków na morze, bo tam kiedy suchy rok, zsiada się sól biała jak lód na przyległych wyspach; sam puścił się czajkami na Dniepr, ciągli mając niepokój z kozakami co nieznając ojczyzny, w miejscu kędy żyją całą pokładą-

ją nadzieję podług przypowieści *póki żyła, póty była!* znosząc głód i niewczasy; wysłani po sól dają mu znać że dwa galary Tureckie weszły na Dniepr, a 10,000 Tatarów łądem, chcąc w ciasnym miejscu kozakom bitwę wydać. Ale zaledwie galary ujrzały kozaków czajki, z pełnym żaglem uciekły. Zborowski otrzymuje wiadomość że w Wołoszczyźnie posłów jego zatrzymano, rozgniewany już rozmyśla o napadzie w tę ziemię, gdy brańcy uciekający z niewoli Tatarskiej przynoszą wieści, że teraz sposobna pora dla kozaków dla wpadnięcia do hordy, bo sam Han z większą częścią wojska w Persyi przebywa, a żona jego w przestraszu uciekła do lasu. Na taką ponętę burzą się kozacy, ledwie ich zdołał powstrzymać Zborowski, i zaraz wysłał posły do żony Hana, że utrzyma ich w pokoju. Mimo to, umyślił zamek osadzony Tatarami zwany *Hasłonhorodek* zdobyć, o który na próżno pokuszał się książę *Rożeński*, i gdy podsadzał nieostróżnie prochy sam wyleciał w powietrze. Posyła do osady tłumacza aby wysłali kilku do niego na rozmowę, a rozkazał skrać się pocztowi kozaków z rusznicami dla tego żeby go nie porwali. Lecz gdy jeden z kozaków strzelił do Tatara, a zagniewany Zborowski rzucił się z szablą na niego, towarzysze zaczęli go bronić, i taki rozruch powstał, że zaledwie potrafili ich ubłagać. Spełzyła myśl wzięcia zamku, ale dojrzała wpadnięcia do Wołoch. Kozacy obszywają czuła trzcina bo były za małe na morze, gdy słyszą strzały działowe, i niedługo oglądają dziewięć Tureckich wielkich galar. Ztrwożeni, głusi na proźby

Zborowskiego uciekają w popłochu: sam więc pozostał, i patrzył jak z szybkością strzały najpiękniejsza galera prosto szybuje; słyszy na nich trąby, bębny, widzi rozwite chorągwie pogan, spójrzy na swoich, kozacy w popłochu rzucają się w wodę, inni przybijają drżący do lądu. Opuszczony, ale niestrwożony choć kule tureckie dziurawią czajki, mierzy ze szmigownicy którą miał na czajce, i tak trafnie ugadza, że Turcy w trwodze krzyczą *Hata, hata!*—Kozacy odzyskują serce, wracają, uderzają śmielem na Turków co wysiadali na ląd, gromią, rozpędzają zdobywszy chorągiew pogan. Wśród zwycięstwa wieść nadlata że tatarzy lądem śpieszą: Zborowski rozkazuje rozwinać chorągiew zdobytą, a gdy Tatarzy z ufnością ku niej śpieszą, przyjęci gęstym ogniem z rusznic pierchają rozegnani.

Ale na czajkach wracać zwycięzcy, niemogą bo wszystkie popsute. Zborowski ze 150 męźniejszych cofa się lądem otoczony ciągle ćmą Tatarów. Głód wycięcza ich siły, a w dzikich polach niemogą zdobyć zwierzyny: śmierć głodna niechybna, gdy na szczęście kozacy co pouciekali pierwsi, wrócili i mieli nieco z sobą żywności, posileni zwracają kroki ku Wołochom do *Probitego uroczyska*, chwytają kilku rybaków Tureckich i dowiadują się że straż Wołoska stoi na *Martwej wodzie*. Mając tylko jedenastu towarzyszków szedł z rozpaczą stoczyć bitwę, by zdobyć jaką żywność, od dni kilku nic prócz zołędzi nie jadłszy: kozacy umierający z głodu namawiali aby wrócił do wojska. Przybył wreszcie do *Probitego Uroczyska*

i znalazł tam pismo które straż jego napisała węglem na drzewie w tych słowach: «Jesli tu kto będzie z wojska Hetmana naszego powiedz o nas na *Uroczysku krzywym!*»

Zradością pośpieszyli w oznaczone stanowisko, znalazł swoich, którzy go i pozostałych towarzyszków, od głodnej śmierci zachowali.”

Na tém kończy swoje opowiadanie Bartosz Paprocki w herbarzu. Ztąd wyjaśnia się myśl śmiała Samuela opanowania Wołoszczyzny—jak trudna do wytłómaczenia podróż do Persyi co spełza na niczym. Zostaje zagadką także wtargnienie jego na północ i kuszenie się o zdobycie zamku Putywła. Cokolwiek bądź żadnego tu śladu zdrady dojrzeć niemożna: nie pierwszy to raz i nie ostatni, zawracała głowy naszym panom myśl opanowania Wołoszczyzny, i z prywatnemi siłami, zachwiano nieraz potęgę Wojewodów tej ziemi.

Samuel wrócił do kraju—odtąd milczą o nim podania, aż do chwili jego zgonu, w której smutny rozwinął się dramat.

IV.

Samuel Zborowski we wsi *Piekarach* pod Proszowicami bawił u swej siostrzenicy wdowy Włodkowej z domu Stadnickiej, gdy Jan Zamojski Hetman i Kanclerz koronny, kazał go schwytać. Napadnięty w nocy

i pod strażą w zamku krakowskim osadzony. Po dawnej nieprzyjaźni z Zamojskiem i po charakterze energicznym jaki okazywał ten bohater czasów Stefana i Zygmunta III, zwątpiwszy o życie swoim, czekał w modlitwach godziny śmierci niechybnej, sam się modląc, bo mu odmówiono pomocy duchownej, a nawet nasłano przebranego pachofka, którego oddalił poznawszy podstęp niezręczny.

Zapowiedziano odwiedzić samego Kanclerza.— Wszedł *Urowiecki* podstarości, za nim niesiono stolek i postawiono go przed łóżkiem Zborowskiego: za nim *Drojowski* Starosta Przemyślski, *Żółkiewski* szablę trzymając w ręku, a za nim Zamojski z półhakiem gotowym nałożonym, jakby się obawiał popędliwości swojego więźnia. Rękopism współczesny, tak opisuje całą rozmowę.

«Gdy wszedł Kanclerz, Samuel wstał i prosił o łaskawe obejście, na co on kiwnął głową mówiąc:— O Samuelu! Samuelu, prawda że ja mężniejszy niżeli ty żeś cię dostał.

ZBOROWSKI.

Nigdy to niebyło, abyś ty mężniejszy nademnie miał być ani z narodu (rodu) twego obierze się nie równy, ale mię grzechy moje dały wręce tobie, nie mężstwo to twoje sprawuje. Było mię imać inaczej jako Hetmanowi przystoi, nie w nocy jakoś ty nasłał ceklarze swoje, kiedym tylko sam spał, wszak się nie kryłem, jeździłem jawnie ubezpieczony giejtem Królewskim. Kaźdego pojmasz zdradą łatwo.

KANCLERZ.

O! niewiem gdzieś twoje męztwo pokazywał.

ZBOROWSKI.

Tam je pokazywałem, gdzie cnotliwym przystoi pokazywać. Wążyłem koszt i utratę dla niego, jeżdżąc kilkaset mil dla dobrej sławy.

KANCLERZ.

Niewiem gdzieś to męztwo pokazał, chyba na jeżdżając domy szlacheckie, łupiąc klasztory.

ZBOROWSKI.

To nieprawdę mówisz!

Kanclerz za tém słowem porwał się do półhaka, aże go Starosta Przemyski uchwycił.

ZBOROWSKI.

Idź odemnie, niezabijaj mi duszy, bo czas krótki mam, grzechów wiele, niech się sprawie Bogu memu.

KANCLERZ.

Powiedz z kim się buntowałeś na Króla.

ZBOROWSKI

Tego nigdy nie było, bo nietylko o jakich buntach przeciwko niemu, ale i źle mu nie myślałem.

Kanclerz zastraszył go śmiercią, na co odrzekł.

— O! niewysmażysz na mnie nic, nierozumięj tego żebym się śmierci bał, dalekom ja jeździł dla śmierci, a niepotkała mię, a teraz zdybała mię *insperate*, tego mi tylko żal że od ciebie ginę, którego cię w Polsce przedtym i nieznano.

Tu Kanclerz okazał mu listy, w których były wyrażenia nic nie dowodzące; (*) a z tłumaczenia Samuela okazuje się, że chcieli z bratem Krzysztofem wyprzedać dobra, i w inny kraj się przenieść; gdy zaś Zamojski wyrzekł, że inaczej ja to rozumiem, Zborowski zawołał:

— Już rozumieć jako chcesz, boś się lepiej uczył wszkole rozumieć, dobryś ty żak. Moja nauka nie była tylko szabla a koń dobry, dalej nieumiem nic. Proszę cię daj mi pokój, bo czas mam niedaleki, a Boga bardzo gniewałem.

Kanclerz pokazywał znowu listy jakby ręką Samuela pisane, których się wyparł. Kazawszy więc Zborowskiemu na jednym podpisać swe nazwisko, porwał kartę i wyszedł.

Od początku schwywania pilnował go w więzieniu Mroczek Rotmistrz pieszy, człowiek zacny i poczciwy,

(*) Patrz Pamiętnik Warszawski F. Bentkowskiego T. VII. z r. 1817.

tego zaklął aby testament który napisał zapieczętowany oddał sługom jego. Obiecał, ale Zamojski dotawszy w ręce już nikomu go nie okazał. Całą noc modlił się z rotmistrzem.

W tym gdy świtać zaczęło, wyrzał oknem i rzekł do niego:—Już panie Mroczku świta, a jako ten dzień jasny będzie, tak też mam nadzieję w Bogu że mię oświeci łaską swoją!

Skoro rozwidniało się nieco, przybył Urowiecki z wielką zgrają do więzienia, mówiąc:—Panie Zborowski pójdź z nami bo już czas przyszedł.

W pogotowiu był ubrany wżupan atłasowy i delię szkarłatną rysiami podszytą.—Ha już czas, pójdźmyż w imię pańskie, trzebać mi było jeszcze z panem Bogiem sprawę mieć, ale to już być nie może. Panie! z miłosierdzia twego wielkiego przyjmij ducha mego w ręce swoje!

I poszedł otoczony czeredą zbrojnych, a mając książkę pod pachą, zawołał:—Dla Boga! czytaj kto, boć i mówić nie mogę.

I pachole Urowieckiego który był w tym orszaku, począł czytać psalmy. Kiedy przyszedł ku kościelnym drzwiom katedry, rzekł:—I tu Boga chwałą nie kogo inszego, proszę was dopuśćcie mi abym tu ostatnią oddał ofiarę Panu Bogu memu. Ale Urowiecki odrzekłszy: nie będzie z tego nic, już teraz pójdź bo niemasz czasu: dalej iść kazał.

W onej chwili wyszedł z kościoła Zamojski i zawołał.

—Oduść mi Zborosiu, że cię każe tracić!

— Nie odpuszczę przed Bogiem i przed ludźmi, bo mię niewinnie tracisz.

Zawołał powtórnie Kanclerz. — Odpuść mi Zborowski!

Samuel ręce składając odrzekł: — nieodpuszczę to wiedz!

Wtedy Zamojski kazał stanąć, i poraz trzeci zawołał. — Dla Boga cię proszę odpuść mi.

Na on czas Zborowski wyrzekł. — Już się mię teraz zagadł, odpuszczam, ale cię pozywam przed straszliwy sąd Boga żywego, przed którego majestat ja dzisiaj stanę. Ten mię z tobą niechaj rozsądzi, że mię niesłusznie tracisz.

Kanclerz na te słowa za głowę się uchwycił, a Samuel sam do siebie wielkim głosem mówił, co słyszeli wszyscy. — Miły Boże! prawda to widzę istotna, że śmierć za sprawiedliwym sądem Bożym przychodzi, iż powiedział: kto mieczem wojuje od miecza ginie, jam wojował mieczem od miecza też ginę.

Potym rzekł do sług Kanclerza co go otaczali.

— Widzę że między waszmościami jest wiele zacnych i uczciwych szlachty, najprzód Bogiem moim się świadczę, i wami wszystkimi, i jemu samemu przysięgam przez imię Jego, że jako żyw nic złego nie myślę Rzeczypospolitej ani Królowi, jakożkolwiek bądź, ten niechaj będzie świadkiem że niewinnie ginę.

Takiego przysięgania pokłękawszy było ze trzy razy. Otworzono furtę, za którą wyszedłszy pojrzał na świat i rzekł: — Gdzież moi bracia, gdzież moi przyjaciele, gdzież moi słudzy, których ja zawsze mia-

tem nie mało, a teraz sam ginę. Poczém zaczął się rozbierać, a gdy w tym Drojowski Starosta Przemyski chciał mu pomódz, odepchnął go, mówiąc: „Idź zdrajco odemnie nie służ mi więcej.” Szaty swoje dał Mroczkowi, aby je oddał Wińskiemu wyrostkowi jego: dał mu też chustkę którą miał od Cara Perokopskiego aby ją zmaczał we krwi jego, i oddał synowi.

Wszyscy uklękli i w modlitwie chwilę zostawali, aż Zborowski powstał a obracając się do kata rzekł: — Już i na to przyjdzie tobie się też modlić, wszakże cię proszę nieprzeszkadzaj mi aż wymówię to imię trzy razy *Jezus*, a tobie i hajdukowi odkazuję manele.

Ukląkł, a gdy pierwsze słowo zawołał *Jezus*, zaraz kat porzuciwszy miecz uciekł, hajduk wyrwawszy się porwał za miecz rzucony i ściął Zborowskiego.

Dworzanie i słudzy zabitego przybiegli z wielkim żalem do furty, i znaleźli ciało swego pana w trumnie, zanieśli je więc do Zebrzydowskiego wojewodzica Kaliskiego. Było wiele ludzi z niemi i przyjaciół nieboszczyka. Między niemi nieznamy w czarnym żupanie aksamitnym do trumny przystąpił, i umoczywszy we krwi zabitego chustkę, zawołał wielkim głosem.

— Jeżeli kto z powinych jego nie będzie się mścił, ja przysięgam na Boga żywego, że się téj krwi niewinnej mścić będę, a ta chustka świadkiem mi będzie zawsze żywym! (*)

(*) Rękopism o rozmowie Zamojskiego ze Zborowskim pierwszy raz drukiem ogłosił F. Bentkowski w Pamiętniku

Dnia 30 Maja 1584 roku o godzinie 17, Zborowski Marszałek brat zabitego, stanąwszy obok ciała ściętego brata, wśród liczego orszaku krewnych i szlachty, w te słowa przemówił. (*)

„Zal nasz miłościwi panowie i miłościwe panie, i nasi łaskawi panowie bracia i insi wszyscy słuchający, gdyż jest taki wielki, żeby go w najmniejszej części wypowiedzieć chciał, ani słów, ani tchu, ani łez pewnieby nie stało. Ale iżby się takowym frasunkiem i Pan Bóg obrazić mógł, i zły nieprzyjaciel tym się karmił, musimy to porzuciwszy do czego inszego coby go tak nietuczyło (od Pana Boga od którego wszystko dobre począwszy) udać się. Zamojski Starosta tutejszy sub praetextu exekucyj urzędu swego czyniąc to, pod tą zasłoną wielkie i haniebne morderstwo i tyraństwo we krwi naszej popełnił.” W dalszym ciągu okazując niewinność ściętego brata, tak zakończył.

„Dziękujemy tedy waszmościom powolnie i płacziwie, żeście waszmość nie tylko chrześcijańskiej powinności dosyć uczyli, aleście ulżyli tym uczcze-

Warsz: w starych przecież rękopismach liczne znajdują się tegoż zdarzenia odpisy z małymi zmianami; sam w zbiorze dawnych rękopismów z XVII i XVIII wieku, posiadam w sześciu oddzielnych rękopismach to zdarzenie, snąc że umysły szlachty, bardzo były nim zajęte w narodzie.

(1) Mowa z rękopismów A. Naruszewicza, własnoręcznie przez tego historyka poświadczonych za zgodność kopii zoryginalów.

niem tego ciała, zacnego nieznośnego żalu naszego. Pewniśmy tego że ten przypadek szkodliwy wszystkim Rzeczypospolitej braci waszych waszmość i naszej w domach swych roznieście i rozpowiecie, abyśmy wspólnie czasu swego acz ci już bięda jako mówią tej podległej kokoszy, niedali się wławiać w wolności nasze, w sławę ciała i majątności nasze. Rzekłem i do tego się zawždy nietylko znać ale i popierać i dowieść zawsze gotów będę.”

Ciało Samuela brat Andrzej Marszałek nadworny, zabrał z Krakowa do Zborowa, i tam stało długo niechowane. (*) Rodzina albowiem cała, miała wytoczyć tę sprawę na Sejmie przeciw Zamojskiemu, i chciano je w izbie poselskiej okazać zgromadzonym posłom, ale umiano zapobieżć temu, i sprawa speźła na niczym. Wytoczono bowiem proces o obrazę Majestatu Krzysztofowi Zborowskiemu bratu ścietego, a jak się bowiem pokazuje z rękopismów archiwum Króla Stanisława Augusta, zebranych dla Naruszewicza, pomimo oporu posłów i niezgodności Senatorów, w obec samego Stefana Batorego przeprowadzono sprawę, zakończoną wyrokiem haniebnęj dla Krzysztofa banicyi, odsądzającym go od czci i sławy. — Tak grom gotowany na Zamojskiego, ugodził w starodawną rodzinę Zborowskich, druzgocąc do razu niemal jej świetność i znaczenie.

(1) Bielski, Albertrandy.

V.

Teraz zapewne przychodzi rozwiązać pytanie, cóż za zbrodnię popełnił członek tak znakomitej rodziny, że go miecz katowski zbezczęścić musiał? Czyż to był człowiek, którego cały żywot był ciągiem występków, zbrodni, łupieży, najazdów?—Odpowiadamy, *nie!*— Był to dzielny mąż w boju, niepośledni wojownik, ale w charakterze gwałtowny, w uniesieniu nieschamowany: ciążyły na nim grzechy, ale dalekie aby w owym wieku mazane były mieczem kata. Poprzemy to dowodami.

Po nieszczęsnym tumulcie na zamku krakowskim za Henryka Walezego, w którym z rany odebranej umarł Wapowski, Samuel przebywa na dworze Stefana Batorego Wojewody Siedmiogrodzkiego, i wpływem swojej rodziny pomaga do wyniesienia go na tron. Wraz z nim przybywa do Polski, Batory używa go w wyprawach do Inflant, a sławny Bartosz Paprocki z tego powodu przypisuje mu dzieło swoje »Hetman.« (*) Ale wkrótce Król począł obojętnieć dla Samuela i rodziny całej Zborowskich, właśnie jaśnieć począł w dziejach wydatnej Jan Zamojski. W prywatnej między braćmi Zborowskimi korespondencji, z tego powodu były żale i przymówki na Stefana.

(*) Drukowany 1578 roku. T. Czacki na jednym exemplarzu własnoręcznie dopisał, z jakiego powodu B. Paprocki, przypisał dzieło to Samuelowi Zborowskiemu.

równie jak na Kanclerza. Samuel miał przy sobie dobrego lutnistę imieniem Wojtaszka, który uciekłszy z klasztoru Bernardynów gdzie był lajkiem, na dworze jego znalazł przytułek. Zborowski kazał go uczyć, wyłożył nań 2000 złp. ówczesnych, (*) gdy nagle niewiadomo z czyjej podmowy, łotr skrada ze szkatuły Samuelowi listy i Zamojskiemu składa. Na tak skradzionych listach opierają się wszelkie dowody winy Samuela, który widząc się oczernionym i poniżonym, przedsięwzię szaloną wyprawę na Zaporozie, zbyt długo w nieczynności zostając, usunięty od udziału rycerskiego i zapomnianą z czasów Henryka banicyą, na nowo obciążony. Zawiść wrzała pomiędzy Zborowskimi i Zamojskim, ztąd Kanclerz łatwo uwierzył donosicielom, że Samuel godzi na jego życie, to był powód, że rozkazał go schwytać i stracić.

Ważny w tej mierze pozostał pomnik, jest to:

»Skrypt pana Kanclerza i Hetmana W.K. do rycerstwa kwarcianego o ścięciu pana Zborowskiego.»

W nim sam Zamojski zdrady Samuelowi niezarczając mówi: »Ze się nie cieszy z tego, że ostrzegał »Zborowskiego ażeby w obrębie jego Starostwa nie »bywał. Gdy zaś był we Lwowie prosił go Samuel »żeby mu pozwolił noc przebyć, a potem odjechał »i przyrzekł stawić się na wyprawę przeciw Tatarom. »Gdy Zamojski wrócił, już zastał Jego Królewską Mć »(Batorego) *animatum* do dania w małżeństwo córkę

(*) Rękopism Bibl. Żaluskich.

brata swego nieboszczyka wojewody Siedmiogrodzkiego, za wolą i zdaniem samego nieboszczyka, który go był upodobał sobie: że to ożenienie nie z ambicyi ale od Boga poszło: że Samuel czyhał i ciągle za nim chodził. W ostatku przytacza na obronę że ojciec Samuela Marcin Zborowski, Sanguszkę z domu Olgierda Xiążę: Litew: banitę, nie z urzędu ani z jurysdykcyi, ale prywatnie pojął i o gardło przypawił, a nie ganiono mu tego.”

Skrypt ten był wydany, aby uśmierzyć sarkanie głośnie rycerstwa, które po schwytaniu Zborowskiego, zażądało od Zamojskiego aby z wykonaniem wyroku wstrzymał się do sejmu, ale Kanclerz zamachem miecza, bardzo śpieszną dał odpowiedź.

Energia jaką okazał wielki Zamojski w wykonaniu prawa, niemoże nań ściągnąć żadnej nagany, bodajby taka sprężystość w późniejszych dziejach istniała, a prawa niebyłyby nieme: ale surowa potomność nie pochwali ścięcia Samuela Zborowskiego; wymówka, że jako na banicie wykonał prawo nie służy, — bo ten banita wszedł z Stefanem Batorem do kraju, walczył pod jego sztandarem w Inflantach, dzielił sławne Stefana wyprawy; temu banicie publicznie za okazaną odwagę sam Kanclerz Zamojski składał dzięki, i razem dzielili łącznie trudy, wstrzymując rozbójnicze zagony Tatarów. Jeżeli prawo miało być wykonane, niepotrzeba było dozwalać Samuelowi jako banicie przebywania na dworze Króla, ani dawać uczestnictwa w świetnych wyprawach. Czyż tu wielkiego Zamojskiego nie uniosła prywatata? Gdzież dowody że

nastawał na życie Kanclerza, pogłoski nie są przekonaniem, a ufność z jaką spoczywał w domu swej siostrzenicy bezbronny, okazuje fałsz tej baśni, bo inaczej tak blisko wroga na którego się czatuje, nie zasypia spokojnie, ale w pogotowiu stoi z drużyną zbrojnych, których Samuelowi niebrakło, mając dwór liczny i poczet rycerstwa niemały.

Mimo zarzutów prywaty, Zamojski przeważnemi usługami zbyt wzniosłe w dziejach zajmuje stanowisko, a nawet charakterem osobistym i prawością domowego życia. Zborowskiego żywot, wybryki szalone znaczą. On to w ziemi *Chełmskiej* półtory mili od Krasnego-Stawu, wznosił zamek w *Krupie* tak warowny że do najobronniejszych w Polsce należał. Lubo był bogatym posiadaczem mnogich włości na Ukrainie, Rusi, w Polsce i Litewskim Polesiu, na przekorę Janowi Zamojskiemu z którym żył wsąsiedzkich sporach i kryjomej nienawiści, wznosił ten gród warowny na iłowatym wzgórzu, smętny i ponury. Siedm baszt półkolnych wystawało z okręgu murów tak wysokich, że te kryły całkiem i zamek i wieże. W baszcie od południa brama ciasna i wsunięta we framugę, przed murem w około potrójny przekop i potrójny wał, a w przekopach woda. Na kopułach wszystkich siedmiu baszt kamienne tarcze, na każdej wyźłobiona podkowa grzbietem na dół zwrócona, a w niej krzyż, nad każdą tarczą hełm z koroną, a nad nią Jastrząb w pogotowiu do polotu, obrócony w prawą stronę, na nogach dwie pęciny, w szponie prawej takąż podkową

z krzyżem trzymający. To był herb *Jastrzębiec*, go-
dło starożytnej rodziny Zborowskich.

Tu wyprawiał hojne Samuel uczył, tu zaproszone-
go Włocha *Kandiana* w gościnę, obrażony że szydzą-
cego dworzaniina uderzył, kazał wysmarować miodem i zmusił aby walczył bezbronny z rozżartym niedźwiedziem. Powalił niedźwiedzia krzepki Włoch, a Zborowski tak niegodnie zdeptawszy święte prawa gościnności, skalał imię swoje.

Zostawił z Zofii Jordanówny Kasztelaneki krakowskiej dwie córki i dwóch synów, Annę, Krystynę, Samuela i Alexandra. Anna wydana została za Korycińskiego Wojewodę Rawskiego. Krystyna była za Rafałem Grochowskim Kasztelanem Lwowskim. Ta fundowała w roku 1625 kościół z klasztorem OO. Reformatów pod wezwaniem S. Kazimierza w Krakowie na przedmieściu. Szwedzi za Jana Kazimierza zniszczyli tę pamiątkę pobożnej niewiasty. Samuel zszedł bezpotomnie.

Alexander dziedzic na *Mikulenicach*, pułkownik sławny z odwagi rycerskiej, który dał świetne dowody przy zdobywaniu Smoleńska. Mąż pobożny i cnotliwy szanujący tak wiele (jak mówi Niesiecki) kapłanów stróżów ołtarza, że do szabli się porywał jeśli usłyszał kogo szydzącego z tego stanu. Spoczywa w kościele Jezuitów we Lwowie, który ubogacił podarunkiem wielu sreber. Z małżonki swjej Magdaleny Fredro, córki Jana Kasztelana Przemyckiego zostawił córkę Annę, która w panieństwie zmarła 1620 r. i syna, Adama Alexandra. Ten, wielki majątek jaki otrzymał po ojcu,

wstąpiwszy do zakonu Jezuitów, na zakony Jezuickie rozdał, sam żywot na usługi bliźnich poświęcił. Gdy morowe powietrze uderzyło na miasto Kraków, żebrze u starszych jak o łaskę by mu służyć zapowietrzonym^{ym} dozwolili. Wkrótce szlachetny młodzieniec ratując tych których wszyscy opuścili, dotknięty zarazą umiera dnia 4 Sierpnia 1652 roku. Tak skończył wnuk i ostatni potomek Samuela Zborowskiego.

Dwie pieśni przechowały pamięć Samuela, polska i ruska. Polska dochowała rękopisma A. Naruszewicza. Ruska dotąd w ustach ludu brzmi po całej Rusi. W polskiej wystawiono żale w więzieniu samotnego Zborowskiego.

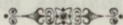
«Same mię tylko nieba wtenczas zapłakały
Gdy na niepożyteczną moją śmierć patrzyły.
Boże który swym okiem przenikasz skrytości,
Tobie ja się poruczam w mojej niewinności.

Nikogo niebyło coby go użaliły, Krakusowa tylko
skała (jak wyraża pieśń) krwawą mgłą westchnęła.

Zaledwie się ta pieśń zjawiała, zaraz stronnicy Kancelerza komentarz do niej dodali, a współczesna ręka dopisała: że dobrze iż Samuel zginął, bo będzie drugim na exemplum że zuchwałego zawsze karzą.

Ruska pieśń wspomina go jako Hrycka Zborowskiego Atamana Kozaków. Znajduje się w zbiorze P. Maksymowicza, przełożona wiernie na polskie przez znanego zaszczytnie w literaturze naszój P. Michała Grabowskiego.

Назі: Влад: Војцичи.



Z BAJRONA.

I ty uronisz łzę na moim grobie?
O! powtórz piękna, powtórz mi te słowa:
Lecz jeśli one smutek wróżą tobie,
Niechaj cię niebo od smutku zachowa!

Martwe me serce w krwi ostygłej tonie,
Pierzchnęły wszystkie sny młodości miłe,
Ty jedna tylko, po mym wczesnym zgonie,
Westchnieniem uczysz samotną mogiłę.

Lecz zdaje mi się że jasność niebieska
Przez mgłę cierpienia dla mnie świeci zdała;
Miło gdy śmierci przewodniczy lezka,
Kiedy się serce nad sercem użala.

Bóg błogosławi łzę litości błogą:
 Łza ta, co ulgę przynosi dla duszy,
 Tém droższa dla tych co płakać nie mogą,
 Komu ból ciągly zrenice wysuszy...

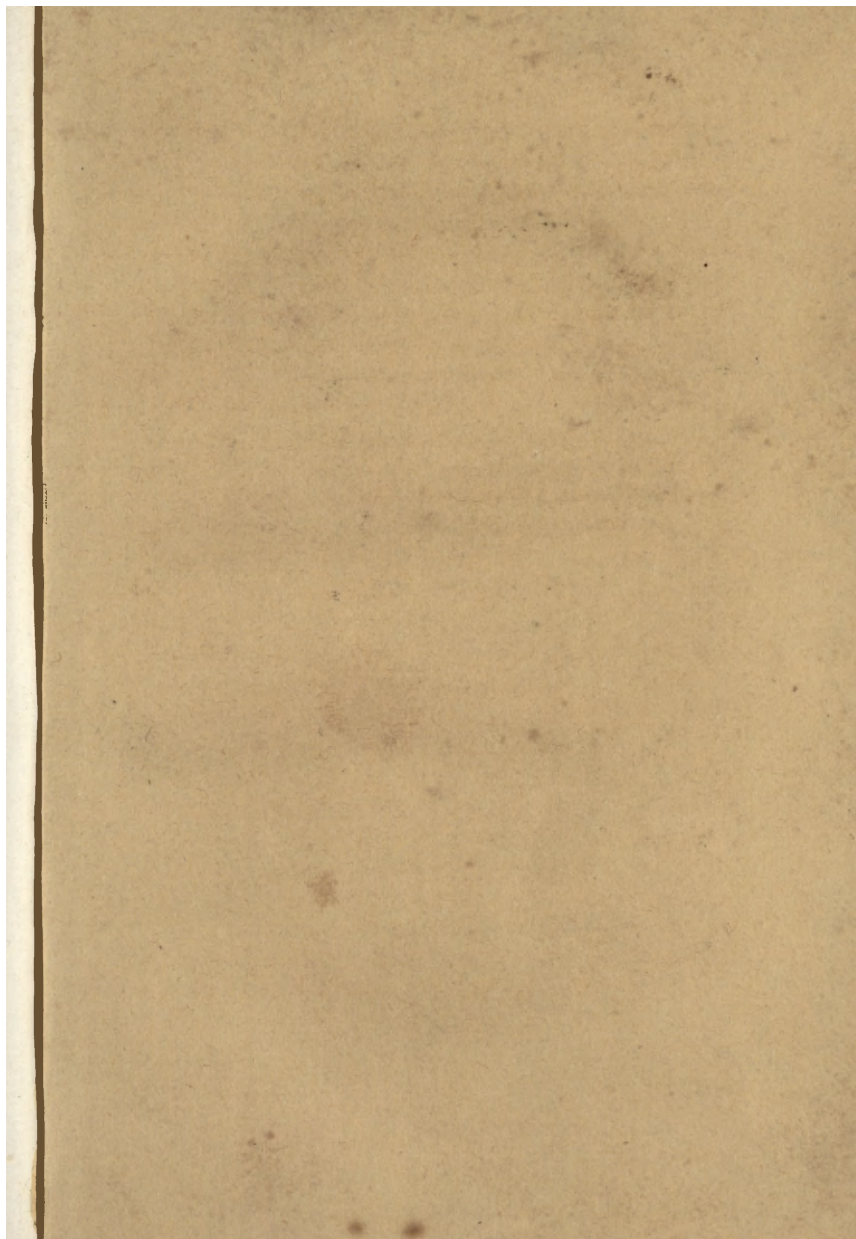
Był czas, że słodkie uczucia pieścilo,
 Podobne twemu niegdyś serce moje,
 Dziś mu i piękność przestała być miłą,
 Bo je oplotły długich cierpień zwoje...

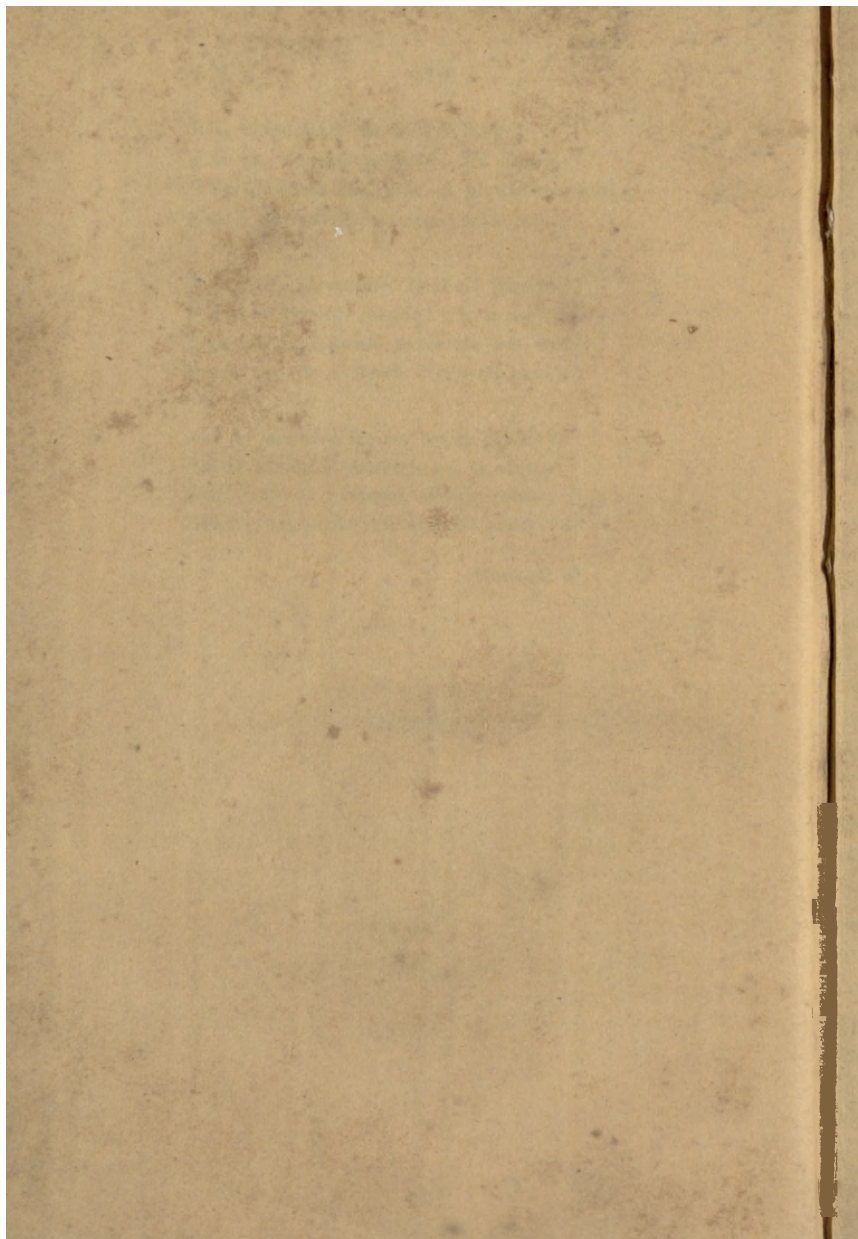
— I ty uronisz łzę na moim grobie?
 Aniele ziemski powtórz mi te słowa:
 Lecz jeśli one smutek wróżą tobie,
 Niechaj cię niebo od smutku zachowa!

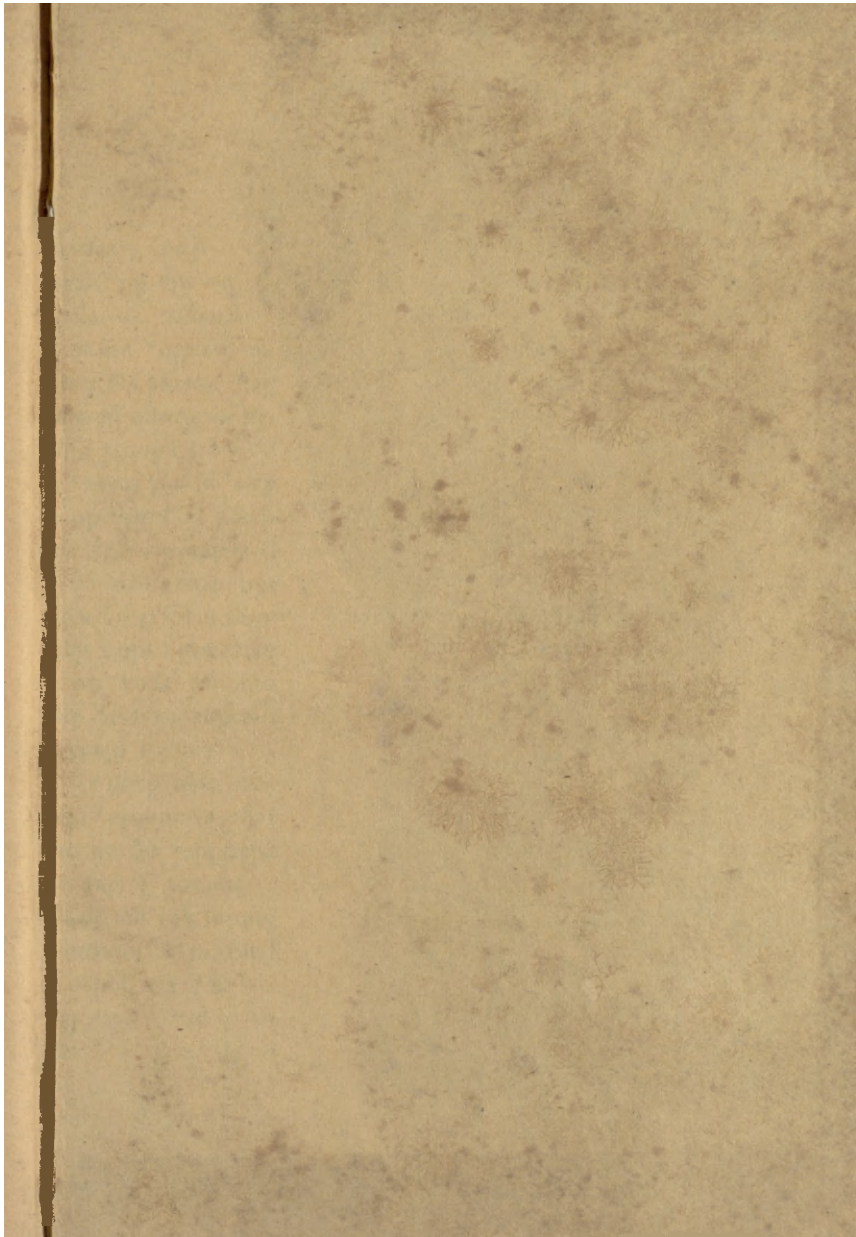
Amurat W.

KONIEC.









N.P.T. 659

1843